cena 15 PLN (w tym 8% VAT) www.panstwo.net indeks 211060 #233 05/2026

OKŁADKA: MARIUSZ TROLIŃSKI

ISSN 1895-4960

Agnieszka Kowalczyk
LEŚNE DROGI DO WOLNOŚCI

Jakub Maciejewski
MOCZARYZM – PRAWDZIWY I WYOBRAŻONY

Antoni Rybczyński
NA RATUNEK DUDE 44 BRAVO

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO



PODSTĘP TUSKA

Czy znów grozi nam czarny scenariusz koalicji 2005-2007

eprasa.pl 2f22a6ded1

TEMAT NUMERU 4–13



Niepodległość Polski. Jak Tusk chce zneutralizować stary koszmar... / 4

IDEE 14–27



Wszędzie będziesz obcy... / 14

HISTORIA 34–55



Bicz na germańską bestię. Powrót do Polski pułkownika Białousa / 34

KULTURA 56–69



Godard i sztuka zaangażowana jako dyktatura / 56

ŚWIAT 74–98



Na ratunek DUDE 44 Bravo / 74

Spis treści

TEMAT NUMERU

Piotr Lisiewicz
Niepodległość Polski. Jak Tusk chce zneutralizować stary koszmar Berlina i Moskwy /4

Dawid Wildstein
PiS – udany paradoks /10

IDEE

Ewa Polak-Pałkiewicz
Wszędzie będziesz obcy... /14

Jakub Maciejewski
Moczaryzm – prawdziwy i wyobrażony /20

Małgorzata Matuszak
Edukacja na rozdrożu /24

HISTORIA

Piotr Lisiewicz
Bicz na germańską bestię. Powrót do Polski pułkownika Białousa /34

Agnieszka Kowalczyk
Leśne drogi do wolności /40

Tomasz Łysiak
Czerwony mak w klapie marynarki /46

Dariusz Jarosiński
Życie jak wysokogórska wspinaczka /50

KULTURA

Mateusz Matyszkowicz
Godard i sztuka zaangażowana jako dyktatura /56

Krzysztof Karnkowski
Karetką przez płonące ulice /62

Łukasz Czarnecki
Komiksowa rewolucja, czyli cenzorska wojna z demoralizacją /66

ŚWIAT

Antoni Rybczyński
Na ratunek DUDE 44 Bravo /74

Hanna Shen
Tajwan na sprzedaż? Kuomintang jedzie do Pekinu /80

Stefan Czerniecki
Najpiękniejsza z polskich ambasad na Czarnym Lądzie /84

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji /90

oprac. Antoni Rybczyński
Pożegnanie z Kubą /94

Stałe rubryki



Katarzyna Gójska
Ruski bal przebierańców
NA POCZĄTEK 3



Rozmowa Krzysztofa Wołodźki
Kościołowi trzeba wyważonego papieża
PRZYSPOSOBIENIE OBRONNE 28



Marek Kalinowski
Niespełniona obietnica Chopina
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 61



Krzysztof Wołodźko
Dzieci Arbatu, prawnuki Stalina
DZIENNIK LEKTUR 70



Marcin Wolski
Premia za jedność
PAPKULTURA 79



Małgorzata Matuszak
Czym jest... „się”
KATECHIZM INTELIGENTA 93



Tomasz Sakiewicz
Dlaczego liberałowie kochają cenzurę
OSTATNIE SŁOWO 99

„NOWE PAŃSTWO”
DOSTĘPNE WYŁĄCZNIE W PRENUMERACIE!
Zamów na prenumerata.swsmedia.pl i zyskaj dostęp do treści, które mają znaczenie!

miesięcznik
WYDAWCA
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.
REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA NOWE PAŃSTWO

ZESPÓŁ
Stefan Czerniecki, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Marek Kalinowski, Krzysztof Karnkowski, Agnieszka Kowalczyk, Piotr Lisiewicz, Ewa Polak-Pałkiewicz, Jakub Maciejewski, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski, Krzysztof Wołodźko

SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Troińska
DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz
PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński
DTP
Aleksander Razcwarkow
KOREKTA
Maria Fijołek, Irena Bińta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
www.prenumerata.swsmedia.pl
prenumerata@swsmedia.pl
tel. 605 900 002
NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW

NIEZALEŻNE WYDAWNICTWO SP. Z O.O.
BANK PEKAO SA
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelew z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW)

DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960

eprasa.pl 2f22a6ded1



Katarzyna Gójska

Ruski bal przebierańców

Środowiska niepodległościowe w Polsce są główną i najsilniejszą przeszkodą dla tych, którzy chcą zmienić porządek na Starym Kontynencie. Ich zniszczenie, a co najmniej bardzo mocne osłabienie jest w interesie Rosji, a także tych w Europie, którzy marzą o systemie satelickim wokół decyzyjnego centrum w Berlinie, a potem ułożeniu się w tym układzie z Kremlem.

Świętej pamięci prezydent Lech Kaczyński wykonał dla Polski i naszej części Europy nieprawdopodobną wręcz pracę. I to właśnie jego misja ukształtowała w naszym kraju nurt niepodległościowy, który stał się jedną z głównych sił politycznych. Heroiczna wyprawa do napadanej przez Rosję Gruzji, brawurowe przemówienie w spowitym nocą Tbilisi i później zdecydowane przeciwstawianie się imperialnej polityce Moskwy na arenie międzynarodowej, mocne piętnowanie sojuszu niemiecko-rosyjskiego – to wszystko wręcz wychowało część polskich elit. To właśnie przede wszystkim jemu zawdzięczamy zablokowanie na wiele lat budowy w naszym kraju tzw. prorosyjskiej prawicy, której przecież w Europie nie brakuje i której próba wykreowania została u nas podjęta nie raz i nie dwa razy. Sojusz z Rosją to z polskiej perspektywy nierealna i arcyniebezpieczna mrzonka. Nie było bowiem Rosji, która mogłaby być dla nas partnerem, i wszystko wskazuje na to, iż w dającej się przewidzieć przyszłości jej nie będzie. Z drugiej strony mamy poważny i realizowany plan ograniczania suwerenności Rzeczypospolitej w trybie step-by-step. To inne zagrożenie, ale też niebezpieczne i potencjalnie wręcz unicestwiające naszą państwowość. Unikalność polskiego środowiska patriotycznego polega na rozumieniu obu tych procesów przy jednoczesnym pojmowaniu różnic między nimi. Kreml to zagrożenie śmiertelne i niszczycielskie, dominujący dziś nurt polityczny w Unii Europejskiej, nakierowany na stopniowe pochłanianie kompetencji krajów członkowskich na rzecz uzależnionego od Niemiec centrum decyzyjnego, to niebezpieczeństwo rozłożone w czasie, które wymaga asertywności i sprytu. Wobec obu zjawisk kluczowe jest utrzymanie przekonania o konieczności obrony niepodległości i ścisłej współpracy ze Stanami Zjednoczonymi. I dokładnie tak działał śp. prezydent Lech Kaczyński. Rozumienie wagi relacji transatlantyckich jest dziś również wielką siłą polskich środowisk patriotycznych. Warto mieć świadomość, iż ich polityczni adwersarze w obu sprawach ustawiają się dokładnie odwrotnie – grają nimi w zależności od okoliczności i polityki niemieckiej. Gdy Berlin bratał się z Moskwą na całego, premier Tusk współpracował z Rosją taką, jaką ona jest, i nie miał problemu z byciem człowiekiem Kremla w Warszawie. Gdy z powodu rosyjskiej napaści na Ukrainę trudno już było utrzymać ten kurs, dzisiejszy premier przepoczwarzył się w rusofoba, ale jednocześnie uwidocznił politykę uderzania w relacje transatlantyckie, czyniąc to w spektakularnie ostentacyjnej formie. A to oznacza, iż w czasie totalnej dekoniunktury na kontakty z Rosją zachował to, co można było zachować z tzw. polityki resetu – antyamerykanizm.

Dziś śmiertelnym zagrożeniem dla polskich środowisk niepodległościowych jest sklejenie ich z jawnie prorosyjskim nurtem politycznym, który od czasu pandemii covid coraz śmielej działa na naszej scenie politycznej. Jest elementem całkowicie obcym naszej kulturze, sprzecznym tak bardzo, jak to tylko możliwe, z polską racją stanu, ale mimo to pod płaszczykiem obrony tradycyjnych wartości wpycha się w nurt konserwatywny i udaje, że jest jego elementem. W tym numerze „Nowego Państwa" publikujemy wnikliwą analizę tego niebezpiecznego zjawiska napisaną przez Piotra Lisiewicza. Żadne zbliżenie z Rosją nie umocni niepodległości Polski, tak jak i Rosja nigdy nie będzie obrońcą tradycyjnych wartości czy prawdy historycznej. Tak było, jest i będzie. ■

eprasa.pl 2f22a6ded1



Piotr Lisiewicz

Niepodległość Polski. Jak Tusk chce zneutralizować stary koszmar Berlina i Moskwy

Najważniejszym celem obozu Donalda Tuska jest to, by w Polsce wyborów już nigdy nie wygrał obóz niepodległościowy. Zagraniczni mocodawcy Tuska wiedzą, że kiedyś, a całkiem prawdopodobne, iż w 2027 roku, straci on władzę. Ale ich celem nie jest kariera Tuska, a realizacja własnych interesów. Dlatego zrobią wszystko, by nowa, prawicowa, władza była jak rachityczna koalicja rządząca z lat 2005–2007, a nie jak silne rządy PiS i Zjednoczonej Prawicy z lat 2015–2023.

FOT. MARIUSZ TROLINSKI

Dlatego Donald Tusk prowadzi grę, której celem jest eliminacja obozu niepodległościowego. Potrzebna jest mu do tego lewica, ale tylko ta postkomunistyczna. I prawica, ale tylko ta skarlała, skompromitowana rosyjskimi powiązaniami. Chodzi o zmarginalizowanie obozu, dla którego antykomunizm i niechęć do elit III RP harmonijnie łączą się z przynależnością Polski do Zachodu, cywilizacji łacińskiej, a także sojuszem z Ameryką i Międzymorzem. Obóz Tuska wyciągnął wnioski z rządów PiS z lat 2015–2023 i konsekwentnie działa na wszystkich polach tak, by „koszmar" rządów niepodległościowych w Polsce się nie powtórzył.

» Sojusz z oszustem i przyjaciółmi Rosji

To dwa odmienne scenariusze. W 2005 roku reprezentujący obóz niepodległościowy PiS wygrał wybory, ale musiał zawrzeć koalicję z LPR Romana Giertycha i Samoobroną Andrzeja Leppera. Od początku oczywiste dla mnie było, że w koalicji rządowej są politycy, którzy mają odmienne od obozu niepodległościowego cele i potajemnie układają się z przeciwnikami. Co gorsza, mają też rosyjskie powiązania. Skończyło się po dwóch latach rozpadem koalicji i przejęciem władzy przez Donalda Tuska i koalicję PO-PSL.

Po latach Roman Giertych w wywiadzie dla „Newsweeka", przyznał, że był oszustem, który okłamywał nie tylko koalicjantów, lecz także własnych wyborców, co ani odrobinę mnie nie zdziwiło. Stwierdził, że w 2007 roku to on „rozwalił rząd PiS", w którym był „Konradem Wallenrodem". „My się przyjaźniliśmy z Donaldem Tuskiem, Rokitą, Schetyną itd., grywaliśmy z nimi po cichu w piłkę, w koszykówkę. Gdyby wówczas się o tym dowiedział nasz elektorat, toby nas rozszarpał" – mówił.

eprasa.pl 2b2a6ded1

A beneficjentem owej „przyjaźni" był nie kto inny jak Krzysztof Bosak, który występował w „Tańcu z gwiazdami" w TVN.

Zarówno Roman Giertych, jak i Andrzej Lepper po wyjściu z rządu stali się na nowo, oficjalnie, politykami prorosyjskimi. Gdy rok po zamachu w Smoleńsku, w 2011 roku, pod ambasadą Rosji spalona została kukła Władimira Putina, Lepper protestował: „Uczestnicy ww. pikiety dokonali publicznego spalenia oraz znieważenia podobizny premiera rządu obcego państwa, to jest przestępstwa określonego w art. 136 Kodeksu karnego. Uczestnicy ww. pikiety skandowali publicznie hasła i słowa mające na celu poniżenie przedstawicieli narodu rosyjskiego, to jest dopuścili się przestępstwa określonego w art. 256 i 257 Kodeksu karnego. Partia Samoobrona Rzeczpospolitej Polskiej otrzymała cały szereg skarg ze strony przebywających w Polsce obywateli Federacji Rosyjskiej oraz Polaków pochodzenia rosyjskiego, zwracających uwagę, iż ww. wystąpienia w ich ocenie stanowiły podżeganie do nienawiści na tle narodowościowym".

Lepper występował jako obrońca polityk resetu, zachwalający działania Komorowskiego i Tuska na rzecz zbliżenia z Rosją. Pisał: „Sprawa została również nagłośniona przez środki masowego przekazu w Federacji Rosyjskiej, narażając na szwank starania Prezydenta Rzeczypospolitej oraz Rady Ministrów na rzecz normalizacji stosunków z Federacją Rosyjską oraz pojednania polsko-rosyjskiego. Dlatego uznać należy, iż wspomniane czyny stanowią działania o znacznej szkodliwości społecznej, stojące w sprzeczności z interesami Państwa Polskiego".

Kto był wówczas rzecznikiem Samoobrony? Mateusz Piskorski, oskarżony dziś o szpiegostwo na rzecz Rosji, obrońca pomników ku czci Armii Czerwonej, który niedawno przeprowadził na swoim kanale wywiady z rzecznik rosyjskiego MSZ Marią Zacharową, która grozi Polsce zagładą atomową, czy Aleksandrem Duginem, ideologiem Kremla, zdeklarowanym wrogiem istnienia niepodległej Polski. Pełno było w niej ludzi z moczarowskiego skrzydła PZPR oraz dawnych komunistycznych służb. Śmierć Andrzeja Leppera, w której naturalny charakter nikt nie wierzy, nie może nam przysłonić tych faktów. A hipoteza Jarosława Kaczyńskiego, że mógł on chcieć się uwolnić od opisanych wyżej zależności, wydaje się bardzo prawdopodobna.

» Konfederacje Mentzena i Brauna jak LPR i Samoobrona

Współrządzenie PiS z ugrupowaniami dalekimi od myślenia obozu niepodległościowego oznaczało gnicie owej koalicji i kolejne konflikty w jej ramach. PiS musiał się ciągle tłumaczyć nie za swoje grzechy, a za rosyjskie związki koalicjantów. Karykaturalny radykał Giertych stał się idealnym politykiem, by zorganizować wobec niego „antyfaszystowski" bunt młodych. Było jasne, że ten wymuszony okolicznościami układ nie przetrwa długo. Utrzymał się dwa lata, czyli do momentu, kiedy siły stojące za Donaldem Tuskiem uznały, że przyspieszonych wyborów PiS nie wygra.

Dlatego właśnie kluczowe w roku 2026 jest porównanie rządów PiS-LPR-Samoobrony z lat 2005–2007 i rządów PiS z lat 2015–2023. Postkomunistyczny układ dokładnie to przekalkulował i chodzi mu o zmuszenie PiS do koalicji z Konfederacją i Konfederacją Korony Polskiej, mającymi nawet personalne kontynuacje LPR i Samoobrony.

Zastąpienie silnych, stabilnych rządów obozu niepodległościowego z lat 2015–2023, w czasie których Jarosław Kaczyński mógł swobodnie wymieniać premierów i budować

eprasa.pl 2f22a6ded1

pozycję Polski na świecie, chaosem z lat 2005–2007 byłoby degradacją obozu niepodległościowego, a tym samym ogromną degradacją Polski i zaprzepaszczeniem szans na budowę Polski mającej silną pozycję na świecie.

» „Wolni od hańbiących obcej przemocy nakazów"

W pieśni „Witaj, majowa jutrzenko" Rajnolda Suchodolskiego, która przypominana jest zawsze w dniu święta 3 Maja, pojawia się zwrotka, która z jakichś powodów rzadko bywa w mediach cytowana: „Wrogów tłuszcze wyrok Boski/ Zmiótł z powierzchni polskich łanów,/ Znikła boleść, znikły troski,/ Nie ma w Polsce obcych panów". Warto też przypomnieć słowa preambuły do tego aktu: „Wolni od hańbiących obcej przemocy nakazów, ceniąc drożej nad życie, nad szczęśliwość osobistą, egzystencyę polityczną, niepodległość zewnętrzną i wolność wewnętrzną narodu […] dla ugruntowania wolności, dla ocalenia ojczyzny naszej i jej granic, z największą stałością ducha niniejszą konstytucyę uchwalamy".

Konstytucja 3 maja obowiązywała przez rok i dwa miesiące, a więc niewiele krócej niż zryw Solidarności po Sierpniu '80, niemniej stała się dla całych pokoleń inspiracją. Przypominają się słowa prezydenta Lecha Kaczyńskiego wypowiedziane w rozmowie z „Gazetą Polską" 14 maja 2008 roku: „Gdyby w Polsce nie było romantyzmu, to prawdopodobnie dziś nadal siedzielibyśmy w Pałacu Namiestnikowskim. Pod tą szerokością geograficzną i w takich czasach, w jakich żyjemy, romantyzm sprawdza się znacznie lepiej niż pozytywizm". Ta romantyczna legenda 3 maja trwała, gdy w czasie II wojny światowej poeta Ryszard Kiersnowski, którego losy rzuciły do Japonii, pisał do swojej japońskiej koleżanki:

Nie pytaj mnie Yoshiko-San
Czemu nie mówię ci „Ohajo!",
Czemu chcę dzisiaj zostać sam,
Czemu mi smutno w twoim kraju. […]

Nic wytłumaczyć ci nie umiem,
Maleńka słodka Butterfly –
Ty przecież tego nie zrozumiesz,
Że dzisiaj u nas... Trzeci Maj.

To niepodległościowe myślenie oczywiste było po 1989 roku w III RP ludzi z solidarnościowym rodowodem, którzy obóz niepodległościowy tworzyli. Był on nazywany prawicowym, co było nieścisłe, bo rodowód Jana Olszewskiego, małżeństwa Gwiazdów czy małżeństwa Romaszewskich był bliższy PPS. Ale jakie to miało znaczenie w starciu z postkomunizmem. Na pierwszym miejscu była niepodległość!

» Gizela Jagielska i Grzegorz Braun – dwa bieguny zła

Inny to już czas, jak pisał Sienkiewicz, i rządzący obecnie Polską obóz, realizujący cele obcych stolic, nabrał przekonania, że w młodszym pokoleniu niepodległościowców można zmarginalizować zarówno na lewicy, jak i prawicy.

Gdy piszę te słowa, podległa Waldemarowi Żurkowi wrocławska prokuratura wystąpiła do Parlamentu Europejskiego o zgodę na zatrzymanie Grzegorza Brauna. Za co? Tak się dziwnie składa, że akurat za sprawę, która jest z punktu widzenia Brauna najbardziej korzystna. Chodzi o dokonane przez niego „obywatelskie zatrzymanie" ginekolog Gizeli Jagielskiej, która zabiła dziecko w łonie kobiety będącej w 9. miesiącu ciąży. Wśród zarzutów dla Brauna są takie, które mogą być naciągane: naruszenie nietykalności cielesnej poprzez popychanie, znieważenie słowne, pomówienie jej o działania mogące

eprasa.pl 2f22a6ded1

podważyć zaufanie do zawodu lekarza. Z jednej strony śmierć nienarodzonego dziecka, któremu wstrzyknięto truciznę. Z drugiej – pomówienia i popychanie. Rozumieją Państwo?

W mojej ocenie miejsce zarówno Gizeli Jagielskiej, jak i Grzegorza Brauna jest na dnie piekła. Tej pierwszej za zabicie niemal 9-miesięcznego nienarodzonego dziecka. Tego drugiego za przejście na stronę Rosji, której celem jest likwidacja niepodległości Polski.

Ale rząd Tuska stara się, by Polacy podzielili się na zwolenników i przeciwników tych dwojga bardzo złych ludzi. Z punktu widzenia Tuska obojętne jest, czy poprą jedną czy drugą odmianę zła. Ważne, żeby nie stanęli po stronie dobra. Nie głosowali na obóz niepodległościowy, tylko na realizatorów interesów Berlina lub Moskwy.

Ewentualny sukces Brauna to jedyna szansa Tuska na utrzymanie władzy w 2027 roku. W naszych mediach uczciwie pokazujemy, kim jest Braun. Jak zapowiada, że jego kandydatem do Sejmu będzie Mateusz Piskorski, a Piskorski na swoim kanale robił wywiady z Zacharową i Duginem, a także z Jarosławem Bratkiewiczem, twórcą polityki resetu, prawą ręką Tuska i Sikorskiego. To otwiera ludziom oczy i poparcie dla Brauna spada, bo widzą, że jednak to nie jest radosny strażak z gaśnicą, a człowiek w oczywisty sposób powiązany z państwem, które chce zniszczyć Polskę.

» Mieliśmy już w polskiej polityce Brauna. Nazywał się Giertych

Ale skoro poparcie Brauna spada, to rząd Tuska robi wszystko, żeby je zwiększyć, kreując Brauna na tego, kogo kłamliwie udaje, czyli nonkonformistę i buntownika. A do tego potrzebne jest Tuskowi rozpętanie skrajnych emocji. Bo tylko w takiej sytuacji część elektoratu prawicy może zapomnieć, kim jest Braun. Pomyśleć, że, owszem, robi rzeczy złe, ale robi też dobre. Nie rozumiejąc, że te dobre są tylko po to, by zrealizować te najgorsze.

W polskiej polityce był już jeden „Braun". Nazywał się Roman Giertych. Był nawet ostrzejszy. O Żydach pisał: „Nasza Ojczyzna dźwiga na swoim grzbiecie takie parchy, jak wy. Przyjdzie jednak chwila, gdy Naród zrozumie, kto na nim żeruje". O gejach mówił: „Jestem tu po to, by przeciwstawić się wstrętnym pederastom". Jego współpracownicy wykonywali nazistowskie gesty. Do tego głosił koncepcję „ścisłego sojuszu z Rosją". Brzmi znajomo?

Wszystko to zostało mu natychmiast wybaczone, bo, jak opisałem, w 2007 roku obalił rząd PiS. Nie mam wątpliwości, że gdyby Braunowi udało się zatrzymać PiS, zostałby człowiekiem równie nietykalnym jak Giertych. W III RP nie takie numery przechodziły.

» Prorosyjska prawica w Polsce to samobójstwo

Jednym z powodów tego, dlaczego w wielu krajach Zachodu rządzi oszalałe lewactwo, jest stan tamtejszej prawicy. Patrząc z sympatią na ludobójcę Putina jako rzekomego obrońcę tradycyjnych wartości, albo co gorsza korzystając z jego pieniędzy, traci swoją moralną wyższość nad zwolennikami ideologii LGBT i sprowadzania nielegalnych imigrantów.

To, co w przypadku zachodniej prawicy jest po prostu głupie i obrzydliwe, w przypadku polskiej prawicy jest czymś gorszym, bo grozi samobójstwem Polski, która nie tylko z Rosją graniczy. W ciągu ostatnich 250 lat w Warszawie zdecydowanie częściej rządzili Rosjanie niż Polacy. Brak niepodległości był na polskich ziemiach czymś normalnym, a niepodległość anomalią. Działo się tak mimo niesłychanej waleczności Polaków, którą pokazali przegrani powstańcy listopadowi, styczniowi, warszawscy czy Żołnierze Wyklęci. Pomyśleć, że Rosja może

eprasa.pl 2f22a6ded1

zrezygnować z planu podboju Polski w takiej czy innej formie, może tylko polityczny analfabeta. A to, jakie sposoby tego podboju będzie planować, zależy tylko od siły naszego oporu. „Rosja ma wobec Polski i wszystkich krajów byłego bloku wschodniego swoje cele. Zrezygnuje z nich tylko wówczas, gdy będzie musiała, a nie z powodu jakichś sentymentów" – mówił cytowany już prezydent Lech Kaczyński.

» Czarzasty na wojnie z Czeczenami

Poświęciłem tu sporo miejsca sytuacji na prawicy, bo gra Tuska na dwie Konfederacje, tę prorosyjską otwarcie i tę, która bardziej się kamufluje, nie jest dla wszystkich oczywista. Nie, nie demonizuję ani Brauna, ani Sławomira Mentzena, który nie wykluczał swego czasu koalicji z KO, mówiąc „w polityce niczego nie można wykluczać".

Bo oni są zagrożeniem dopiero potencjalnym, a dzisiaj drugą osobą w państwie jest Włodzimierz Czarzasty. Tusk nigdy nie ukrywał swojej niechęci do partii Razem Adriana Zandberga, obawiając się jej niezależności. Za to jego współpraca z postkomunistą jest harmonijna. Uczciwie będzie zrobić tu wtręt osobisty. W kwietniu Adam Borowski zorganizował w Sejmie konferencję, w 30. rocznicę zamordowania przez Rosjan prezydenta Dżochara Dudajewa. Miało w niej uczestniczyć 96 osób, w tym niżej podpisany, ćwierć wieku temu lider Komitetu Wolny Kaukaz. Wstępu do Sejmu Czarzasty zakazał 62 osobom, w tym Czeczenom ściganym przez Rosjan, oraz… mnie.

I co na to młodzi lewicowcy? Dlaczego to okazało się, że z punktu widzenia waszego lidera są tacy uchodźcy muzułmańscy, którzy są źli? Chociaż nie organizują żadnych zamachów w Europie, a walczą z Rosją na Ukrainie, po której stronie biją się dwa czeczeńskie bataliony?

Obóz koalicji 13 grudnia straszy Braunem, by go wylansować, i twierdzi, że PiS będzie z nim współpracować. No ale znowu: przecież „Braun" już rządzi, nazywa się Czarzasty. Gdy dawniej rządziło jego postkomunistyczne ugrupowanie SLD, nie chciało wpuszczać czeczeńskich uchodźców pod dyktando Moskwy. I nic się w tej kwestii nie zmieniło. Dlaczego? Bo interesy czeczeńskiej niepodległościowej elity są zbieżne z interesami Polski, czyli przeciwstawieniem się imperializmowi rosyjskiemu.

» Przezwyciężyć mistyfikację

Na puentę przypomnienie tego, co w „Eseju o duszy polskiej" napisał prof. Ryszard Legutko, by uświadomić wszystkim, kim są wrogowie polskiej niepodległości, jak Tusk, Czarzasty czy Braun. Pisał Legutko: „W II wojnie naród polski doznał strat, jakich nie doświadczył nigdy w przeszłości. Wyginęła duża część naszej inteligencji, stanowiącej elitę II Rzeczypospolitej. Naród po II wojnie był już innym narodem. Zniszczono ziemiaństwo i arystokrację. Zdewastowano inteligencję, klasę przedsiębiorców, rzemieślników". Do tego „zmiany przekształcające Polskę po II wojnie światowej miały zasięg i naturę kataklizmu, i to kataklizmu rozciągniętego w czasie".

I ich skutki trwają do roku 2026: „Postaci chama i zbira do samego końca patronowały rządom komunistów. Sposób mówienia, zachowania, ubierania, sprawowania władzy, obchodzenia się z ludźmi, uzasadniania własnych poczynań, a także jakość obyczaju politycznego, styl rządzenia, nieprzezwyciężona skłonność do krętactwa, przemocy, mistyfikacji – wszystko to przetrwało cały okres komunizmu". Kluczowe wydaje się tu słowo mistyfikacja. Przezwyciężenie jej jest dla obozu niepodległościowego najważniejszym obowiązkiem. ■

eprasa.pl 2f22a6ded1



Dawid Wildstein



PiS – udany paradoks

Coraz mocniejszy spór między frakcjami „maślarzy” i „harcerzy”, na szczęście na tę chwilę zażegnany, stał się przyczyną szeregu dyskusji o tym, w jakim kierunku właściwie powinna iść partia Kaczyńskiego. Co powinna robić? Czy, upraszczając, złagodzić retorykę, walczyć o centrum, czy może odwrotnie – zacząć się ścigać na kwestie tożsamościowe z Konfederacją oraz licytować się z partią Brauna na radykalność? Nie narzucając nikomu odpowiedzi, jedno jest pewne: warto wpierw zastanowić się, co dotychczas świadczyło o wyjątkowości i sile Prawa i Sprawiedliwości.

eprasa.pl 2f22a6ded1

Jak w wypadku każdego wewnętrznego konfliktu, niezależnie od tego, na ile walczące ze sobą frakcje deklarowały swoją ugodowość i przywiązanie do „partii matki", jednocześnie też krytykowały obecny status quo. Dla jednych PiS był za „mało prawicowy", co skutkowało koniecznością walki o utraconych wyborców, dla drugich – za bardzo, przez co okazał się niezdolny pozyskać obywateli zniechęconych do obecnej władzy (oczywiście w obu wypadkach dokonuję koniecznego, publicystycznego uproszczenia). Co ciekawe, mimo zupełnie odmiennych wizji rozwoju partii, bardzo często pojawiał się w wypowiedziach członków obu frakcji ten sam wątek – przekonanie, że obecny PiS jest hybrydą, zbyt niejednorodną, żeby trwać i skutecznie działać – oraz pewien rodzaj kompleksu mitycznej „reszty Europy".

» Inny… a więc lepszy

Odwołuje się tu zresztą nie tylko do wypowiedzi samych skonfliktowanych polityków, także do towarzyszących im dyskusji publicystów czy intelektualistów. W zależności od sympatii i przekonań mogliśmy więc usłyszeć, że mocniejszy „skręt na prawo" jest konieczny w obliczu przemian ideologicznych, które dokonują się w całej Europie, albo że bardziej łagodny, techniczny, mniej akcentujący kwestie tożsamościowe język jest konieczny z powodu dynamiki rozwoju Unii. Zauważmy, że oba te punkty widzenia łączy poczucie, że dzisiejszy PiS przestał pasować do reszty Europy, do współczesnego świata. W związku z tym partia ta musi nadgonić to, co teraz się dzieje, dostosować.

Trudno nie zgodzić się z argumentem o tym, że PiS „nie pasuje" do reszty Europy. Tyle że właśnie to „niedopasowanie" jest jego siłą. To ono powoduje, że uśmiechnięta władza tak się PiS-u boi i chce go zniszczyć. Jest bowiem kwestią bezdyskusyjną, że Prawo i Sprawiedliwość to formacja absolutnie wyjątkowa na mapie Europy.

Tylko w tej partii występuje taki melanż idei, które dla przeciętnego polityka UE jawią się jako nie do pogodzenia. PiS jest bowiem partią jednocześnie proeuropejską, dystansującą się od narracji „exitowej", zaznaczającą swoją chęć współpracy w strukturach unijnych, a jednocześnie skrajnie przeciwną brukselskiej biurokracji i trawiącym ją patologiom. PiS jest konsekwentnie antyrosyjski i proatlantycki, co, znowu, jest w UE rzadkością. To ugrupowanie narodowe, dla którego suwerenność państwa jest podstawową wartością, sprzeciwiające się dzisiejszej agendzie promigracyjnej – co nie przeszkadza mu być także, do pewnego stopnia, internacjonalistyczne. Oczywiście w sposób „jagielloński" – PiS to partia wciąż wierna idei, że konieczne jest stworzenie uczciwej, realnej wspólnoty równych i absolutnie różnych w swojej specyfice narodów, aby przeciwstawić się grożącym nam imperializmom – tak ze strony Rosji, jak i Niemiec.

PiS jest także „paradoksalny", jeśli chodzi o ekonomię. Trzymając się prawicowej retoryki, łączy ją ze społeczną wrażliwością, kojarzoną z partiami socjalistycznymi. Może ten ostatni element, czyli społeczny słuch i zwrócenie się ku wykluczonym ekonomicznie, jest akurat także w unijnej prawicy coraz częstszy, ale zaznaczmy, że PiS był w tej materii prawdziwym prekursorem.

» Ani lewica, ani prawica

Podsumowując to wszystko, z perspektywy typowej partii politycznej państw starej Unii, Prawo i Sprawiedliwość to hybryda, która nie powinna istnieć, mozaika nieprzystających, a czasem wręcz sprzecznych ze sobą elementów. Z tym że PiS nie wywodzi się z zachodniego ekosystemu politycznego, więc i próba

FOT. TOMASZ JĘDRZEJOWSKI/GAZETA POLSKA

eprasa.pl 2f22a6ded1

przykładania do niego tamtejszych wzorców politycznych jest skazana na niepowodzenie, a już szczególnie diady „prawica/lewica". Z bardzo prostej przyczyny. Rdzeniem PiS-u jest coś innego niż wspomniana dychotomia.

Zacznijmy jednak od tego, że Prawo i Sprawiedliwość to element szerszego ruchu społecznego, na który składają się najróżniejsze środowiska, w tym medialne czy intelektualne. Zaś ruch ten pojawił się w reakcji na dominację w naszym państwie postkomunizmu i związane z tym patologie. Do tego zjawiska społeczno-politycznego dużo bardziej, niż określenia „prawica–lewica", pasują słowa takie jak: „wolnościowy", „suwerenistyczny", a zwłaszcza „niezależny". Jego celem od początku było rozbicie quasi-oligarchicznego systemu postkomuny, tego parapaństwa oplatającego polskie instytucje, pasożytującego na nich i ograniczającego, za pomocą sieci nieformalnych układów biznesowo-towarzyskich, polską demokrację. Starającego się zmonopolizować każdą przestrzeń państwa oraz zniszczyć wolność słowa oraz, w każdym z tych swoich celów, korzystającego z pomocy obcych państw i ich agentów wpływu (najczęściej Rosji, ale nie tylko, patrząc na przykład Niemiec). To dlatego we wspomnianym niepodległościowym ruchu, którego częścią jest PiS, może stać obok siebie katolik i niewierzący, socjalista i wolnorynkowiec, twardy konserwatysta i obyczajowy liberał, ponieważ priorytetem dla nich jest walka z postkomunizmem i pomoc ofiarom tego systemu.

Okazuje się więc, że może, owszem, PiS jest faktycznie rodzajem paradoksu, ale udanego, patrząc na historię III RP, realnym zagrożeniem dla układu, który z nim walczy. Czego dowodzi chociażby nieprawdopodobna skala nienawiści i zasoby, jakie postkomunizm wykorzystuje, żeby zniszczyć partię Kaczyńskiego. Dlatego też próba przerzucania na PiS diad i dystynkcji z innych ekosystemów politycznych nie tylko nie ma sensu. Jest też absurdalną i kontrskuteczną próbą dokonania imitacji, niewłaściwej adaptacji, która, gdyby faktycznie do niej doszło, spowodowałaby, że PiS stałby się po prostu częścią systemu postkomunistycznego.

» Różne narzędzia postkomunizmu

To najczęściej siły powiązane z postkomunizmem, chcące obronić ten układ i jego wpływy, są tymi, które raz po raz wchodzą w narrację o tym, że PiS jest właśnie taką „niewłaściwą prawicą". Że to ugrupowanie w jakimś sensie „przestarzałe", relikt przeszłości, który powinien odejść – i argumentują to stanowisko, podając przykłady tego, jak wyglądają inne partie prawicowe w reszcie państw Unii.

Staje się to oczywiście asumptem do proponowania własnej, „lepszej", wersji tego, czym ma być ta „nowa prawica". Czasem tego typu nawoływania do stworzenia „nowej jakości" słychać ze środowisk lubiących same siebie określać jako „europejskie", powiązane z układem obecnej władzy, ale udające bardziej konserwatywne, narodowe podejście czy katolickie (ale oczywiście odpowiednio „otwarte" i „postępowe"). Raz po raz Terlikowski, Szułdrzyński czy rozmaite ich kolony (ewentualnie jakiś polityk wyrzucony z PiS-u lub publicysta dotychczas powiązany z niezależnymi mediami, który uznał, że poszuka nowego „rynku zbytu" dla swoich przemyśleń) oświadczają, że dość już tej prawicy kojarzonej z „ciemnogrodem", kolejnymi awanturami, „antyunijnej" etc. Zawsze jednak okazuje się, że za tymi postulatami kryje się właśnie koncepcja prymitywnej imitacji wzorców zachodnich, stworzenia kolejnej chadecji na jedno skinienie eurokratów, ergo – ugrupowania, które w sprawach najważniejszych w żaden sposób nie będzie się sprzeciwiać Tuskowi. Jednak tego typu strategie zajścia PiS-u od „lewej", „liberalno-centrowej" strony, mimo ponawianych od 20 lat prób, spełzły na niczym.

eprasa.pl 2f22a6ded1

Postkomunizm próbuje jednak także zaatakować PiS z prawej strony, za pomocą tych, którzy udają największych krytyków Tuska – i, niestety, tutaj temu systemowi idzie dużo lepiej. Doszło wręcz do sytuacji, w której jego narzędzia realnie zagroziły integralności polskiej prawicy. Najwymowniejszym przykładem takiego zjawiska jest partia Brauna. Zauważmy, że Braun atakuje PiS właściwie dokładnie z tych samych pozycji, co powiązana z Tuskiem pseudoprawica, nieważne, czy reprezentowana przez Terlikowskiego, czy Giertycha. PiS to rodzaj oszustwa, to nieprawdziwa, nieskuteczna prawica, sprzeczna wewnętrznie i niedopasowana do wyzwań współczesnego świata. Z tym, że Braun argumentuje, że PiS jest zbyt „lewicowy" i „za miękki". A jednocześnie pod pseudoprawicowym sztafażem Brauna do polityki wracają najbardziej przerażające kreatury z mroków komunizmu, obrońcy sowietów, tacy jak Piskorski, czy wręcz twórcy postkomunistycznego układu III RP, tacy jak Miller. No i jedna rzecz konsekwentnie łączy to ugrupowanie z resztą postkomunizmu – skrajny antyamerykanizm.

» Upodobnienie się do wroga

Czarzasty i pseudoprawicowiec Giertych (skądinąd dobry znajomy przywódcy Korony) współpracują ze sobą świetnie. Możemy być pewni, że jeśli tylko zaistnieją dogodne okoliczności, to już nie tandem, lecz trio Braun–Giertych–Czarzasty będzie, mimo deklarowanych różnic ideologicznych, wspaniale się dogadywać. W końcu stoją za nimi dokładnie ci sami ludzie, te same, umoczone w Rosję i postkomunizm, środowiska. Co też ciekawe, Braun faktycznie dużo bardziej przypomina typową dla naszego regionu „prawicę" – ze swoim zapleczem w postaci twardych postkomunistów, ze skrajną prorosyjskością i nienawiścią do USA.

Widzimy też, patrząc na niektóre kraje UE, jak chociażby Bułgaria, do czego prowadzi zwycięstwo takiej „typowej" i „współczesnej prawicy". Chaos, szalejąca korupcja, dewastacja państwa przykrywana awanturami ideologicznymi, które coraz bardziej dzielą społeczeństwo. Jeśli zaś chodzi o wpływy zewnętrzne – tak Rosja, jak i eurokraci i ich biznesy mają się świetnie, za to udaje się skutecznie ograniczyć obecność Ameryki. W tym kontekście chyba ostatnią rzeczą, jakiej powinniśmy chcieć, jest to, by PiS stał się bardziej „podobny" do standardowej prawicy naszego regionu.

Niezależnie od tego, jak wyjątkowym i pozytywnym zjawiskiem politycznym jest Prawo i Sprawiedliwość w skali całej Europy, partia ta też posiada bardzo poważne wady, niemniej nie wynikają one z tego, że jest ona za mało lub za bardzo prawicowa. Chcąc je opisać w możliwie krótki sposób, warto odwołać się do słów prof. Sławomira Cenckiewicza. W jednym z wywiadów stwierdził on, że Prawo i Sprawiedliwość, walcząc z postkomunizmem, upodobniło się do niego i przejęło część jego patologii. Faktycznie, patrząc na to, w jaki sposób partia Kaczyńskiego przez ostatnie osiem lat zarządzała ludźmi czy instytucjami, widać, że robiła to, wykorzystując techniki postkomunistów – co zresztą mogło być jedną z przyczyn jej porażki. Mieliśmy więc skrajną potrzebę kontroli nad każdym elementem wspomnianego już ruchu społecznego, który jest szerszy niż PiS i z którego ta partia wypływa. Strach przed każdą niezależną od tego ugrupowania inicjatywą, niezależnie od tego, jak sensowna i ideowa by ona była. Spetryfikowaną strukturę zarządzania, szczególnie lokalnie, co prowadziło do nieumiejętności właściwej reakcji na działania Tuska i jego ugrupowania. W końcu – bardzo częste oparcie się na strukturach postkomunistycznych, jeśli te zadeklarowały odpowiednią lojalność i – smutne, ale prawdziwe – ich reprezentanci odpowiednio kadzili ważnym i możnym z PiS-u. Z tym że to już temat na zupełnie inny tekst. ■

eprasa.pl 2f22a6ded1

Wszędzie będziesz obcy…

Ewa Polak-Pałkiewicz



Czym jest cywilizacja? Adam Mickiewicz pod koniec swojej epopei emigracyjnej nie wahał się upominać rodaków: „Nieraz mówią Wam, że jesteście wśród narodów cywilizowanych i macie uczyć się od nich cywilizacji, ale wiedzcie, że ci, którzy Wam mówią o cywilizacji, sami nie rozumieją co mówią”[1]. Była połowa XIX stulecia, „wiek rozumu” dokonał niemałych spustoszeń w myśleniu wiernym klasycznym kryteriom prawdy.

[1] A. Mickiewicz, „Księgi narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego”, Paryż 1832.

Gdy dziki tratują zieleń miast, gdy nasze parki i ogrody stają się ich żerowiskiem; gdy półdzicy ludzie napierają na granice państw – wtedy ujawnia się dziwne podobieństwo naszych czasów z epoką upadku cesarstwa rzymskiego. Dwóch potężnych władców, cesarz rzymski i bizantyjski, uważało się za obrońców chrześcijaństwa i cywilizacji łacińskiej. Była ona w powszechnym przekonaniu ostoją ładu. A jednak dzikim hordom udało się wtargnąć w granice imperium; zniszczyły, spaliły i zrabowały jego dorobek. Katastrofę obserwował ze zdumieniem cały świat wczesnej epoki nowożytnej.

» Precz z cenzurą?

Gdy upadek cywilizacji europejskiej staje się dziś coraz bardziej oczywisty, narzucają się analogie z epoką, gdy Hannibal stawał u bram Rzymu, który mimo całej swej potęgi okazywał się bezbronny. Czy tak musiało się wtedy stać? I czy tak musi być dziś?

A gdybyśmy wykazali więcej konsekwencji od początku, wtedy, gdy komunizm cofał się pod naporem zdrowego rozsądku i zasad, a nade wszystko z powodu instynktu prawdy i odwagi w jej obronie zwykłych ludzi? Gdybyśmy uznali wówczas, że nasze państwo nie zasługuje na to, by pozostawić w nim zjełczałe złogi komunizmu, wszystkie te śmierdzące azjatyckie choroby, całą oślizgłą tkankę wewnętrzną pętającą umysły… Gdybyśmy zablokowali – na przykład – deprawację już wtedy coraz swobodniej sączoną poprzez media? Gdyby władze państw o chrześcijańskich korzeniach nie pozwoliły wtargnąć barbarzyńcom w swoje granice? Gdyby Kościół protestował na serio i nie pozwolił rozprzestrzenić się „rewolucji seksualnej" sześćdziesiąt lat temu wśród ludzi wierzących, ale naiwnie ciekawych nowości i pełnych zaufania wobec Zachodu? Gdyby władze państwowe w Polsce po 1989 roku, te, w których dominowali „nasi", skutecznie zablokowały pornografię i wszystkie obsceniczne wydawnictwa? Jak wyglądałaby dziś Polska, jak wyglądałaby Europa? O ile więcej dzieci mogłoby się urodzić. O ile odważniejsi byliby rodzice w bronieniu swoich praw. O ile silniejsze rodziny. A nauczyciele w szkołach? Czy ktoś z nich byłby na tyle cyniczny, by wsączać w umysły dzieci, w ich wyobraźnię, w delikatną dziecięcą psychikę „edukację seksualną"? Czy minister oświaty, która narzuca ją dziś w szkołach, nie byłaby już dawno wywieziona na taczce z rządowego gmachu? Może gdyby nie zabrakło przed czterdziestu laty u „naszych ludzi" cnoty męstwa w obronie moralności, niewinności, innymi słowy: w obronie rodzin, młodzieży, dzieci – czy nie obudzilibyśmy się dziś w innym świecie?

Pamiętam moje rozmowy w 1989 roku z rówieśnikami, młodymi wówczas ludźmi deklarującymi się jako „solidarnościowcy" i mającymi opinię niezłomnych antykomunistów, o konieczności zniesienia cenzury w mediach. „Ach, oczywiście, ale nie tylko cenzury politycznej!", dodawał każdy z nich, z dziwnie twardym spojrzeniem. „Obyczajowa cenzura bezwzględnie musi być zniesiona, inaczej nie będzie wolności. Musimy mieć wolny wybór". Patrzyłam na nich z przerażeniem, a oni mówili: „Nie rozumiesz, głupia kozo? Wolność!".

Jeden był szefem studenckiego klubu filmowego, drugi znanym dziennikarzem prasy podziemnej; dużo później dowiedziałam się, że obaj uwikłani byli w służby specjalne.

Czyż hasło: „Precz z cenzurą obyczajową!" nie okazało się fałszywe i głupie? Przegraliśmy! Ale może nawet nie próbowaliśmy wygrać?

ILUSTRACJA: MARIUSZ TROLIŃSKI AI

eprasa.pl 2f22a6ded1

» **„Opanował mnie święty gniew"**

Kiedy zaczęła rozpadać się nasza cywilizacja? Kiedy państwo przestało chronić rodziny. Gdy wszyscy zaczęliśmy udawać, że pornografia w kioskach, księgarniach, na ekranach kin to zupełnie zwykła, normalna sprawa, że nie można być świętoszkiem, gorszą się zawsze purytanie, trzeba tylko „chronić najmłodszych". Tak obłudnie i zarazem bardzo wygodnie to nowe zło nazywano. Jeszcze przez pewien czas kioskarze usuwali z witryn tygodniki o najbardziej wyuzdanych okładkach, chowali pornograficzne gazetki do teczek, tylko dla specjalnych klientów. Pojedyncze osoby jeszcze protestowały, coraz bardziej nieporadnie, bo jak tu się sprzeciwiać, kiedy wszyscy wokół uważają, że tak wygląda normalność, że na tym polega wolność, że trzeba dotrzymać kroku Zachodowi. Potem już wszyscy machnęli ręką. Rzecz jasna, zdarzały się wyjątki.

Elżbieta Lubomirska-Stadnicka mieszkała po wojnie we Francji, ale zawsze pilnie śledziła sytuację w kraju. Gdy komuniści wprowadzili stan wojenny, przysłała z Francji, za sprawą swoich tamtejszych przyjaciół, kilkadziesiąt ciężarówek z pomocą dla internowanych i ich rodzin; sama przyjeżdżała kilka razy z darami od Francuzów. Podczas jednego z tych wypadów, gdy odwiedzała rodzinę w Krakowie i wybierała się akurat na Mszę św. w intencji zamordowanego Grzegorza Przemyka, zobaczyła wśród tłumu na ulicy Niepokalanej Panny Marii rozbawioną grupę ludzi przed wystawą nowo otwartego sklepu Benettona. „Podeszłam, by sprawdzić, co się dzieje, i zobaczyłam, że w wielkim oknie wystawowym siedzi zupełnie naga dziewczyna, która ma na głowie welon zakonnicy, a w ręku książeczkę do nabożeństwa. Tego się nigdy w Polsce nie widziało… Opanował mnie święty gniew. Wpadłam jak bomba do sklepu, zwymyślałam sprzedawców, dopadłam kobiety na wystawie i zaczęłam krzyczeć: »Co pani robi?!«. Chwyciłam ją za głowę, zdarłam welon, a potem wyrwałam książeczkę, którą trzymała w ręku. […] Zwymyślałam Benettona. Ludzie w środku zamarli. Jak to możliwe, żeby zachodnie firmy wchodzące na nasz rynek uwłaczały naszemu narodowi i świętościom przez niego wyznawanym? Jak można uwłaczać siostrom karmelitankom?... Do tej dziewczyny powiedziałam: – Rozumiem, że chcesz zarobić, ale nie bierz do tego książeczki do nabożeństwa i welonu zakonnicy... Tłum zaczął napierać zewsząd, obserwując, co się dzieje. Dziewczyna ku radości ulicy wstała i uciekła. Kiedy już wyszłam przed sklep, krzyknęłam gromko do tłumu: – Macie też na co patrzeć, jak za chwilę Msza św., bo Przemyka zabili!… Po drugiej stronie ulicy w sklepie z oknem wystawowym była taka sama scena, tyle że z odzieżą męską, ale stamtąd już nagi mężczyzna zniknął"[1]. Natychmiast ruszyła ze skargą na posterunek milicji. Próbowano ją tam wyśmiać. Zadzwoniła do rodziny krakowskich aptekarzy, Kochów, właścicieli kamienicy ze sklepem Benettona (niebawem wymówili firmie lokal), szturmowała pałac arcybiskupi. Cały Kraków już o niej wiedział.

Dziś ulica krakowska śmiałaby się jej prosto w nos. Czego baba się czepia? „Nawiedzona wariatka!" – wołano by za nią.

Podobna, choć mniej spektakularna scena pojawia się we wspomnieniach Heleny z Bröel-Platerów Mycielskiej, wiekowo zbliżonej zresztą do Elżbiety Stadnickiej, także z Krakowa. Ona również zrobiła publiczną awanturę w jednej z eleganckich księgarń w śródmieściu, gdzie zdarła ze ściany ilustrowany kalendarz z okładką, którą nazwała gorszącą, wulgarną, prostacką, znieważającą kobiety i naszą kulturę. Patrzono na starszą damę z mieszaniną udawanej rewerencji i politowania,

[1] E. Lubomirska-Stadnicka, „Na krawędzi epok 1922–2017", Warszawa 2019.

eprasa.pl 2f22a6ded1

wyjściu jej z księgarni towarzyszyły tłumione chichoty i pukanie się w czoło personelu.

» Towarzysz Lenin i towarzyszka Kołłątaj przecierają szlak

A przecież wystarczyłoby uzmysłowić sobie, skąd wzięło się przyzwolenie w Polsce na niemoralne, jawnie destrukcyjne wobec najzwyklejszej wrażliwości człowieka treści w publicznej sferze: z Rosji sowieckiej. Wewnętrzna znieczulica, a w końcu przyzwolenie postępowały stopniowo, krok po kroku, by nie wywołać szoku. Tadeusz Boy-Żeleński był zaledwie kilkanaście lat w tyle za rewolucją październikową. To nie tylko głośny autor „Piekła kobiet" z 1930 roku, lecz także broszury „Nasi okupanci" (1932), w której grzmiał przeciwko kardynałowi Hlondowi z powodu jego stanowczych słów w obronie małżeństwa i życia ludzkiego. Wraz z Ireną Krzywicką był propagatorem legalizacji aborcji, antykoncepcji, edukacji seksualnej; wszystko to umieszczał w worku tzw. świadomego macierzyństwa. W listopadzie 1939 roku manifestacyjnie poparł – wraz z grupą pisarzy kolaborantów – zajęcie polskich Kresów przez Armię Czerwoną. Nie szczędził okazji, by wyrazić radość z „upadku Polski szlacheckiej". W latach 1939–1941 wysługiwał się jak mógł Sowietom w okupowanym przez nich Lwowie. Otrzymał katedrę na Uniwersytecie Lwowskim, działał w oficjalnym Związku Literatów Polskich, publikował w „Czerwonym Sztandarze". W sierpniu 1940 roku był goszczony w Moskwie przez Wszechzwiązkowy Komitet ds. Nauki ZSRR. Swój pobyt entuzjastycznie zrelacjonował w „Czerwonym Sztandarze".

Nie był osamotniony w bojach o wyzwolenie seksualne w tym nędznym szlacheckim zaścianku, jakim była dla niego II Rzeczypospolita. Wyprzedził go sąsiad zza wschodniej granicy, Włodzimierz Ilicz Lenin, który już w grudniu 1917 roku podpisywał dekrety znoszące instytucję małżeństwa, kary za homoseksualizm i aborcję. Rodzina została uznana za przesąd, a przyzwoitość, dobre prowadzenie się, wierność małżeńska za „moralność burżuazyjną". Lenin miał przy boku Aleksandrę Kołłątaj, komisarza do spraw opieki społecznej, która całą kampanię brutalnego rozprawienia się z rodziną i moralnością przeprowadzała bez zbędnych wahań. Kobieta sowiecka miała odtąd być narzędziem do zaspokajania popędu seksualnego klasy robotniczej oraz równie wydajną jak mężczyzna siłą roboczą. Już w 1918 roku specjalny dokument nakazywał „uspołecznienie panienek i pań"; w jednym z sowieckich miast wydawano „proletariuszom" specjalne talony na korzystanie z ich ciał. Komisarz Kołłątaj cieszyła się niewymownie, że wkrótce nadejdą czasy „pełnego uspołecznienia" dzieci. Masowa skala wykorzystywania kobiet, brutalnych gwałtów na młodych dziewczętach z innych klas społecznych nie budziły w niej niepokoju co do naruszania praw kobiet, których była żarliwą orędowniczką. Jej tubą stał się Komsomoł. Moskiewska „Prawda" grzmiała: „W oczach młodzieży dziewczyna, która wstrzymuje się od seksu, jest nie tylko burżujką, ale taką, która niszczy swa młodość w imię przesądów przeszłości, oszczędza się dla męża, posiadacza prywatnej własności".

Aleksandrze Kołłątaj, wspartej dekretami Lenina, sowieckie społeczeństwo zawdzięczało, że w 1934 roku ponad 70 proc. ciąż kończyło się aborcją, młode kobiety były zmuszane do stosunków seksualnych na życzenia „proletariusza" i „towarzysza", małżeństwo przestało prawnie istnieć, a dzieci, które się jakimś cudem urodziły, odbierane były rodzicom i umieszczane w monstrualnych żłobkach, homoseksualizm i wszelkie rodzaje wyuzdania zostały pobłogosławione przez władzę. Dopiero potwornych rozmiarów plaga chorób wenerycznych, prostytucji i zbiorowych gwałtów oraz lawinowy

eprasa.pl 2f22a6ded1

spadek urodzeń spowodowały, że Stalin stopniowo musiał łagodzić zasady nowego kodeksu obyczajowego, w obawie przed wyludnieniem sowieckiego raju przed planowaną wojną. (Homoseksualizm zaś w końcu potępiono tylko dlatego, że rozpowszechniali go artyści, burżuje i inne warstwy upadłe). Ogromna skala aborcji w dzisiejszej Rosji to skutek bolszewickiego programu „wolnej miłości" dla zniewolonych sowieckich obywateli.

Aleksandrę Kołłątaj jeszcze dziś lansuje się – także w polskich mediach – jako bojowniczkę o prawa kobiet, osnuwając jej życie romantyczną legendą ideowej prekursorki emancypacji kobiet. Z pewnością jest ona natchnieniem i gwiazdą przewodnią dla obecnej minister oświaty.

» Polacy nie zasługują na to, by mieć dzieci

Chodzi dziś przecież o to samo: żeby dzieci się nie rodziły. A te, które już się jakimś trafem narodzą, by mogły jak najszybciej rozpocząć „przygodę ze swoją seksualnością" i stać się częścią bezwolnego, otępiałego tłumu, którym sterowanie jest dziecinną igraszką. Towarzyszce Kołłątaj i Leninowi rok 1968 na Zachodzie zawdzięcza swoje główne inspiracje. To oni wytyczyli drogę ku przyszłości, tak by zadrżały i zwaliły się z hukiem wszystkie bastiony wstecznej „burżuazyjnej moralności" w Europy i Stanach Zjednoczonych.

Swój wkład w szerzenie nowej moralności w Polsce mają także Niemcy. Podczas okupacji w naszym kraju wprowadziły bezwarunkową aborcję. W lipcu 1942 roku Hitler zadecydował o konieczności zmniejszenia populacji polskiej ludności: „W obliczu dużych rodzin tubylczej ludności jest dla nas bardzo korzystne, jeśli dziewczęta i kobiety mają możliwie najwięcej aborcji". Nie wahał się grozić: „Osobiście zastrzelę tego idiotę, który chciałby wprowadzić w życie przepisy zabraniające aborcji na wschodnich terenach okupowanych". Był to ten jedyny okres w historii Polski, kiedy aborcja „na żądanie" była dozwolona, mimo że było to sprzeczne zarówno z prawem polskim, jak i prawem międzynarodowym, które Niemcy zaakceptowały, podpisując konwencję haską w 1907 roku.

Naszym wrogom zawsze zależało na tym, by gra instynktów wypierała w Polakach wszelką refleksję i niszczyła ich zasady. Przyzwoitość jeszcze nie była w powszechnym przekonaniu „obciachem", a w każdym razie nikt o tym głośno nie mówił, ale była niewątpliwie czymś w naszych rodakach znienawidzonym przez obydwu okupantów. Bo to ona była naprawdę groźna, ona dawała siłę, ona nie pozwalała, byśmy się im poddawali. Nasi wrogowie to doskonale rozumieli. Dziś jest wśród nas wielu ludzi uważających się za patriotów, dla których to są jakieś przestarzałe przesądy, jakieś śmieszne marudzenie. Powszechne stało się przekonanie, że przekraczanie norm obyczajowych jest tożsame z wolnością.

Pomija się oczywistość silnej zależności między niemoralnym życiem a nienawiścią, która zawsze jest skutkiem duchowego zniewolenia. Gdy mówi się o seksualnym rozpasaniu, rozwiązłości, nazywając swobodę seksualną prawem człowieka, przywołuje się rzekomo naturalne skłonności człowieka, nad którymi zapanować nikt z normalnych ludzi nie może, a nawet nie ma prawa, bo niszczyłby w ten sposób własną naturę, stałby się wrogiem własnego ciała. Dokąd jednak trwały więzy cywilizacji chrześcijańskiej, dokąd przekraczanie norm nie było aktem odwagi ani radosnego wyzwolenia, nikt nie czuł się zniewolony przez zwykłe, zrozumiałe dla wszystkich zasady moralności. Odstępstwa od nich budziły powszechny sprzeciw i niechęć. Cenzura obyczajowa była czymś oczywistym i – poza kręgami skrajnie liberalnymi – nie dyskutowano o jej prawomocności. Lawina

eprasa.pl 2f22a6ded1

ruszyła w 1968 roku. I ponieważ Kościół – szczególnie na Zachodzie – bardzo nieśmiało ją komentował lub milczał, zaczęła się toczyć z coraz większym impetem.

» Zemsta bezdomnego umysłu

Czy trzeba zatem przypominać, że epidemia obojętności religijnej, ateizmu, apostazji nie wzięła się znikąd, lecz właśnie z rozpowszechnienia się rozwiązłości, z upadku obyczajów? Człowiek żyjący na bakier z moralnością jest kimś, kto traci poczucie przynależności do samego siebie. Zaczyna ulegać siłom odśrodkowym, „przestaje »być u siebie«, nie ma dostępu do własnej tajemnicy. Jak Judasz zostaje wyprowadzony na zewnątrz, w ciemność. Co gorsza, zaczyna te ciemności miłować" – komentuje karmelita o. Marian Zawada[2]. To przekleństwo Kaina. „A zatem – nie będziesz miał swej ziemi, swej ojczyzny, swego domu – wszędzie będziesz obcy. U podstaw ateizmu ujawnia się duchowa bezdomność, piętno wypędzenia".

Ten sam autor przypomina, że w ateizmie ujawnia się zemsta „nieszczęśliwego, obłąkanego bezdomnością umysłu". Ateiści nigdzie nie są w stanie się zakorzenić, wszędzie są obcy. Znakomicie widać to w prozie Alberta Camusa, zwłaszcza w powieści „Obcy". „[…] utopia, pozór nigdzie się nie zakorzeniają, niczego nie budują i nigdy nie mogą się zatrzymać. Ich wyznawcy stają się w przedziwny sposób orędownikami wypędzonych". Czy gwałtowny, wręcz histeryczny afekt naszych lewicowych braci, czczących religię LGBT i dostęp do aborcji na życzenie, ku uchodźcom, ludziom wszelkich ras, religii i „kultur", których chcieliby witać kwiatami – niech razem ze sforami dzików swobodnie depczą trawniki i tratują słupy graniczne – nie wziął się stąd? A wraz z nim histeryczne oskarżenia wobec wszystkich, którzy chcieliby ten napór obcych kulturowo mas powstrzymać.

Może wtedy, gdy działacze opozycyjni, którzy potem stawali się ekspertami „S", twardo obstawali przy zakazie cenzury obyczajowej, należało podnieść alarm? „Co wy mówicie, to przecież niedorzeczne! To głupie i nielogiczne". Ale jakakolwiek dyskusja wtedy była tłumiona i piętnowana jako wymysł. Na Zachodzie jest wolność! – kwitowano sprawę.

» Czym jest cywilizacja

„Wyraz cywilizacja znaczył obywatelstwo, od słowa łacińskiego civis, obywatel" – przypominał Mickiewicz. „Obywatelem zaś nazywano człowieka, który poświęcał się za Ojczyznę swą, jako Scevola i Kurcjusz, i Decjusz, a poświęcenie takie nazywano obywatelstwem. […] Ale potem, w bałwochwalczym pomieszaniu języków nazwano cywilizacją modne i wykwintne ubiory, smaczną kuchnię, wygodne karczmy, piękne teatra i szerokie drogi"[3].

Tymczasem, dodaje cytujący ten fragment „Ksiąg…" prof. Bogusław Dopart, „ani dobrobyt, ani gospodarność, ani sprawne rządy nie są kryteriami cywilizacji": „»Albowiem cywilizacja, prawdziwie godna człowieka, musi być chrześcijańska«"[4]. Nic nie zdezaktualizowało tej definicji Adama Mickiewicza.

Mijały stulecia odkąd, wydawało się, bezpowrotnie legł w gruzach świat rzymskiego imperium, świat starożytnego – i już od czterech stuleci nowożytnego – ładu. Jednak barbarzyńcy z czasem się nawrócili i ucywilizowali. Rozpoczęło się żmudne wznoszenie cywilizacji łacińskiej z porośniętych mchem ruin. ■

[2] Ojciec dr Marian Zawada OCD, „Detronizacja człowieka. Świat manekinów i półautomatów", „Wpis", nr 7–8 2025 r.

[3] A. Mickiewicz, *op. cit.*

[4] B. Dopart, wykład w poznańskim Towarzystwie Uczonych UNIVERSITAS (za:) „Wpis", nr 7–8 2025 r.

eprasa.pl 2f22a6ded1



Jakub Maciejewski



Moczaryzm – prawdziwy i wyobrażony

W walkach frakcyjnych PZPR przez dziewięć lat funkcjonowała grupa moczarowców, którzy podszywali się pod polski patriotyzm, by pozyskać przychylność ludzi i zbudować ideologiczne podwaliny pod narodowy komunizm. Sprawa wydawałaby się dawna i zamknięta, gdyby nie fakt, że dziś historycy nurtu lewicowo-liberalnego tropią Mieczysława Moczara we współczesnej polityce.

eprasa.pl 2f22a6ded1

Moczar był ubekiem najgorszego sortu. Wcześniej został agentem NKWD, którego zainstalowano w Polsce, by budować struktury komunistyczne dla przejęcia władzy. Zaraz po II wojnie światowej jako szef Urzędu Bezpieczeństwa w Łodzi odpowiadał za sfałszowanie referendum oraz wyborów do Sejmu, spacyfikowanie niezależności Polskiego Stronnictwa Ludowego czy tłumienie protestów. W połowie 1948 roku Moczar miał na liście „zasług" dysponowanie 1529 tajnymi informatorami, a tylko w pierwszym roku urzędowania w WUBP w Łodzi z powodów politycznych stracono 108 osób. Kierował też walkami z podziemiem niepodległościowym oraz odpowiadał za tortury i katowanie więźniów. Był konsekwentnym realizatorem polityki sowietyzacji kraju na trupach polskich przeciwników komunizmu. Jednak w wyniku odwilży 1956 roku i złagodzenia represji wobec społeczeństwa Moczar znalazł dla siebie inny pomysł na funkcjonowanie w strukturach PRL i na przejęcie całkowitej władzy zamiast Władysława Gomułki.

» Moczaryzm prawdziwy

Za rok powstania grupy Moczara uznaje się 1962 i publikację książki „Siedem polskich grzechów głównych". Autor, Zbigniew Załuski, przekonywał, że w powojennych czasach pomija się cały łańcuch zdarzeń z polskiej historii, które w swoim rewolucyjnym zapale i walkach z wrogiem przygotowały grunt pod socjalizm. Załuski miał na myśli i powstańców styczniowych, i rewolucję 1905 roku, a także polskie podziemie okresu II wojny światowej, z Armią Krajową włącznie. Dyskusja, która eksplodowała po publikacji, pozwoliła moczarowcom zlokalizować ludzi, którzy sprzyjają PRL, ale chcą ją zakorzenić w tradycji niepodległościowej. Moczar zaczął więc podkreślać swoją kartę wojenną jako partyzanta Gwardii Ludowej, a później Armii Ludowej, przejął Związek Bojowników o Wolność i Demokrację, przejął kilka redakcji czasopism komunistycznych i rozpoczął krytykę innej frakcji PZPR, którą skrycie nazywano po prostu „Żydami». Dotyczyło to w istocie nie tyle ludzi o żydowskim etnosie, ile komunistów, którzy przyjechali nad Wisłę wraz z Armią Czerwoną, a siłą rzeczy często to byli Żydzi, którzy na terenach okupacji niemieckiej nie mieli wielkich szans na przeżycie. Moczar więc zwalczał „sowieciarzy", do których przecież sam wcześniej należał.

„Partyzanci" zaczęli przywracać narrację o dumie z polskiej historii, przyjmować weteranów Armii Krajowej do ZBoWiD, stawiać setki pomników upamiętniających walkę z Niemcami, organizować uroczystości z pocztami sztandarowymi, przemówieniami, wieńcami kwiatów. Było to skrajnie wybiórcze i podfałszowane – Narodowe Siły Zbrojne wciąż były uważane za faszystów, pomijało się zbrodnie Gwardii Ludowej, atakowano rząd londyński, rozkręcano dyskusję o zgubnym wpływie Żydów na Polskę, mając na celu oczywiście nie żydowskich krawców z Krakowa czy szewców z Warszawy, a konkretną frakcję w PZPR. Milowym krokiem budowania stronnictwa „partyzantów" była publikacja książki wspomnieniowej Moczara w 1962 roku i ekranizacja tejże w 1964 roku. Nacisk na martyrologię, bohaterstwo i walkę z bronią w ręku wkrótce został poszerzony o opowieść na temat Polaków ratujących niewdzięcznych Żydów w czasie okupacji.

Taki wizerunek był budowany na zewnątrz frakcji, gdy tymczasem twórcy ruchu byli twardogłowymi komunistami, a sam Moczar miał świetne kontakty z ówczesnym przywódcą KGB – Władimirem Siemiczastnym. Tworząc swoje stronnictwo wśród członków PZPR

FOT. NAC

eprasa.pl 2f22a6ded1

(należał do niego przez krótki okres nawet Edward Gierek), ale też dziennikarzy i intelektualistów, Moczar stosował ubeckie metody, które były zresztą tajemnicą poliszynela. Mieczysław Rakowski zanotował w swoim dzienniku, że „Pan Moczar zaczyna rozciągać swoje skrzydełka nad wszystkim i wszystkimi. O tym zresztą, że istnieją podsłuchy, że nagrywa się rozmowy i wykorzystuje taśmy, wszyscy w aktywie dobrze wiedzą". Nie znamy akt sowieckich w sprawie Moczara, ale nieprzypadkowo „Mietek" przypuścił ostateczny szturm na władzę, rozpętując antysemicką nagonkę w 1968 roku, zagrażając pozycji Gomułki, a jednocześnie trzymając resort siłowy, jakim było MSW. Rok wcześniej ekipa Breżniewa na Kremlu wymieniła szefa KGB na dużo bardziej subtelnego w działaniu – Jurija Andropowa. Dla Moczara to był ostatni dzwonek, by obalić Gomułkę. Ostatecznie mu się to nie udało, choć bardzo osłabił tę frakcję, która funkcjonowała na fundamencie komunistów „zagranicznikow", przywiezionych na sowieckich czołgach wraz z Armią Czerwoną.

Po raz kolejny podkreślić jednak należy, że moczaryzm budował jedynie fasadę patriotyzmu. Sam Moczar był przecież Ukraińcem z urodzenia (Mikołaj Diemko), zwykłym zbrodniarzem, który swoje otoczenie poddawał ubeckiej kontroli poprzez zbieranie „haków" i zastraszanie przeciwników. Tak jak ruch „księży patriotów" nie miał nic wspólnego z autentycznym odnawianiem Kościoła katolickiego, tak jak „robotniczość" PZPR nie przynosiła autentycznej troski o robotników, tak i „partyzanci" swój patriotyzm jedynie brali na sztandary, nadal zakłamując historię, choć w inny sposób niż robili to komunistyczni poprzednicy. Uporczywe podkreślanie najciemniejszych kart „partyzantów" ma dziś szczególne znaczenie – paradoksalnie są one przemilczane przez współczesnych autorów. W ogóle nie koncentruje się na tym Paweł Machcewicz w swojej książce na ten temat, enigmatycznie wspomina o tym dziennikarz Krzysztof Łapiński w swojej pracy o „partyjnym betonie". Autorzy powiązani z mainstreamową prasą, którzy gardząc najgorszą odmianą PRL-u z lat 1948–1956, nagle bagatelizują ten okres, który był fundamentem frakcji, którą opisują. Tu pojawia się więc ujęcie moczaryzmu jako innej idei.

Prawdziwy Moczar był produktem systemu przemocy i zależności od Moskwy, a nie emanacją polskiej tradycji, do której się cynicznie odwoływał.

» Moczaryzm wyobrażony

Wyrwanie z frakcji „partyzantów" ich agenturalności, serwilizmu wobec Moskwy, zbrodniczości i cynizmu wobec prawdziwego patriotyzmu – opisy Machcewicza czy Łapińskiego do złudzenia przypominają teksty „Gazety Wyborczej" na temat... Prawa i Sprawiedliwości. Atakowanie pamięci o Żołnierzach Wyklętych, bagatelizowanie historii

eprasa.pl 2f22a6ded1

Polaków ratujących Żydów i tropienie antysemityzmu u badaczy Sprawiedliwych wśród Narodów Świata do żywego przypominają teksty Jana Grabowskiego czy Barbary Engelking. Łapiński na końcu książki zapytuje więc, gdzie dziś jest „partia", sugerując, że na polskiej prawicy. Machcewicz wprost wymienia węgierski Fidesz i polskie Prawo i Sprawiedliwość jako spadkobierców idei budowania tożsamości na polityce historycznej: „Nietrudno dostrzec w »partyzantach« prekursorów na polskim gruncie takiego właśnie wykorzystywania haseł i emocji, odnoszących się do zagrożeń dla wspólnoty etniczno-kulturowej, eksploatujących nagromadzone lęki i frustracje". Ta logika jest jednoznacznie błędna – budowanie świadomości społecznej w oparciu o patriotyzm było charakterystyczne także dla przedwojennej Polski, społeczeństwa polskiego pod zaborami, a nawet było obecne w świecie wartości staropolskich. To Moczar podszywał się pod ten nurt, bo przecież pomniki stawiane przez Stanisława Augusta Poniatowskiego nie były kopią upamiętnień „partyzantów". To głębokie (czy celowe?) niezrozumienie fundamentalnych różnic między jedną z frakcji PZPR a współczesną polską prawicą ma jednak dalsze konsekwencje i specyficzne korzenie.

Przede wszystkim elity III RP, postrzegając PiS jako przedłużenie moczarowców, naprawdę polskiej prawicy się boją. Instytut Pamięci Narodowej postrzegają niczym PRL-owski ZBoWiD, a Ministerstwo Sprawiedliwości doby Zbigniewa Ziobry jako Ministerstwo Spraw Wewnętrznych z lat 60. XX wieku. Kwestionowanie dorobku takich profesorów jak Andrzej Friszke czy Barbara Engelking równają z antyinteligenckimi wiecami „partyzantów", Muzeum Polaków Ratujących Żydów w czasie II Wojny Światowej – jako przykrywkę do utajonego polskiego antysemityzmu. System Pegasus, służący do łapania szpiegów, oni naprawdę postrzegali jako moczarowskie podsłuchy ze wspomnień Rakowskiego, a prasę sprzyjającą „Mietkowi" widzą dziś w takich tytułach jak „Gazeta Polska". Cały dyskurs tego nurtu anty-PiS-u do bólu przypomina wyselekcjonowane opisy „partyzantów" z lat 60. Ale jeszcze bardziej wymowne są tutaj korzenie takiego światopoglądu.

Tak się przecież składa, że moczarowcami jesteśmy dla tych, którzy faktycznie wywodzili się z konkretnych PRL-owskich nurtów intelektualnych. Adam Michnik, Jan Tomasz Gross, Daniel Passent czy ojciec Jana Grabowskiego faktycznie na własnej skórze odczuwali falę moczaryzmu. Podobnie obrońcy dorobku PRL, tacy jak Mieczysław Rakowski czy (nadal żyjący) Andrzej Werblan, krytykując polską prawicę, obawiali się nie zrywu nawiązującego do piłsudczyków, lecz wyobrażonych moczarowców drzemiących pod łóżkami w każdym polskim domu.

Można więc odnieść wrażenie, że „moczaryzm" stał się dziś bardziej figurą retoryczną niż realnym zjawiskiem – straszakiem wyciąganym z lamusa PRL, by porządkować współczesne spory według dawnych lęków i biografii. Tyle że w tej operacji znika to, co najważniejsze: prawdziwy Moczar był produktem systemu przemocy i zależności od Moskwy, a nie emanacją polskiej tradycji, do której się cynicznie odwoływał. Zrównywanie jednego z drugim nie jest tylko błędem historycznym – to wygodna ucieczka od uczciwego opisu rzeczywistości. Bo jeśli każdy patriotyzm da się sprowadzić do „moczaryzmu", to nie trzeba już rozumieć ani historii, ani współczesności – wystarczy powtarzać stare zaklęcia. A wtedy prawdziwe pytanie nie brzmi, gdzie dziś są „partyzanci", lecz kto i po co wciąż ich potrzebuje. ■

eprasa.pl 2f22a6ded1



Małgorzata Matuszak



Edukacja na rozdrożu

Pokolenie Alfa coraz częściej opisywane jest językiem deficytów. W narracji tej dzieci stają się problemem, który należy zdiagnozować i naprawić. Tymczasem taka perspektywa pomija najważniejsze pytanie: czy to rzeczywiście z nimi jest coś „nie tak", czy raczej z warunkami, w jakich funkcjonują?

eprasa.pl 2f22a6ded1

Nie chodzi przecież tylko o to, że pokolenie Alfa „nie daje sobie rady". Chodzi o to, że funkcjonuje w rzeczywistości, która wymaga innych kompetencji, a jednocześnie trafia do instytucji, które tych zmian nie uwzględniają. To napięcie między światem dziecka a światem szkoły wydaje się dziś jednym z kluczowych problemów edukacji.

» Uwaga, która musi walczyć o przetrwanie

Pokolenie Alfa dorasta w warunkach permanentnej stymulacji. I nie jest to jedynie tło jego życia, lecz czynnik, który bezpośrednio kształtuje funkcjonowanie poznawcze. Środowisko cyfrowe zostało zaprojektowane tak, by maksymalnie przyciągać uwagę. Krótkie formy wideo, dynamiczne treści, szybkie przełączanie bodźców – wszystko to działa w oparciu o mechanizm natychmiastowej nagrody, każdy gest, każde przesunięcie ekranu przynosi zaś nowy impuls, który ma być bardziej angażujący od poprzedniego. W takich warunkach mózg uczy się reagować szybko, przeskakiwać między bodźcami i nie zatrzymywać się zbyt długo w jednym miejscu. Czyż więc to, co z zewnątrz wygląda jak problem z koncentracją i nieumiejętnością skupiania się młodych ludzi, nie jest w istocie naturalną konsekwencją tego procesu? Nie brakiem zdolności, lecz adaptacją do środowiska?

Problem pojawia się szczególnie wyraźnie wtedy, gdy dziecko trafia do przestrzeni, która działa według zupełnie innych zasad – do szkoły, która nadal opiera się na długotrwałym skupieniu, linearnym przekazie i zadaniach wymagających cierpliwości. W efekcie uczniowie reagują frustracją, nie dlatego, że „nie potrafią", ale dlatego, że oczekuje się od nich funkcjonowania w trybie, który nie jest dla nich naturalny.

Coraz częściej obserwujemy trudności z koncentracją, zapamiętywaniem i utrzymywaniem uwagi przez dłuższy czas. Szczególnie obciążające stają się zaś zadania wymagające powtarzalności i wysiłku, zniechęcenie pojawia się wtedy szybko, a próg tolerancji na frustrację wyraźnie się obniża. Nie oznacza to jednak, że dzieci straciły zdolność uczenia się. A raczej to, że sposób, w jaki uczą się na co dzień, różni się od tego, czego oczekuje szkoła. Wydaje się bowiem, że nie tyle zniknęła zdolność skupienia się i uwagi młodych ludzi, ile zmieniły się warunki, w których zdolności te są wykorzystywane. Dzisiejsze dzieci dorastają wszak w środowisku, które nie ma historycznego odpowiednika.

Konsekwencją tych zmian jest również fakt, że zmienił się stosunek uczniów do samego procesu zapamiętywania. Współczesny młody człowiek widzi coraz mniej sensu w „pamięciówce", skoro dostęp do informacji ma niemal natychmiastowy. Problem polega jednak na tym, że wiedza, której się nie przyswoiło, nie staje się narzędziem myślenia, w efekcie czego nauka staje się procesem powierzchownym. Informacje są przyswajane szybko, ale równie szybko znikają. I tutaj też nie jest to kwestią braku zdolności, lecz efektem sposobu funkcjonowania w środowisku, które premiuje błyskawiczny dostęp, nie zaś trwałe przyswajanie.

» Między dostosowaniem a wymaganiem

W odpowiedzi na te zmiany pojawia się presja, by szkoła dostosowała się do nowych realiów. Rodzi się jednak w tym miejscu zasadnicze pytanie: jeśli szkoła zacznie

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 2f22a6ded1

dostosowywać się do współczesnych możliwości uczniów, skracać formy, upraszczać przekaz, łagodzić wymagania, czy nie doprowadzi to do pogłębienia problemu, który chce rozwiązać? Jak w takich warunkach nauczyć czytać ze zrozumieniem, skupienia na złożonym problemie, wytrwałości w zadaniu, które wymaga czasu? Jak nauczyć myślenia, jeśli zniknie przestrzeń na wysiłek? To nie są pytania retoryczne, ale realny dylemat, przed którym stoi dzisiejsze szkolnictwo.

Z jednej strony coraz wyraźniej widać, że tradycyjny model szkoły rozmija się z doświadczeniem ucznia, z drugiej zaś równie wyraźne jest ryzyko, że próba „dogonienia" współczesności skończy się rezygnacją z tego, co w edukacji najważniejsze. Jeśli dostosowanie zacznie oznaczać obniżanie wymagań, szkoła przestanie pełnić swoją podstawową funkcję: rozwijania zdolności myślenia. Bo nie da się nauczyć myślenia bez wysiłku. Nie da się nauczyć koncentracji bez ćwiczenia koncentracji. Nie da się nauczyć pisania bez pisania, również wtedy, gdy jest to trudne, żmudne i wymaga czasu.

Problem polega jednak na tym, że dla wielu uczniów ten wysiłek przestał mieć sens. Nie dlatego, że jest zbyt duży, ale dlatego, że jest niezrozumiały, oderwany od rzeczywistości, pozbawiony kontekstu, często sprowadzony do mechanicznego wykonywania poleceń. W takiej formie wysiłek nie buduje kompetencji, a jedynie frustrację. Dlatego kluczowe rozróżnienie nie przebiega między „łatwym" a „trudnym", lecz między wysiłkiem znaczącym a wysiłkiem pustym. To napięcie szczególnie wyraźnie widać w podejściu uczniów do uczenia się matematyki. Istotnie, niewiele z nabytej wiedzy wykorzystuje się zwykle w dorosłym życiu. To nie wzory w nauce matematyki są jednak celem, ale człowiek, który dzięki nim uczy się rozwiązywać problemy, nabywa zatem kompetencji potrzebnych niezależnie od zawodu.

Rzecz więc w tym, że to nauczyciel, a często także rodzic, musi ten sens nauki i związanego z nią wysiłku uczynić widocznymi. Nie można bowiem zakładać, że dziecko samo, tak od razu, go dostrzeże, ponieważ jego zdolności do myślenia abstrakcyjnego i odraczania korzyści dopiero się rozwijają, a to właśnie od tego, czy sens stanie się jawny, zależy jego stosunek do wysiłku. Pokolenie Alfa nie odrzuca bowiem wysiłku jako takiego. Odtrąca wysiłek, który nie prowadzi do realnego efektu, nie daje sprawczości i nie łączy się z doświadczeniem. Jeśli jednak widzi sens, jest w stanie zaangażować się znacznie bardziej niż często zakładamy.

» Nie obniżać wymagań, lecz zmieniać drogę

W tym miejscu pojawia się zasadnicza zmiana perspektywy: szkoła nie powinna obniżać wymagań, lecz zmienić drogę, która do nich prowadzi. Nie można już zakładać, że uczeń „po prostu" potrafi skupić się przez kilkadziesiąt minut, ale trzeba go tego nauczyć, stopniowo. Nie można zaczynać od najtrudniejszych form, jeśli brakuje fundamentów. Droga powinna prowadzić od krótszych, bardziej angażujących form do dłuższych i bardziej wymagających, od obrazu do tekstu, od doświadczenia do abstrakcji. Nie jest to upraszczanie edukacji, lecz jej świadome projektowanie.

Jednocześnie nie oznacza to rezygnacji z tradycyjnych metod. Czytanie dłuższych tekstów, pisanie, rozwiązywanie złożonych zadań – wszystko to pozostaje

eprasa.pl 2f22a6ded1

fundamentem. Różnica polega na tym, że nie mogą one być punktem wyjścia. Muszą stać się celem, do którego się dochodzi, a nie warunkiem wstępnym uczestnictwa w edukacji.

Największe ryzyko pojawia się wtedy, gdy szkoła próbuje rozwiązać problemy poprzez ich obejście. Gdy zamiast uczyć koncentracji – skraca zadania, zamiast rozwijać myślenie – upraszcza treści, zamiast uczyć pisać – redukuje myślenie do zaznaczenia właściwej kratki w teście, zamiast stawiać jasne wymagania – rozmywa kryteria. W efekcie powstaje system pozornego postępu. Uczeń „zalicza", ale nie rozumie, „pisze", ale nie myśli, „czyta", ale nie wyciąga wniosków. Wszystko wygląda poprawnie, ale pod powierzchnią nie zachodzi realna zmiana. To właśnie, wydaje się, stanowi największe zagrożenie dla edukacji: nie sama jej trudność, lecz jej pozór. Dlatego odpowiedzią nie może być ani bezrefleksyjne trwanie przy tradycji, ani bezkrytyczne dostosowanie się do nowych warunków. Edukacja musi trwać między tymi dwoma biegunami. Rozwój zawsze przecież wiąże się z przekraczaniem aktualnych możliwości, a więc i towarzyszącym temu procesowi dyskomfortem. Różnica polega na tym, czy ten dyskomfort jest chaotyczny i przytłaczający, czy celowy i wspierany. W pierwszym przypadku prowadzi bowiem do wycofania, w drugim – do wzrostu.

» Między potencjałem a systemem

Obraz pokolenia Alfa jest głęboko ambiwalentny. Z jednej strony obserwujemy rosnące trudności poznawcze i emocjonalne, z drugiej – mamy do czynienia z pokoleniem o ogromnym potencjale: otwartym, elastycznym, dobrze odnajdującym się w świecie technologii, świadomym różnorodności i szybciej adaptującym się do zmian niż wcześniejsze generacje. To pokolenie jednocześnie silne i kruche, kompetentne i zagubione.

Problem polega na tym, że system edukacji coraz częściej nie tylko nie wykorzystuje tego potencjału, lecz wręcz go blokuje. Szkoła nie funkcjonuje w rytmie, który nie odpowiada csssodzienności ucznia. Wiedza przekazywana jest w sposób oderwany od doświadczenia, a struktura instytucji opiera się na założeniach, które tracą aktualność.

W odpowiedzi na te napięcia coraz częściej próbuje się „naprawiać" ucznia: diagnozować, wspierać, kompensować braki. Rzadziej zadaje się pytanie, czy problem leży rzeczywiście po jego stronie. Bo jeśli pokolenie Alfa jest inne – a wszystko wskazuje na to, że jest – to nie wystarczy oczekiwać, że dopasuje się do świata zaprojektowanego dla kogoś innego. Próba wtłoczenia go w stare ramy nie prowadzi do rozwoju, lecz do narastającej frustracji po obu stronach.

Jednocześnie w tej samej strukturze ginie coś jeszcze: przestrzeń dla tych, którzy mogliby wyjść poza standard. System edukacji coraz słabiej wspiera uczniów zdolnych, tych, którzy potrzebują nie tylko wyrównywania szans, lecz także możliwości rozwijania swoich talentów, pogłębiania zainteresowań i realnego stawiania im wyzwań. W praktyce oznacza to, że nie tylko trudności jednej grupy uczniów bywają niewystarczająco uwzględniane, lecz także potencjał drugiej coraz częściej pozostaje niewykorzystany.

Prawdziwe pytanie nie brzmi więc: co jest „nie tak" z tym pokoleniem. Brzmi: czy szkoła jest jeszcze w stanie stać się miejscem, w którym to pokolenie, w całej swej różnorodności, może się rozwijać, a nie tylko dostosowywać? ■

eprasa.pl 2f22a6ded1



Kościołowi trzeba wyważonego papieża

Krzysztof Wołodźko

– Oczekiwań dotyczących papieża jest mnóstwo, nie tylko w czasie konklawe. Niektórzy wierni chcieliby, żeby kolejny papież okazał się Piusem XIII. Ale mamy Leona XIV, który jest po prostu papieżem chrystocentrycznym, misjonarzem i ewangelizatorem – nie wyczułem w nim najmniejszej nuty relatywizmu religijnego. To papież bardzo wyważony. Takiego dziś Kościołowi trzeba – z ks. dr. hab. Robertem Skrzypczakiem rozmawia Krzysztof Wołodźko.

» 8 maja 2025 roku augustianin Robert Francis Prevost wstąpił na Stolicę Piotrową. Wybrał imię Leona XIV. Księże Profesorze, co już wiemy o tym pontyfikacie?

To pontyfikat stonowany, by nie powiedzieć – ostrożny. Leon XIV to wyważony, spokojny pasterz. Takiej roztropności pewnie nam dzisiaj potrzeba, zwłaszcza że łódź Piotrowa płynie po niespokojnych wodach. Nie tylko świat, również Kościół żyje pod presją narastającej polaryzacji. Środowiska postępowe w Kościele szukają jeszcze bardziej otwartej formuły w coraz szybciej zmieniającej się rzeczywistości. Nie tylko w Niemczech koncepcja synodalności kościelnej staje się wygodnym narzędziem dla zbyt daleko idących zmian. Na nadzwyczajnym konsystorzu, zwołanym przez papieża w styczniu 2026 roku, niektórzy mądrzy kardynałowie przestrzegali przed wzmacnianiem tego kierunku. Był wśród nich emerytowany kardynał z Hongkongu Joseph Zen Ze-kiun, który wprost ostrzegał przed kopiowaniem błędów Kościoła anglikańskiego.

» Leon XIV musi się mierzyć z nieoczekiwanymi wyzwaniami – jak krytyka ze strony rodaka, prezydenta USA Donalda Trumpa.

To rzecz aktualna, więc czujemy, że nas dotyka, ale uważam, że to epizod. Myślę, że prezydent USA szybko spostrzegł, że to nie jest dobra droga – tym bardziej że w listopadzie 2024 roku Donald Trump wyraźnie wygrał wśród amerykańskich katolików. Mnie osobiście Leon XIV zaimponował swoim zachowaniem w tej sytuacji: zachował się jak pasterz Kościoła, którego rolą jest przede wszystkim głoszenie Ewangelii. Nie było po jego stronie żadnych zbędnych emocji, teatralnych gestów, odwoływania się do osądu opinii publicznej.

» Gdyby na jego miejscu był papież Franciszek, mogłoby to się potoczyć inaczej.

Sprawa ma szerszy kontekst. Amerykanie potrzebują dzisiaj odnowy duchowej. Ruch MAGA [Make America Great Again – przyp. red.] dawał nadzieję także katolikom – w sprawach dotyczących legislacji, bioetyki, szacunku do osoby ludzkiej. Bardzo chciałbym, żeby w USA powtórzyła się historia z Polski.

» O czym Ksiądz Profesor myśli?

Pontyfikat św. Jana Pawła II był darem dla Polski i Polaków. Dziś już tego nie pamiętamy, ale nasze społeczeństwo – po dekadach socjalizmu – pod koniec lat 70. nie było ani zbyt religijne, ani nie stało etycznie na wysokim poziomie. Papież z Polski, głowa Kościoła, nie tylko największej religijnej organizacji na świecie, ale pontifex maximus Mistycznego Ciała Chrystusa – to był dla nas wielki dar. Papież był najbliżej, jak mógł, ideałów, na których wyrosła polskość. Przypomniał nam o znaczeniu naszej kultury, przywoływał naszych największych poetów. To okazało się dla nas – w najlepszym tego słowa znaczeniu – rewolucyjne. Polski papież, choć dziś tego nie widzimy albo to deprecjonujemy, doprowadził do ogromnego społecznego przeobrażenia. Myślę nie tylko o przemianie ustrojowej, zerwaniu z filozofią mistrzów podejrzeń, takich jak Karol Marks czy Zygmunt Freud, lecz także o wielu osobistych nawróceniach, powołaniach, ocalonych życiach.

Ameryka i Amerykanie otrzymali ten sam dar. I to w bardzo trudnym historycznie momencie także dla Kościoła w USA, który wciąż mierzy się ze skutkami afer seksualnych. Ameryka jest dziś podzielona, a ruch woke głęboko przeorał tkankę społeczną. Mam nadzieję, że Amerykanie nie zmarnują ani daru tego pontyfikatu, ani daru – naprawdę symbolicznej – beatyfikacji abp. Fultona Sheena. Przy okazji dodam, że amerykańscy katolicy zbierają właśnie pieniądze na nową

FOT. WYGENEROWANE NA PODSTAWIE ZDJĘCIA Z ARCHIWUM AUTORA

eprasa.pl 2f22a6ded1

papieską tiarę – przypomnę, że w połowie lat 60. XX wieku zrezygnował z niej Paweł VI.

» Z polskiej perspektywy zarówno pontyfikat Franciszka, jak i Leona XIV to pontyfikaty papieży „z dalekiego kraju". Jezuita z Ameryki Południowej, augustianin z USA: dwa bliskie kontynenty, ale różne problemy i odrębne teologie?

Widać znaczne różnice nie tyle w stylu sprawowania papieskiej posługi, ile w teologicznych czy duchowych priorytetach Leona XIV. Dla części komentatorów zaskoczeniem był choćby jego chrystocentryzm – choć dla nas, jako katolików, to powinna być rzecz oczywista. Leon XIV mocno podkreśla doktrynę o Jezusie Chrystusie jako jedynym Zbawicielu człowieka. Obecny papież jako augustianin bardzo często sięga również do depozytu wiary Ojców Kościoła. Widać w nim także pobożność maryjną: 8 maja odwiedzi Sanktuarium Matki Bożej Różańcowej w Pompejach. To jego formacja duchowa i intelektualna. Jednych to dziwi, innych cieszy.

» Dlaczego?

Franciszek przyzwyczaił nas do lekkiej heterodoksji. Czasem można było odnieść wrażenie, że Jezus Chrystus dla papieża z Południowej Ameryki był pretekstem do zajmowania się innymi tematami. Nauki społeczne zastąpiły teologię, ekologia – metafizykę, dowartościowanie pierwotnych ludów południowoamerykańskich niebezpiecznie godziło w sens ewangelizacji, niepokój wywoływało docenienie animizmu w ramach dialogu międzyreligijnego, a kwestia uczynków miłosiernych co do ciała stała się pretekstem do bagatelizowania ortodoksji. Papież Franciszek, także za sprawą synodalności, otworzył drzwi w sprawie przemian obyczajowych. Dotyczyło to fundamentalnej katolickiej nauki o małżeństwie – co pokazała adhortacja „Amoris Laetitia" o miłości w rodzinie. Pojawiła się również kwestia dyskretnego przyzwolenia na dopuszczalność błogosławieństwa par homoseksualnych. Mieliśmy wreszcie dyskusje wokół diakonatu i kapłaństwa kobiet i wyświęcania żonatych mężczyzn. Osobny wątek to głośne, wymagające licznych sprostowań wywiady, udzielane przez papieża Franciszka także mediom i dziennikarzom wyraźnie niechętnym Kościołowi. I zbyt życzliwe papieskie gesty wobec włoskich działaczek i działaczy proaborcyjnych, takich jak Emma Bonino czy Marco Pannella.

» Zapytam wprost: doczekamy się od Leona XIV encykliki na miarę „Rerum novarum" (15 maja 1891)?

Pontyfikat Leona XIII, do którego pan nawiązuje, był wielką pomocą nie tylko dla robotników. Cywilizacja zachodnia przeżywała wówczas potężną rewolucję industrialną, która zmieniła oblicze całego globu, z jednej strony zbudowała potęgę kapitalizmu, z drugiej przyczyniła się do rozwoju marksizmu i komunizmu. Zmienił się wówczas nie tylko sposób funkcjonowania państw i społeczeństw, ale radykalnie przeobraził się kształt ludzkiej egzystencji.

Kościół nie uniknie dzisiaj konfrontacji z cywilizacyjnym wyzwaniem, jakim jest nowa rewolucja industrialna, w której główną rolę odgrywa sztuczna inteligencja. AI zrewolucjonizuje styl życia ludzi, ludzkich społeczeństw, wspólnot gospodarczych i politycznych. Włosi powiadają, że ta sama rzecz może być wielką szansą lub wielkim zagrożeniem.

Jeśli mam mówić o swoich oczekiwaniach: potrzebujemy od Leona XIV dwóch encyklik. Pierwsza powinna być poświęcona najnowszym technologiom cyfrowym i związaną z nimi nową rewolucją industrialną. Trzeba pamiętać, że z tym wiąże się zupełnie nowa antropologia, nowa wizja relacji człowieka i maszyny, iluzja transhumanizmu, wobec której katolicyzm musi

eprasa.pl 2f22a6ded1

się jasno opowiedzieć. Mówimy wszak o całym ludzkim życiu: niezbywalnej godności, relacjach, pracy, odpoczynku. Kościół musi to pokazać w świetle swojego nauczania o Bogu historii i o Chrystusie jako Zbawicielu człowieka.

Druga encyklika powinna dotyczyć bioetyki. Potrzebujemy w tej sprawie jasnego stanowiska Kościoła. Widać wyraźnie, że rewolucja transgenderowa nasila się coraz bardziej, coraz poważniejszymi wyzwaniami stają się antychrześcijańskie normy cywilizacyjne. Wśród nich horrendalne wpisywanie aborcji jako prawa człowieka do państwowych konstytucji. W 2024 roku zrobiła to Francja, teraz chce to zrobić Hiszpania. Cywilizacja śmierci rozprzestrzenia się jak pożar pod względem coraz łatwiejszego przyzwolenia na eutanazję i wspomagane samobójstwo. Dzieje się to wszystko pod szyldem filozofii „spełnionego życia". I to w krajach bardzo bogatych, bardzo sytych.

» Papież Franciszek miał w Polsce świetną prasę w środowiskach katolików otwartych, chłodniej traktowały go środowiska konserwatywne i tradycjonalistyczne. Leon XIV wydaje się wręcz nieobecny w naszych dzisiejszych dyskusjach o Kościele. To kwestia różnych temperamentów i osobowości dwóch ostatnich papieży czy może tego, że Kościół w Polsce żyje innymi sprawami i sporami?

Wielką pułapką dla Kościoła, także Kościoła w Polsce, jest zajmowanie się sobą samym. Z jednej strony myślę o duchu wiecznych reform, biurokratycznej wręcz walce z klerykalizmem [śmiech], roztrząsaniu kwestii liturgicznych i form pobożnościowych, z drugiej – o coraz większej skłonności do upolitycznienia debat, skupionych na kwestiach władzy i struktur funkcjonowania instytucji Kościoła. Myślę, że to wszystko naprawdę mało obchodzi ludzi, którzy we własnym i swoich bliskich życiu zmagają się z problemem śmierci moralnej i duchowej. Oni od ludzi Kościoła potrzebują zdrowej Ewangelii i przejrzystego świadectwa wiary, która „góry przenosi".

» O czym Ksiądz Profesor myśli?

Myślę o naszej biednej Polsce, która jest dzisiaj dobrym przykładem kraju w kryzysie. A kryzys nie polega na tym, że ludzie mają różne poglądy, lecz na tym, że nie chcą i nie potrafią ze sobą rozmawiać. Zaczynają sobą gardzić, a zamiast racjonalnej rozmowy oferują sobie wzajem napastliwość i szyderstwo. W Kościele w Polsce widać narastające napięcie między różnymi frakcjami: od frakcji liberalnych, wręcz ultralewicowych, do stronnictw i środowisk o silnej tożsamości tradycjonalistycznej i ekskluzywnej.

Widzę jednak jeszcze inny problem – coraz łatwiej wierni uderzają w pasterzy. Dobrym przykładem był list Konferencji Episkopatu Polski dotyczący antysemityzmu, opublikowany w marcu z okazji 40. rocznicy wizyty Jana Pawła II w rzymskiej synagodze [5. niedziela Wielkiego Postu – przyp. red.]. Dokument ewidentnie zbudowano na podstawie chwilowego lub trwalszego deficytu wiedzy teologicznej. Nie odzwierciedlał całego nauczania Kościoła dotyczącego jedyności i powszechności zbawienia w Jezusie Chrystusie i w tym świetle skonfigurowanej relacji do judaizmu. Ale to, co mogło wywołać efekt słusznego rozdrażnienia, w obecnej sytuacji przeobraża się w paroksyzmy mocno przesadzonego gniewu wobec hierarchów, ocierającego się o brutalność. Wyszliśmy daleko poza granice zdrowej czy też uprawnionej krytycznej reakcji. Namawiałbym wszystkich braci i siostry w wierze do większej roztropności i zdecydowanie bardziej ewangelicznych reakcji wobec błędów, jakich mogą dopuścić się pasterze czy teologowie. Polaryzacja tylko pogłębia kryzys Kościoła. I służy temu, który chodzi między nami, by dzielić, czyli diabłu.

eprasa.pl 2f22a6ded1

» Wiele osób w Polsce wciąż w Kościele „odlicza czas" pontyfikatów od św. Jana Pawła II. Pokolenie JP2 było zjawiskiem duchowym czy raczej fenomenem medialnym?

To określenie straciło semantyczną jednoznaczność. Wciąż dostrzegam w nim jednak wiele dobra. Myślę o doświadczeniu ludzi, dla których czas pontyfikatu św. Jana Pawła II okazał się inspiracją do nawrócenia. Wiem jednak, że inni czują się rozczarowani, bo na wizji „pokolenia JP2" zbudowali całą wymarzoną koncepcję katolickiego narodu, społeczeństwa i państwa. Część z tych ludzi z czasem przeszła na stronę liberalno-lewicową.

Z pełnym przekonaniem mogę powtórzyć za abp. Fultonem Sheenem: taki papież zdarza się Kościołowi raz na pięćset lat. Z jego pomocą ludzie zbliżali się do Boga. Z całym szacunkiem dla powagi urzędu papieskiego pragnę zwrócić uwagę na to, że większość świętych w dziejach Kościoła to są ludzie prości, zakonnicy i zakonnice, misjonarze – męczennicy, zwykli kapłani i małżonkowie. Tymczasem za naszego życia Bóg umieścił na tronie Piotrowym człowieka, który w pełni zasłużył na żądanie: santo subito. Ten posiew świętości zaowocował wieloma dobrymi powołaniami kapłańskimi i zakonnymi, dobrymi małżeństwami, które nie bały się mieć dzieci, stawiały na macierzyństwo i ojcostwo.

Ale pokolenia mijają jedno po drugim. To jest lekcja płynąca ze starotestamentalnej Księgi Sędziów, która rozpoczyna się stwierdzeniem, iż po śmierci Jozuego i po odejściu pokolenia, które doświadczyło Boga, „nastało inne pokolenie, które nie znało Pana ani też tego, co uczynił dla Izraela". Tak zaczął się dla Żydów bardzo trudny czas, czas coraz cięższych utrapień.

» Pokolenie JP 2 wciąż ma się nieźle. Pamiętam z połowy lat 90. spotkanie z Tomaszem Sadowskim w moim liceum w Poznaniu, prowadzonym przez księży zmartwychwstańców. Założyciel wspólnoty „Barka", pomagającej ludziom ubogim, bezdomnym, zniszczonym nałogami, byłym więźniom, mówił wprost, że zainspirowało go nauczanie św. Jana Pawła II. Dziś obraz zdaje się inny: od karykaturalnego „papaja" w social mediach po oskarżenia pod adresem papieża o bezczynność w sprawach przestępstw seksualnych.

Warto przypomnieć o kampanii oszczerstw, jakiej ofiarą padł św. ojciec Pio. Po jego śmierci wybuchła przeciw niemu ogromna fala oszczerstw, nie oszczędzono mu nawet oskarżeń o szarlatanerię i czary. To nie były tylko medialne pomówienia, ale publikacje pisane pod szyldem prac naukowych. Coś podobnego stało się udziałem św. Jana Pawła II. W dniu kanonizacji, widząc sukces ewangelizacyjny tego papieża w przyciągnięciu do Boga i Kościoła wielu młodych z całego świata, a zwłaszcza z obszarów do niedawna zdominowanych przez indoktrynację ateistyczną pod szyldem Marksa i Darwina, pomyślałem sobie: „Tego ci, Janie Pawle II, nie darują". Natychmiast doszło do erupcji coraz mocniejszych oskarżeń i szyderstw, także w mediach w Polsce. Próbuje się dzisiaj utopić papieża w najgorszych skandalach, usiłując wywołać efekt zgorszenia, obrzydzenia i zobojętnienia na jego nauczanie.

Najlepszym przykładem tego, jak to funkcjonuje, jest próba zdyskredytowania św. Jana Pawła II w oparciu o domniemaną zawartość archiwów archidiecezji krakowskiej. Parę lat temu holenderski pisarz Ekke Overbeek, redaktor Marcin Gutowski, panowie Artur Nowak i Stanisław Obirek próbowali nas przekonać, że kard. Karol Wojtyła, metropolita krakowski w latach 1964–1978, usiłował ukrywać i tuszować przypadki pedofilii w Kościele. Niedawno w „Rzeczpospolitej" ukazał się artykuł Tomasza Krzyżaka, który w oparciu o krakowskie archiwa pokazał, że prawda jest zupełnie inna. Dziennikarz pisze wprost: „[…] kard. Karol Wojtyła nie przenosił

eprasa.pl 2f22a6ded1

księży z parafii do parafii, gdy dowiedział się o ich przestępczej działalności, ale podejmował szybkie działania, a niektóre jego decyzje były jak na tamte czasy ponadstandardowe". Nie widzę jednak żadnych przeprosin i sprostowań ze strony mediów i ludzi, którzy tak ochoczo budowali propagandę antypapieskich zniesławień.

» Co jest siłą, a co słabością dzisiejszego Kościoła w Polsce? Pytam zarówno o duchowieństwo, jak i wspólnoty świeckich.

Jeśli chodzi o słabości, wskażę nieprzygotowanie Kościoła w Polsce na trudne czasy. Rozpieściły nas czasy pontyfikatu św. Jana Pawła II, czasy charyzmatycznych kapłanów, takich jak kard. Stefan Wyszyński i bł. Jerzy Popiełuszko. Wielu pasterzy i świeckich zwolniło się z ewangelizacyjnej pracy, zmieniło się w śpiochów albo tłuste kościelne koty konsumujące owoce świetlanej epoki odrodzenia znaczenia wiary w naszej ojczyźnie. Warto przy tym pamiętać, że choć liczbowo Kościół powoli traci wiernych, w skali Europy wciąż jesteśmy w czołówce powołań kapłańskich i zakonnych, mamy też wiele świeckich wspólnot ewangelizacyjnych. To potencjał, z którym można wiele zdziałać, gdyby nie efekt opadniętych skrzydeł, lękliwości wobec zewnętrznego świata albo opisanego wyżej skupienia się na sobie. A przecież nie straciło sensu wołanie Jana Pawła II: „Nie lękajcie się!".

Siłą Kościoła w Polsce są ludzie, którzy wciąż głęboko wierzą. W przypadku kapłanów ważna jest duchowa posługa – często zapominamy o księżach, którzy choć zmęczeni, bez względu na sytuację służą sakramentami chorym i umierającym na oddziałach onkologii i w hospicjach, którzy budzą nadzieję na spotkanie z Jezusem Chrystusem poprzez konfesjonał i ofiarną posługę we wspólnotach i w środowisku ludzi młodych. Z podziwem patrzę też na katolickie rodziny, które nie ulegają współczesnym wyzwaniom, nie boją się świętości i wielodzietności, nie brak w nich „witaminy M" – miłości, wielkoduszności, wdzięczności. Niestety, państwo ma skłonność, by poprzez stanowione prawo psuć skarb narodowy, jakim są rodziny i trwałe związki małżeńskie. To się sprzęga z procesami kulturowymi. Mamy coraz więcej rozwodów, coraz głębszy kryzys demograficzny. Warto sobie uświadomić, że mocne państwo czy Kościół opiera się przede wszystkim na silnej rodzinie.

» W połowie marca wicepremier i szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz oraz minister spraw wewnętrznych i administracji Marcin Kierwiński rozmawiali z biskupami uczestniczącymi w 404. Zebraniu Plenarnym KEP o współpracy w niesieniu pomocy ludności, która ucierpiała w klęskach żywiołowych, katastrofach naturalnych i innych zagrożeniach. Nieco później przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski abp Tadeusz Wojda przyznał, że Kościół w Polsce przygotowuje plan działań na wypadek sytuacji kryzysowych, w tym wojny. Zwracam na to uwagę, bo ludzie obecnej władzy, jeszcze w opozycji, chętnie podsycali antykatolickie i antyklerykalne nastroje. Gdy trwoga, to do Boga?

Cóż powiedzieć… Doceńmy mądrość, niezależnie od tego, kiedy i skąd przychodzi. W historii Polski Kościół nieraz w dramatycznych sytuacjach dziejowych niósł ludziom pomoc i wsparcie, dawał pokrzepienie i nadzieję. Patrząc po ludzku, jako instytucja mamy liczne struktury i zasoby, by pomagać narodowi w sytuacjach kryzysowych. A nie da się ukryć, że świat przypomina dziś beczkę prochu. W poprzednich dziesięcioleciach Kościół dawał ludziom schronienie, tak w sensie przetrwania, jak i wolności myśli i pielęgnowania naszej polskiej kultury. Gdy przyjdzie na nas (oby nie!) jakaś nowa fala zagrożenia i udręki, nie zdezerteruje on z roli tego, który okazuje się dla każdego człowieka „przyjacielem w biedzie". ■

eprasa.pl 2f22a6ded1



eprasa.pl/2f22a6ded1

Bicz na germańską bestię. Powrót do Polski pułkownika Białousa

Piotr Lisiewicz



„Z budynków i wież pryskają Niemcy bezładnymi grupkami, uciekając w ruiny Starówki. Drzwi baraków rozwierają się pod naporem, a całe przedpole zapełnia się masą pasiastych postaci biegnących w naszą stronę z niebywałym krzykiem… Przez moment poczułem, jak gardło moje ściska skurcz radości, zdążyliśmy na czas!" – tak kpt Ryszard Białous „Jerzy", dowódca batalionu Armii Krajowej „Zośka", opisał zdobycie podczas powstania warszawskiego tzw. Gęsiówki. Z obozu KL Warschau jego batalion uratował 348 Żydów, w tym 24 kobiety. Po wojnie legendarny polski dowódca, ścigany przez UB, pozostał na wygnaniu. Jego prochy wróciły do Polski dzięki akcji Wojsk Obrony Terytorialnej.

FOT. MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

eprasa.pl 2f22a6ded1

Moi żołnierze są biczem w ręku Polski karzącej, Polski, która nie czeka na koniec wojny, aby wymierzyć sprawiedliwość germańskiej bestii, ale na ciosy odpowiada ciosami, tym dotkliwszymi, iż mierzą one w najczulsze punkty wroga" – pisał kpt. Białous w książce „Walka w pożodze".

» „Harcerz jest przyjacielem każdego człowieka", czyli dlaczego ratowali Żydów

Radość dowódcy batalionu „Zośka" w piątym dniu Powstania Warszawskiego wynikała z tego, że wbrew obawom niektórych, Niemcy nie zdążyli wymordować wszystkich więźniów Gęsiówki. Instytut Pamięci Narodowej szacuje liczbę ofiar KL Warschau na około 20 tys. osób, w tym około 10 tys. Polaków.

Tuż przed wybuchem Powstania Warszawskiego Niemcy powiedzieli więźniom, że będą wywiezieni z obozu. Ogłoszono, by zgłaszali się ci, którzy nie są w stanie samodzielnie maszerować, bo zorganizują dla nich transport konny. Około 400 więźniów, którzy się zgłosili, Niemcy natychmiast rozstrzelali. 28 lipca 1944 roku blisko 4 tys. więźniów popędzono pieszo do Kutna. Tych, którzy przeżyli ów marsz śmierci, wywieziono 2 sierpnia do KL Dachau. Kilkuset Żydów pozostawionych w KL Warschau miało zatrzeć ślady istnienia obozu, po czym też mieli zostać rozstrzelani.

To, że te niedobitki z obozu udało się odbić, zakrawało na cud. Z inicjatywą, by uratować Żydów, wyszli Ryszard Białous „Jerzy" oraz Jan Kajus Andrzejewski „Jan". Jak relacjonował Wacław Micura „Wacek" w artykule Andrzeja M. Kobosa w piśmie „Niepodległość i Pamięć" z 1995 roku, przed obozem stał harcerski batalion Armii Krajowej „Zośka", harcerzy Szarych Szeregów, którzy „pamiętali statut harcerstwa polskiego z roku 1920, mówiący, iż harcerz jest przyjacielem każdego człowieka… »Jerzy« był dowódcą doskonałym, wataźką nie z tej ziemi". Ich dowódca „Radosław" na początku nie zgodził się na akcję, uznając słusznie, że nie da ona efektu, bo niemiecki obóz jest zbyt dobrze ufortyfikowany: „Ludzie, wojna to nie zabawa, tu trzeba zrobić rachunek. »Bociany« przy bramie obozu są tak umocnione ciężką bronią i maszynową, że wy stracicie dobry batalion, a nie uratujecie Żydów, bo Niemcom potrzeba tylko parę minut, żeby z tych bocianów skierować ogień na więźniów".

» Oddział żydowski batalionu „Zośka"

Wówczas w batalionie „Zośka" powstał nowy plan: wjechać do obozu od tyłu zdobycznym czołgiem: „Jeżeli »Wackowi« uda się wjechać do obozu, to pierwszymi strzałami zniszczy wieżę narożną i te plutony pójdą wtedy do szturmu". To brzmiało bardziej realnie i „Radosław" zgodził się, by ochotnicy dokonali szturmu.

Udało się. Niemcy myśleli początkowo, że to… ich czołg. „Krzyczeli unsere Panzern kommen… znaki były nasze, ale niewidoczne… W pewnym momencie ogień ustaje i uwięzieni Żydzi, którzy byli przekonani, że to już koniec, że już śmierć, raptem widzą, że to jest oswobodzenie" – wspominał „Wacek". Jeden z więźniów w pasiaku zameldował się „Wackowi": „Baaaczność! Na leewo patrz!". „Podchodzi do mnie i mówi: – Podchorąży Henryk Lederman z takiego a takiego pułku piechoty melduje batalion żydowski gotowy do boju. Za gardło mnie chwyciło" – wspominał Wacław Micura. Faktycznie, większość uwolnionych Żydów zgłosiła się ochotniczo do powstania, tworząc żydowski oddział w ramach batalionu „Zośka".

» „To nie wyspa oderwana od społeczeństwa"

„Ludzie, którymi miałem zaszczyt dowodzić, to nie wyspa oderwana od społeczeństwa ani cierpiętnicy, dla których było ideałem polec za Ojczyznę, lecz świadomi swych obowiązków młodzi obywatele Rzeczypospolitej, dla których ideałem było żyć dla Niej i pracą przyczynić się do Jej

eprasa.pl 2f22a6ded1

świetności" – tak mówił o żołnierzach batalionu „Zośka" jego dowódca.

Ryszard Mieczysław Białous urodził się 4 kwietnia 1914 roku w Warszawie. Był synem kolejarza Stanisława i Marcjanny z domu Dobrskiej. Mieszkał z rodzicami przy ul. Dzielnej 58 m. 6. Uczył się w prywatnej szkole Marii Grzegorzewskiej przy ul. Chłodnej, a potem, od 1924 roku, w Gimnazjum im. św. Stanisława Kostki w Warszawie. Już od 10. roku życia działał w Związku Harcerstwa Polskiego. Był potem drużynowym 6. Warszawskiej Drużyny Harcerzy im. gen. Henryka Dąbrowskiego, a jeszcze później hufcowym Hufca Powiśle. W 1932 roku zdał maturę i rozpoczął studia na Wydziale Matematyczno-Przyrodniczym Uniwersytetu Warszawskiego. W 1932 roku otrzymał stopień podharcmistrza. W 1933 roku przeniósł się na Wydział Architektury Politechniki Warszawskiej. Do wybuchu wojny zaliczył osiem semestrów na Politechnice i uzyskał absolutorium.

Ukończył też kurs Szkoły Podchorążych Rezerwy Saperów w Modlinie z drugą lokatą (wrzesień 1937 – wrzesień 1938). W marcu 1939 roku został zmobilizowany do 8. batalionu saperów w Modlinie i wyznaczony na stanowisko adiutanta batalionu. 29 czerwca 1939 roku wziął ślub z koleżanką ze studiów, Krystyną Błońską. Mieli potem trójkę dzieci: córkę Zofię, nauczycielkę, oraz synów – Jana, architekta, i Jerzego, topografa. Ale niedługo miała zacząć się wojna…

» „Najwyższe koleżeństwo", czyli cement, który kazał walczyć

We wrześniu 1939 roku walczył w obronie Warszawy jako dowódca plutonu w baonie saperów 8. Dywizji Piechoty i podczas starć został ciężko ranny w obie nogi. Po wyleczeniu zaangażował się w konspirację. Opracowywał instrukcje sabotażu i dywersji, współtworzył program Szarych Szeregów i dowodził około 300-osobowym Oddziałem Specjalnym „Jerzy", w którego składzie byli harcerze warszawskich Grup Szturmowych. Jego zastępcą był Tadeusz Zawadzki „Zośka". Po śmierci „Zośki" oddział został przemianowany na Batalion Szarych Szeregów Kedywu Komendy Głównej AK „Zośka". Do marca 1943 roku był kierownikiem organizacyjnym akcji N pod pseudonimem Zygmunt.

W Powstaniu Warszawskim „Jerzy" nadal dowodził batalionem „Zośka", ale był jednocześnie zastępcą dowódcy, a po śmierci Jana Kajusa Andrzejewskiego dowódcą Brygady Dywersji „Broda 53" w Zgrupowaniu „Radosław". Ze swoim batalionem przeszedł cały powstańczy szlak bojowy: od Woli przez Stare Miasto do Powiśla Czerniakowskiego. Przeżył ze swoimi żołnierzami sytuacje nieprawdopodobne, o których pisał: „Stan nerwowego napięcia osiąga kulminacyjny punkt, gdy po obrzuceniu piwnic granatami Niemcy zaczynają pruć w okna krótkimi seriami lkm-u. Drzwi piwnic są niewystarczającą ochroną i trzeba mieć wiele hartu, by znieść ogień pocisków uderzających metr nad głowami wtulonych w ziemię chłopców". Po przebiciu się do Śródmieścia meldował: „Od 19 września nasze walki są już bardzo utrudnione. Nie mamy praktycznie żadnych możliwości uzupełnienia broni, jest mnóstwo rannych. Niemcy osłaniają się ludnością cywilną przy atakach czołgowych. Zostaliśmy odcięci od Śródmieścia… Robimy z inicjatywy »Radosława« próby połączenia się kanałami z oddziałami Mokotowa". Trzykrotnie otrzymał Krzyż Walecznych, został też odznaczony Orderem Wojennym Virtuti Militari V klasy.

Jak opowiadał na łamach „Polski Zbrojnej" Mariusz Olczak, autor albumu „Jerzy", poświęconego legendarnemu dowódcy, był on zawsze z żołnierzami: „O tym, jaką był postacią, świadczy to, jak dbał i walczył o swoich podkomendnych. Pisał do przełożonych wnioski o odznaczenie wyróżniających się żołnierzy, a gdy te pisma nie przynosiły skutków, nie wahał się w ostrych słowach napisać o wojskowych gryzipiórkach, którzy blokują przyznanie odznaczeń prawdziwym żołnierzom, tym,

eprasa.pl 2f22a6ded1

którzy walczą na pierwszej linii, a nie siedzą za biurkami".

Batalion „Zośka" stracił 360 żołnierzy, czyli około 70 proc. pierwotnego stanu. W książce „Walka w pożodze" Białous pisał, dlaczego mimo dramatycznych strat i przygniatającej przewagi technicznej przeciwnika powstanie trwało tak długo: „Co było tym cementem, który łączył nas wszystkich? Co było tą więzią […] Cementem tym było bezsprzecznie najwyższe koleżeństwo, którego żywym dowodem byliście Wy wszyscy, polegli, dalecy a tak bliscy Przyjaciele".

» Antykomunista inwigilowany przez UB

Po upadku powstania kpt. Białous od października 1944 do kwietnia 1945 roku był więziony w obozach jenieckich. Kolejno były to Bergen-Belsen, Gross Born i Sandbostel, gdzie dotarł po kilkusetkilometrowym marszu ewakuacyjnym. 29 kwietnia obóz wyzwoliły oddziały brytyjskie. Jak pisze Piotr Brzyski z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, Białous osiedlił się w Haren Ems, czyli miejscowości wyzwolonej przez 1. Dywizję Pancerną gen. Stanisława Maczka, od nazwiska którego nazwano ją Maczkowem. Latem tego roku Białous został dowódcą w 1. Samodzielnej Brygadzie Spadochronowej gen. Stanisława Sosabowskiego.

Zaczął organizować harcerstwo na okupowanych ziemiach niemieckich. Wszedł do Rady Starszyzny Związku Harcerstwa Polskiego w Niemczech, był też komendantem harcerstwa męskiego w Niemczech. Działał w Harcerskich Oddziałach Wojskowej Służby Wewnętrznej, pomagając byłym więźniom obozów. Od marca 1947 do lutego 1948 roku był naczelnikiem ZHP poza granicami kraju.

„To, że Białous nie wrócił do Polski, było efektem rządzenia krajem przez komunistów. Sam był antykomunistą, po wojnie inwigilowanym przez funkcjonariuszy UB, a następnie SB. To właśnie o Białousa ubecy pytali m.in. Jana Rodowicza »Anodę«, który został aresztowany w Wigilię 1948 roku, a następnie prawdopodobnie przez nich zamordowany" – pisał Portal Polonii.

Komuniści w najbardziej haniebny z możliwych sposób postąpili ze zdobytym przez oddziały Białousa obozem KL Warschau. Został on przejęty przez sowieckie NKWD, które urządziło tam własny zbrodniczy obóz dla jeńców niemieckich oraz… członków AK i żołnierzy podziemia niepodległościowego. W połowie 1945 roku obóz przejęło zbrodnicze Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego.

» Argentyński minister i dyrektor od dróg w Patagonii

W lipcu 1948 roku Białous wyemigrował do Argentyny. Zamieszkał w Neuquén, blisko granicy z Chile. Na początku nie było mu łatwo: „Początki były bardzo trudne, ciężki klimat, choroby, nostalgia, trudności finansowe, nieznajomość języka… Gdyby nie fakt, że posiadaliśmy tyle sprawności harcerskich, wątpię, czy przetrzymalibyśmy ten pierwszy okres. Kiedy miał się rodzić syn Jerzy, spadł prawie metrowy śnieg. Lekarze nie byli w stanie dojechać. Poród musiałem odbierać sam…".

Ale z czasem odnalazł się w nowym miejscu na ziemi. Pracował jako architekt. Rosła jego pozycja zawodowa: nadzorował budowę lotniska w Quillen, był dyrektorem uzdrowiska cieplicowego w Caviahue. A potem ministrem ds. planowania i rozwoju w rządzie prowincji Neuquén, a także dyrektorem generalnym zarządu dróg i energii elektrycznej w Patagonii. Założył pierwszy w Argentynie klub biathlonowy, był aktywnym narciarzem i alpinistą. Zdobył kilka dziewiczych szczytów w Andach. Stał się wybitnym znawcą cywilizacji tutejszych Indian – Araukanów. Cały czas interesowały go polskie sprawy, działał w Związku Polaków w Argentynie. W 1960 roku został współzałożycielem Biblioteki Polskiej w Buenos Aires.

„Był przede wszystkim harcerzem, przez całe życie był wierny harcerskim przyrzeczeniom. Zachowywał osobistą harcerską uczciwość. Swoim

eprasa.pl 2f22a6ded1

postępowaniem zyskał szacunek i przyjaźń w Argentynie. Zawsze powtarzał: żeby Polska była szanowana na świecie to Polacy na emigracji muszą pokazać najwyższy poziom kultury, pracowitości i uczciwości w swoim codziennym życiu" – wspominał jego syn Jerzy.

Jeden raz przyjechał do PRL, w 1974 roku, w 30. rocznicę Powstania Warszawskiego. „Kiedy »Jerzy« odwiedził Polskę w 1974 roku, otrzymał zaproszenie do telewizji, ale nie mógł mówić o Armii Krajowej czy swoich żołnierzach, pozwolono mu jedynie opowiedzieć o Indianach z Patagonii, których zwyczaje badał w Argentynie" – relacjonował Łukasz Kudlicki, zbierający informacje o Białousie szef gabinetu Mariusza Błaszczaka.

» „Tak nas powrócisz cudem na Ojczyzny łono"

Zmarł 24 marca 1992 roku w Neuquén i został tam pochowany. Ale ostatnią wolą zmarłego było, aby jego prochy spoczęły na polskiej ziemi. W czerwcu 2019 roku upomnieli się o niego ideowi następcy – żołnierze utworzonych przez Antoniego Macierewicza Wojsk Obrony Terytorialnej. „28 000 km, 4 samoloty pasażerskie, samolot transportowy CASA w asyście samolotów F-16, 70 godzin w podróży na linii Kraków, Warszawa, Rzym, Buenos Aires, Frankfurt nad Menem, Ramstein, Warszawa, Kraków. W piątek 28 czerwca br. z Argentyny do Ojczyzny powróciły prochy kapitana Ryszarda Białousa" – pisał mjr Bartosz Kubal z 11. Małopolskiej Brygady Obrony Terytorialnej.

Jak relacjonował st. chor. sztab. Artur Zięba, żołnierze WOT spotkali się w Buenos Aires z synami Białousa – 76-letnim Janem i 68-letnim Jerzym, świetnie mówiącymi po polsku. „Oprócz urny przywieźliśmy także wykonaną własnoręcznie przez kpt. Białousa w 1949 r. płaskorzeźbę Matki Boskiej Ostrobramskiej z napisem »TAK NAS POWRÓCISZ CUDEM NA OJCZYZNY ŁONO«, sugerujące już wówczas pragnienie powrotu do Ojczyzny dowódcy batalionu »Zośka«" – wspominał chorąży Zięba. Przedwojenne pokolenie żyło „Panem Tadeuszem"…

Jak mówił, każdy kilometr podróży powrotnej potęgował emocje i wzruszenie: „Moment wejścia w polską przestrzeń powietrzną uświetniła asysta dwóch wielozadaniowych samolotów F-16 polskich Sił Powietrznych. Urnę z prochami przekazano państwu polskiemu na Okęciu. W uroczystości obok dowództwa WOT wziął udział minister obrony Mariusz Błaszczak". Dzisiaj niewyobrażalne…

» Dowódca WOT: Zrealizujemy testament „Jerzego"

31 lipca prochy Białousa pochowano w kwaterze batalionu „Zośka" na cmentarzu Wojskowym na Powązkach. Tego samego dnia został on pośmiertnie awansowany na stopień pułkownika. Prezydent Andrzej Duda odznaczył go Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski. „Dla pana pułkownika Ryszarda Białousa, dla »Jerzego«, to marzenie o tym, aby Polska była niepodległa, była w pełni suwerenna, była wolna, była kwitnąca i żeby być w niej... dzisiaj właśnie się realizuje. Po 75 latach od dnia, w którym był gotów stanąć do Powstania Warszawskiego" – mówił prezydent.

Zaś generał dywizji Wiesław Kukuła powitał go w imieniu WOT: „Przypomniałem sobie treść rozkazu, który »Jerzy« skierował do żołnierzy batalionu Zośka w dniu 26 marca 1944 roku, w pierwszą rocznicę akcji pod Arsenałem. Oto jego fragment: »Wspominając naszych kolegów: Rudego, Zośkę czy Glizdę, musimy pamiętać, że praca nasza nie może ograniczać się do dnia dzisiejszego, ale obowiązkiem naszym jest przede wszystkim nauka i praca nad swoim charakterem, abyśmy w Wolnej Polsce byli nie tylko żołnierzami, lecz żołnierzami-obywatelami w najpełniejszym tego słowa znaczeniu«. Dla mnie te słowa brzmią niczym testament »Jerzego«… powinien być dla nas wzorem, z którego winniśmy czerpać, kształtując i wychowując harcerskie i wojskowe kadry!". ■

eprasa.pl 2f22a6ded1



Agnieszka Kowalczyk

Leśne drogi do wolności

Wraz z wybuchem II wojny światowej do odwiecznego królestwa natury, na którego straży stał polski leśnik, wkraczał nieposkromiony żywioł historii. W jednej chwili niezmierzone puszcze i głuche ostępy przerodziły się w pole walki toczonej z ukrycia, wśród wiekowych dębów, sosen i brzóz.

eprasa.pl 2f22a6ded1

W chwili dziejowej próby strażnicy leśnych kniei przeistaczali się w obrońców ojczystej ziemi i jej mieszkańców. Wstępowali do podziemia niepodległościowego, brali udział w akcjach dywersyjno-sabotażowych i niebezpiecznych operacjach zbrojnych, po wielokroć prześladowani, więzieni w niemieckich obozach koncentracyjnych bądź zsyłani do sowieckich łagrów, torturowani i mordowani przez okupantów. Los bohaterskich ludzi lasów stał się nieodłączną częścią polskiej historii, świadectwem wielkiej odwagi i niezłomności tych, którzy udowodnili, czym jest dla nich wolność i godność Polaka.

» „Inka". Niezłomna córka lasu

Tego letniego poranka, 28 sierpnia 1946 roku, Danutę Siedzikównę (1928–1946) prowadzono do pawilonu egzekucyjnego gdańskiego więzienia przy ul. Kurkowej 12. Skazana na śmierć za służbę w szwadronie 5. Wileńskiej Brygady AK mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki" szła z godnością na miejsce kaźni. Za sześć dni miała obchodzić swoje 18. urodziny. „Była godzina 6.15 – odtwarza te chwile Piotr Szubarczyk. – Sala egzekucyjna pełna ludzi. Prokurator wojskowy Wiktor Suchocki, lekarz, zgraja funkcjonariuszy UB i przejęty tą sytuacją do głębi, nienaturalnie skurczony w duchowym cierpieniu wikariusz kościoła garnizonowego w Gdańsku, ks. Marian Prusak, który dwie godziny wcześniej spowiadał skazańców – Dankę i jej współtowarzysza Feliksa Selmanowicza »Zagończyka«". Oni zaś ucałowali krzyż i nie pozwolili zawiązać sobie oczu. „Ci, którzy tam stali, nie uszanowali powagi śmierci. Obrzucili skazańców obelżywymi słowami, a prokurator odczytał uzasadnienie wyroku i poinformował, że nie było ułaskawienia. Jego ostatnie słowa brzmiały: »Po zdrajcach narodu polskiego ognia!«". Zanim padły strzały, „Inka" z „Zagończykiem" krzyknęli jakby na komendę: „Niech żyje Polska!". Powietrze rozdarł błyskawicowy ogień z dziesięciu pepesz, ale nie dosięgnął Danuty. Ogłuszona hukiem wystrzałów osunęła się na ziemię i krzyknęła świadoma nieuchronności swego losu: „Niech żyje major Łupaszko!". Dowódca plutonu egzekucyjnego, ppor. Franciszek Sawicki, śledczy Informacji Wojskowej, dopełnił katowskiego dzieła, strzelając z pistoletu prosto w głowę „Inki".

Danuta Siedzikówna, znana w historii polskiego podziemia jako „Inka", urodziła się 3 września 1928 roku w Guszczewinie, na skraju Puszczy Białowieskiej. Była córką leśniczego Wacława Siedzika i Eugenii Tymińskiej. Ojciec Danuty, w młodości student politechniki w Petersburgu (1913), został zesłany za działalność niepodległościową w głąb Rosji, skąd udało mu się wydostać po rewolucji bolszewickiej. Bezpieczną przystań odnalazł w białowieskiej Olchówce koło Narewki, gdzie został leśniczym. Już kilka miesięcy po wkroczeniu Sowietów do Polski, 10 lutego 1940 roku, został deportowany w głąb Związku Sowieckiego i zmuszony do pracy w kopalni złota. I choć udało mu się dołączyć do armii gen. Andersa, wycieńczony zmarł na żołnierskim szlaku w Teheranie (1943). Tymczasem wypędzona z leśniczówki w Olchówce matka Danuty włączyła się w działania siatki konspiracyjnej AK. Aresztowana i poddana brutalnemu śledztwu na gestapo, mimo tortur nikogo nie wydała. We wrześniu 1943 roku została rozstrzelana w lesie pod Białymstokiem. Piętnastoletnia Danuta natomiast, jeszcze w grudniu tego samego roku, wstąpiła w szeregi AK, włączając się w konspiracyjną działalność oddziału partyzanckiego Stanisława Wołoncieja „Konusa". Przysięgała na Święty Krzyż, że będzie stać nieugięcie na

FOT. ARCH.

eprasa.pl 2f22a6ded1

straży honoru ojczyzny „aż do ofiary życia". Przysięgi tej dochowała.

Mając zaledwie 16 lat, została zatrudniona jako kancelistka w nadleśnictwie Narewka, gdzie pół roku później ubecy aresztowali ją wraz z innymi pracownikami. Miała jednak dużo szczęścia, bo konwój z pojmanymi leśnikami został zaatakowany przez grupę „Konusa", dzięki czemu Danusi udało się uciec. Wydarta z rąk prześladowców trafiła wprost do legendarnej 5. Wileńskiej Brygady AK mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki", który podjął dramatyczną walkę z sowieckim okupantem na Podlasiu, a potem na Pomorzu Gdańskim. Siedzikówna służyła w jego oddziale jako sanitariuszka. Na szlaku leśnych bojów towarzyszyła m.in. szwadronom por. Jana Mazura „Piasta" i por. Mariana Plucińskiego „Mścisława". W styczniu 1946 roku powróciła do oddziału „Łupaszki".

13 lipca 1946 roku udała się do Gdańska, by odwiedzić swoją młodszą siostrę przebywającą w domu dziecka. Kilka dni później wywiadowca szwadronu „Czajka" zaprowadził ją na nocleg do zakonspirowanego mieszkania sióstr Heleny i Jadwigi Mikołajewskich w Gdańsku-Wrzeszczu przy ulicy Wróblewskiego 7. To była ostatnia noc jej wolności – długa i niezapomniana, bo dziewczęta do trzeciej nad ranem śpiewały pieśni rozbrzmiewające zwykle w akowskich oddziałach wileńskich. Tymczasem „gdzieś pod oknami, w ogrodzie, czaili się już ubecy i zgrzytali zębami, bo mieli rozkaz aresztowania „Inki", gdy wszyscy pójdą spać".

Zabrali ją do gdańskiego więzienia przy Kurkowej. Zamknięta w celi dla więźniów politycznych, bita i poniżana podczas brutalnego śledztwa, nie wydała nikogo. Jej los był już jednak przesądzony. Miała zostać stracona wraz z Feliksem Selmanowiczem „Zagończykiem". Przed dokonaniem egzekucji w ostatnim grypsie pisała, że żal jej tak młodo umierać, i prosiła, by przekazać babci Anieli, że „zachowała się jak trzeba".

» „Sęk". Godny następca rodu leśników

Wywodził się z rodziny leśników, która służyła Polsce od kilku pokoleń. Zbigniew był zawsze dumny ze swego ojca Aleksandra, który po zakończeniu wojny polsko-bolszewickiej studiował na Wydziale Leśnym SGGW, po czym objął nadleśnictwo w Brzezinach koło Łodzi, a potem też w Łobodnie i Kłobucku, gdzie pełnił jednocześnie funkcję dyrektora Szkoły Leśnej i prowadził szkolenia z zakresu Przysposobienia Wojskowego Leśników. We wrześniu 1939 roku, walcząc w 36. Pułku Legii Akademickiej pod Warszawą, nie dał się wziąć do niewoli. Przez pewien czas rodzina Zielińskich ukrywała się, aż wreszcie odnalazła bezpieczne schronienie w Brzózkach, gdzie Aleksander objął stanowisko leśniczego. Z czasem miejsce to stało się „bazą leśnych ludzi", w której aż do czasów pacyfikacji 1944 roku przebywało nawet do 480 partyzantów.

Sam Zbyszek, choć jeszcze bardzo młody, marzył o wstąpieniu do konspiracji. Pewnego dnia, pracując w lesie jako numerator stemplujący drewno, zszedł przed burzą do schronu, w którym składowano beczki z żywicą, i odkrył tam dwanaście karabinów schowanych przez polskich żołnierzy po klęsce wrześniowej. Zaraz po tym w gajówce Nowa Wieś pożyczył wózek, załadował na niego znalezioną broń i przywiózł wprost do leśniczówki. Karabiny przejęli gajowi ojca i ukryli w jednym z grobowców na cmentarzu. Ten nie lada wyczyn zwrócił uwagę Mieczysława Tarchalskiego, który zaproponował chłopcu wstąpienie do podziemia. Zbigniew, przystając na to z entuzjazmem, przyjął pseudonim Sęk i został zaprzysiężony. Początkowo był łącznikiem, a potem działał w terenie jako jeden z najmłodszych żołnierzy AK.

eprasa.pl 2f22a6ded1

7 czerwca 1944 roku wyjechał rowerem z leśniczówki, sprawdzając teren przed wymarszem oddziałów partyzanckich ku Żytnu. I wtedy to właśnie usłyszał huk i zobaczył wysoki słup dymu w kształcie pióropusza. Eksplozja nastąpiła na skraju lasu. Obwód leja miał około 80 metrów, a głębokość – 9 metrów. Nie oglądając się na nic, zebrał odłamki i ukrył je w pobliskiej stodole. Nim na miejscu pojawili się żandarmi, zdołał złapać jeszcze jakieś metalowe pudełeczko i uciec. Okazało się później, że był świadkiem testowania przez Niemców nowej, doświadczalnej broni. Gdy opowiedział o wszystkim ojcu, który był oficerem Inspektoratu AK w Częstochowie do zadań specjalnych, ten przygotował „szkic sytuacyjny na odrysie mapy sztabowej" i przekazał go wyższym władzom podziemia. Po wojnie Zbigniew został wskazany przez wywiad brytyjski jako ten, który przejął aparat naprowadzający pocisk na cel (owo pudełeczko zabrane przezeń w ostatniej chwili). Pozwoliło to ustalić Brytyjczykom, na jakich częstotliwościach pocisk ma się przemieszczać i jak można go zestrzelić. Dzięki swemu odkryciu „Sęk" dostąpił zaszczytu spotkania z królową Wielkiej Brytanii, która osobiście podziękowała mu za ten akt odwagi.

Zbigniew niejednokrotnie podejmował się zadań niosących śmiertelne niebezpieczeństwo. Tak było w październiku 1944 roku, gdy 2 tys. Niemców otoczyło las Nadleśnictwa Brzozówki, rozpoczynając akcję pacyfikacyjną i podpalając leśniczówkę Zielińskich. Ogień pożerał wszystko. Partyzanci wyprowadzali konie, ratowali, co się dało. Zbigniew natomiast zgłosił się na ochotnika, chcąc wydobyć z leśnego schowka maszynę do pisania oraz ważne dokumenty wojskowe, by nie dostały się w ręce wroga. Chłopak biegł co tchu przez płonący las wraz z Apolonią Wawrzyńczyk, łączniczką i żołnierzem AK. Dzięki temu udało im się przejąć ukryte w leśnym bunkrze przedmioty. W drodze powrotnej zauważył ich jednak niemiecki lotnik i zaatakował z karabinu maszynowego. Mimo ostrzału dobiegli do leśniczówki i przekazali partyzantom wszystko, co zdołali ocalić. Zaraz też Zbyszek otrzymał rozkaz przedostania się przez groble do wsi Cielętniki, Raczkowice i Żytno. By ujść obławie, postanowił ukryć się w wodzie między trzcinami. „Zanurzyłem się po szyję w sitowiu – opowiada – na wierzchu miałem jedynie oczy, nos i usta […], a nogi w zimnicy mułowej, powodującej drętwienie łydek i palców stóp. Niemcy przebiegli groblę w odległości zaledwie około trzech metrów ode mnie". W ten sposób zdołał wyrwać się z matni i dotrzeć na czas z meldunkiem.

> Zbigniew początkowo był łącznikiem, a potem działał w terenie jako jeden z najmłodszych żołnierzy AK.

Jeszcze tego samego dnia przyszło mu wziąć udział w największej bitwie partyzanckiej między Wisłą a Wartą. Jego 450-osobowy batalion zmierzył się z 3 tys. niemieckich żołnierzy. W leśnych kniejach, w okolicach Włoszczowy i Jędrzejowa, oddział Zielińskiego przeszedł do kontrataku, zadając Niemcom poważne straty. Do niewoli wzięto 99 jeńców oraz zdobyto trzy wozy pełne broni i amunicji. Gdy miejsce Niemców zajęli Sowieci, a wraz

eprasa.pl 2f22a6ded1

z ich nadejściem nastała nowa epoka walki podziemnej, Zbigniew wstąpił do Konspiracyjnego Wojska Polskiego działającego pod dowództwem komendanta Stanisława Sojczyńskiego „Warszyca".

Po wojnie ukończył wyższe studia ekonomiczne i politechniczne w zakresie inżynierii i planowania przestrzennego miast i regionów, a potem podjął wyzwanie opracowania planu zagospodarowania przestrzennego Puszczy Kampinoskiej. Jednocześnie nie zaprzestał działań w opozycji – powołał do istnienia nielegalne duszpasterstwo kombatantów przy warszawskiej Kurii Metropolitalnej, ponadto stał się inicjatorem wystawienia pierwszego w Polsce pomnika generałów Stefana Grota-Roweckiego i Leopolda Okulickiego we Włoszczowie oraz pomnika Armii Krajowej i Polskiego Państwa Podziemnego w Warszawie. Znany jest również jako autor i współautor 36 książek oraz około 280 publikacji z dziedziny inżynierii, wojskowości, ochrony środowiska, architektury oraz historii I i II wojny światowej.

» Komendant „Marcin". Wierny ideałom leśnej służby

Niedługo potem jak Niemcy i Sowieci podzielili między siebie polską ziemię, Mieczysław Tarchalski (1903–1981), nadleśniczy w Nadleśnictwie Rychtal w Poznańskiem, wstąpił do podziemia. 10 maja 1940 roku w swej rodzinnej miejscowości Gidle koło Radomska został zaprzysiężony na żołnierza Związku Walki Zbrojnej. Miał już za sobą udział w wojnie polsko-bolszewickiej 1920 roku, w której odniósł rany. Był do tego człowiekiem lasu, znającym jego tajniki, bowiem po skończeniu studiów leśnych na SGGW (1929), pracował jako adiunkt w Nadleśnictwach Gidle i Bydgoszcz, wykładał w Szkole dla Leśniczych w Cieszynie, a także prowadził kursy Przysposobienia Wojskowego Leśników w Margoninie. Trudno więc, by nie sprawdził się w roli komendanta akowskiej placówki w gminie Dąbrowa Zielona, którą stworzył w ciągu zaledwie kilkunastu dni, włączając w struktury konspiracyjne szeregi zaufanych ludzi.

12 lutego 1942 roku podziemną działalność Tarchalskiego przerwał niespodziewany najazd Niemców na leśniczówkę w Dąbrowie Zielonej. W związku z tym, że nie zastali gospodarza, po rewizji dworu zabrali jego żonę, którą więzili przez pół roku. On natomiast zmuszony ukrywać się jako „spalony", powrócił do pracy konspiracyjnej dopiero we wrześniu 1942 roku, obejmując wkrótce funkcję komendanta kedywu w obwodzie AK Włoszczowa. Powierzono mu wówczas stworzenie formacji zbrojnej, stanowiącej schronienie dla ludzi zagrożonych aresztowaniem i tych, którym udało się uniknąć obław i wywózki na roboty do Niemiec. W lipcu 1943 roku zorganizował w lasach kurzelowskich pierwszy obóz partyzancki w Obwodzie Włoszczowa. Kwatermistrz „Czajka" dostarczył wtedy nie tylko potrzebny prowiant, lecz także niezbędne elementy wyposażenia wojskowego, w tym kbk-i, pistolety, magazynki i amunicję oraz torby oficerskie, kompas i lornetkę – cenne pozostałości po oddziale mjr. „Hubala".

Tak zaopatrzony i uzbrojony oddział od lipca do grudnia 1943 roku przeprowadził 24 akcje partyzanckie, z czego ośmioma dowodził osobiście Tarchalski, czyli komendant „Marcin". Jedną z najgłośniejszych była ta podjęta 18 marca 1944 roku, kiedy partyzanci opanowali na kilka godzin Włoszczowę. Sparaliżowano wówczas działania niemieckiej żandarmerii, przejęto z magazynów wroga tekstylia, skóry i obuwie, zniszczono urządzenia telefoniczne i dokumenty, na koniec zlikwidowano dwóch konfidentów. Potem, bez strat, oddział

eprasa.pl 2f22a6ded1

pod dowództwem Tarchalskiego zniknął w lasach, znajdując schronienie w leśniczówce Woli Wiśniowskiej. W czerwcu natomiast „Marcin" uderzył wraz ze swoimi ludźmi na znajdującą się w rękach wroga stację kolejową Ludynia. W płomieniach stanął cały pociąg i dwa samochody, zniszczono urządzenia i akty stacyjne, wzięto do niewoli czterech Niemców, przejęto broń, amunicję i benzynę. Nie minęło kilka dni, gdy oddział Tarchalskiego wysadził w powietrze transport samochodów SS Wehrmachtu pod Żelisławicami. Przyszedł też na pomoc kompanii kapitana Władysława Kołacińskiego „Żbika", wespół z którym 26 lipca zdziesiątkował oddział niemiecki pod Olesznem. Na placu boju leżały ciała 26 żołnierzy SS. Polakom udało się zdobyć kilkanaście karabinów i pistoletów maszynowych, dość dużo amunicji i wojskowego oporządzenia.

W lipcu 1944 roku oddział Tarchalskiego, włączony do I Batalionu Uderzeniowego 7 Dywizji Piechoty AK, ruszył na ratunek ogarniętej powstaniem Warszawie. Koncentracja sił nastąpiła pod koniec sierpnia w lasach pod Przysuchą. Gdy jednak okazało się, że dotarcie do stolicy jest niemożliwe, postanowiono realizować plan „Burza" we własnym regionie, by wyprzedzić Sowietów w przejmowaniu polskiej ziemi z rąk wypieranych Niemców. Batalion skierował się więc ku Włoszczowie, staczając bitwy z siłami niemieckimi pod Rudą Pilczycką (28 sierpnia 1944 roku), a w październiku – pod Krzepinem, Kossowem, Lipnem, Wymysłowem, Chotowem i Brześcami. Choć partyzanci stosowali taktykę uników, to i tak zadali poważne straty o wiele silniejszemu przeciwnikowi.

W styczniu 1945 roku Tarchalski został zatrzymany w okolicach Dąbrowy Zielonej przez szefa sztabu brygady Armii Ludowej im. Bema, Stanisława Hanyża „Stacha", i przekazany funkcjonariuszom NKWD w Częstochowie. Potajemnie wywieziono go poza koło podbiegunowe, do obozu w Kandalakszy na półwyspie Kola, i tam zmuszono do niewolniczej pracy w kamieniołomach.

I chociaż w 1947 roku powrócił do ojczyzny i rozpoczął pracę nadleśniczego w Nadleśnictwie Tabórz w Olsztynie, władze komunistyczne o nim nie zapomniały. Odsłaniając dalsze losy Tarchalskiego, Piotr Kacprzak pisze, że „w 1950 r. aresztowany został przez UB. Przez kolejne trzy lata był maltretowany i męczony w piwnicach kieleckiego UB, a następnie skazany na 10 lat więzienia. Uwolniony od winy w 1956 r., podjął pracę w OZLP w Szczecinie, najpierw na stanowisku inspektora, a później Naczelnika Wydziału Ochrony Lasu". Z jego inicjatywy powstał Woliński Park Narodowy, choć partyzancka przeszłość spowodowała, że nie został jego dyrektorem. Zmarł w 1981 roku w Szczecinie i tam spoczęły jego ziemskie szczątki – szczątki człowieka, który nigdy nie poddał się obcej przemocy wierny ideałom leśnej służby.

Wojenna księga bohaterstwa i męczeństwa leśników polskich liczy setki stron, tyle, ile ludzkich losów znaczonych walką i ofiarą w zmaganiach z niemieckim i sowieckim okupantem. Póki trwała walka o prawdziwie niepodległą Polskę, leśnicy nigdy nie złożyli broni, wykazując podczas burz dziejowych niezwykłą odwagę i hart ducha, jak Stanisław Wołonciej „Konus", który odbił z rąk NKWD pracowników Lasów Państwowych, jak cichociemny Czesław Rossiński „Jemioła", jak walczący w wielkiej bitwie na Wykusie (1943) Roman Żurowski „Gandhi", jak zastrzelony przez UB konspirator Jan Sikorski „Wilk" czy Florian Budniak „Andrzej" – strażnik lasów w profesorskiej todze i wielu, wielu innych, których losy odsłania książka „Leśni Niezłomni. Opowieść o walce, ofierze i pamięci" (Radom 2023). ■

eprasa.pl 2f22a6ded1

Czerwony mak w klapie marynarki

Czerwone maki na trwałe związały się z wizerunkiem bitwy o Monte Cassino. Przede wszystkim za sprawą pieśni Feliksa Konarskiego i Alfreda Schütza, która powstała właśnie wtedy, gdy Polacy ruszali do drugiego szturmu na klasztor i okoliczne wzgórza. Szli do walki między czerwonymi kwiatami rozsianymi po polu bitewnym. Jednak czerwony mak jako symbol znany był wcześniej – od czasu I wojny światowej jest znakiem pamięci o weteranach. 11 listopada czerwone maki wpinają w klapy marynarek brytyjscy konserwatyści. Być może warto uczynić z czerwonego maku, przypinanego na ubranie 18 maja, symbol naszej zbiorowej pamięci o bohaterach 2. Korpusu Polskiego i ich wielkiego zwycięstwa?



Tomasz Łysiak

egzemplarz prasowy

17 maja 1944 roku rozpoczęło się drugie polskie natarcie na Monte Cassino. Pierwszy atak, przypuszczony w nocy z 11 na 12 maja, skończył się niepowodzeniem i dużymi stratami. Trzeba było się wycofać na podstawy wyjściowe. Drugi atak, którego pierwsze akordy rozbrzmiały już 16 maja, dzień przed głównym drugim natarciem, skończył się sukcesem – mocno pokiereszowani Niemcy wycofali się z ostatnich pozycji na wzgórzu 593, z Albanety i z klasztoru. Jeszcze byli na 575 i na części San Angelo. Bitwa trwała więc w amfiteatrze montecassyńskim do 19 maja, a potem przeniosła się o krok dalej, do Piedimonte San Germano.

» Pisałem gorączkowo, szybko…

Gdy nasi żołnierze bili się z Niemcami w masywie górskim Monte Cassino, prawie 100 kilometrów dalej, w Campobasso, tam, gdzie były szpital polowy i siedziba Teatru Żołnierza Polskiego, doszło do ważnego wydarzenia, które nabrało wymiaru artystyczno-dziejowego. 17 maja, po tym, jak artyści z żołnierskiego teatru wystąpili w Lucerze dla 23. Kompanii Transportowej, Feliks Konarski ps. Ref-Ren usiłował zasnąć. Nie było to łatwe, gdyż przez okno widać było dalekie błyski dział, dochodził huk artyleryjskiej nawały. Leżał więc i myślał. Zamykał oczy i w takim stanie półsnu-półjawy, w akompaniamencie bitwy zaczął wyobrażać sobie pieśń. Zerwał się i zaczął notować:

„Pisałem gorączkowo, szybko… Jak gdybym chciał tymi paroma zwrotkami dodać im sił i krwi, która wsiąkała w przerytą pociskami ziemię… Wydawało mi się, że idę razem z nimi… Że jedynym teraz celem jest ten przeklęty szczyt…".

Co ciekawe, podobnie żywe wspomnienia zachował autor muzyki, czyli Alfred Schütz, który w 1990 roku opowiadał w Radiu Wolna Europa (cyt. za B. Żongołłowicz, „Jego były Czerwone Maki"): „To było 18 maja 44 roku, kiedy sztandar polski zawisł nad Monte Cassino i ta wiadomość doszła do nas pod wieczór. […] leżałem już w łóżku – i wtedy przypomniałem sobie przyrzeczenie, które dałem generałowi Andersowi w Kairze. Spytał mnie […], dlaczego do tej pory nie powstała w naszej armii pieśń, która by pozostała […] dla przyszłych pokoleń". Miał mu Schütz wtedy odpowiedzieć, że taka pieśń na pewno powstanie, tylko musi ku temu zaistnieć jakaś specjalna okoliczność, coś się wydarzyć na polu bitwy, co natchnie autora i kompozytora do tego, by wykreować rzecz autentyczną, zrodzoną z ducha chwili. Więc wszystko musiało chyba jakoś, jak wynika z tej opowieści, czekać na taki kluczowy moment, przesilenie. Noc z 17 na 18 maja. Schütz wspominał dalej: „Wpadł do mojego pokoju Feliks Ref-Ren Konarski, z którym wcześniej już napisałem mnóstwo piosenek. Był zdyszany, zdenerwowany. Powiedział: »Fredziu, napisałem tekst Czerwone maki na Monte Cassino. Zaraz musisz siąść i napisać do niego muzykę. Jutro jest uroczystość z okazji zwycięstwa i na wieczór to musi być gotowe«".

> Jedni się bili na górskich pozycjach, inni patrzyli z zachwytem przez lornetki na flagę nad klasztorem, a jeszcze inni, w bazie polskiej w Campobasso, komponowali pieśń, mającą to wszystko upamiętnić.

FOT. NAC

eprasa.pl 2f22a6ded1

» „To jest to, o co mi chodziło!"

Dynamika była więc niesamowita, a samo pisanie słów, a potem melodii działo się niejako w rytm, razem z tym, co czynił żołnierz polski pod Monte Cassino. Jedni się bili na górskich pozycjach, inni patrzyli z zachwytem przez lornetki na flagę nad klasztorem, a jeszcze inni, w bazie polskiej w Campobasso, komponowali pieśń, mającą to wszystko upamiętnić.

„Przeczytałem tekst raz i drugi – wspominał autor muzyki – i przeszły mnie ciarki. To było tak znakomicie i muzykalnie napisane, że czytając go w głowie miałem już melodię. Siadłem do fortepianu i zagrałem Ref-Renowi melodię Czerwonych maków, tak jak ją znamy do dzisiaj". Drugą i trzecią zwrotkę zaśpiewali już wspólnie, a wzruszony Konarski powiedział: „To jest to, o co mi chodziło!". Uniesieni, poruszeni tym, co się właśnie dzieje, zawołali do pokoju Gwidona Boruckiego, wykonawcę piosenek. Ten od razu złapał melodię. Następnego dnia Schütz rozpisał wszystko na orkiestrę. 19 maja rankiem na scenie teatrzyku wojskowego odbyły się próby. A wieczorem zespół zajechał do samego miasteczka Campobasso. Tam o godzinie 20 odbyła się, przy zapalonych świecach i lampionach, uroczystość na cześć zwycięstwa. Odśpiewano po raz pierwszy „Czerwone maki na Monte Cassino". Zabrzmiały wówczas dwie pierwsze zwrotki.

» Nie uwierzyłbym, gdyby mi kto wtedy powiedział

Jednak ważne było i kolejne, drugie wykonanie. To jadąc w stronę miasta Cassino Konarski miał „popełnić" trzecią zwrotkę. Ale na kartkach z tekstem, które dostali wszyscy śpiewający twórcy widniały jeno dwie pierwsze:

Czy widzisz te gruzy na szczycie?
Tam wróg Twój się kryje jak szczur.
Musicie, musicie, musicie
Za kark wziąć i strącić go z chmur.
I poszli – szaleni, zażarci,
I poszli zabijać i mścić,
I poszli jak zawsze uparci
Jak zawsze za honor się bić.

Czerwone maki na Monte Cassino
Zamiast rosy piły polską krew.
Po tych makach szedł żołnierz i ginął,
Lecz od śmierci silniejszy był gniew.
Przejdą lata i wieki przeminą,
Pozostaną ślady dawnych dni.
I wszystkie maki na Monte Cassino
Czerwieńsze będą, bo z polskiej wzrosną krwi!

Runęli przez ogień straceńcy,
Niejeden z nich dostał i padł,
Jak ci z Samosierry – szaleńcy,
Jak ci spod Racławic sprzed lat.
Runęli impetem szalonym
I doszli, i udał się szturm.
I sztandar swój biało-czerwony
Zatknęli na gruzach, wśród chmur.

Jeśli dobrze zrozumieć narrację zawartą we wspomnieniach Gwidona Boruckiego, to drugie wykonanie (dokonane nazajutrz od pierwszego) odbyło się 20 maja bardzo blisko samego klasztoru. Na datę tę wskazują też realia – 19 maja na wzgórzach za klasztorem trwały ostatnie walki. Datę potwierdził także piosenkarz w liście do brata. Wspominał on, że Feliks Konarski „Ref-Ren" miał małą maszynę do pisania, na której mógł wystukiwać teksty, będąc gdziekolwiek: „Ciągle coś tam na niej klepał, stawiał ją gdzie popadło, na kolanach, na połamanych krzesłach, na pniach drzew… W dzień… w nocy, kiedy tylko jakiś pomysł… jakaś myśl, wpadły mu do głowy…".

Gdy go Konarski z Schützem zawołali, Borucki kilka razy ją przeczytał i podśpiewał:

eprasa.pl 2f22a6ded1

„Nie uwierzyłbym, gdyby mi kto wtedy powiedział, że piosenka stanie się tym, czym się stała: hymnem zwycięstwa".

Ale tu następuje w jego opowieści ważny moment: „Zrobiliśmy jeden olbrzymi afisz ze słowami, aby żołnierze mogli nam towarzyszyć… i pojechaliśmy na szczyt. Żołnierze usiedli na ziemi, za sobą mieli dymiące jeszcze ruiny klasztoru, my patrzyliśmy na nie stając frontem do oddziałów…". Śpiewali z kartkami w ręku: „Początkowo ze wzruszenia nie mogłem wydobyć głosu, patrząc na zmęczone, ale radosne twarze naszych chłopaków, na maki czerwone rosnące dokoła, jakby wojny nie było… […], na przezroczyste, błękitne niebo bez chmur… Miałem łzy w oczach… cisza. Wszyscy byli wzruszeni… i nagle popłynęła melodia i słowa…" – pisał w liście Borucki do brata Ludwika.

Na widowni siedzieli wówczas generał Anders, generał Nikodem Sulik i kilku dowódców alianckich. Pieśń płynęła. Wszędzie wokół faktycznie rosły maki. W zadziwiającym kontraście do przerażającej przestrzeni bitwy – trupów, gruzów, śmierci.

» Na polach Flandrii kołyszą się maki

A jak to się stało, że właśnie ten czerwony kwiat stał się na świecie symbolem pamięci o weteranach? Wszystko zaczęło się w 1915 roku w czasie bitwy pod Ypres. Kanadyjski lekarz John McCrae stracił w walce przyjaciela. Poruszony do głębi tą śmiercią, patrzył na koszmarne pole bitwy, na którym wszędzie widać było kwitnące maki – kwiaty te mają to do siebie, że potrafią wzrastać w trudnym terenie i pojawiają się często właśnie na polach bitewnych. Praktycznie pośród grobów bohaterów. McCrae napisał wówczas wiersz „In Flanders Fields the poppies blow/ Between the crosses, row on row…" („Na polach Flandrii kołyszą się maki/ Pomiędzy krzyżami, za rzędem rząd…").

Gdy wojna się skończyła, Amerykanka Moina Michael (zainspirowana wierszem) ślubowała, że odtąd będzie nosić na ubraniu przypięty czerwony mak na znak wiecznej pamięci o poległych bohaterach. Po czym, w roku 1921, nakłoniła brytyjską organizację weteranów wojennych The Royal British Legion do przyjęcia właśnie czerwonego maku jako symbolu. Organizacja rozpoczęła akcję Poppy Appeal – zbierania datków na fundusz wspierania weteranów. A dalej poszła lawina – symbol maku został przyjęty przez inne kraje, jest powszechnie noszony przede wszystkim w krajach anglosaskich w czasie Remembrance Day (Dzień Pamięci Weteranów), czyli na 11 listopada.

GDY WOJNA SIĘ SKOŃCZYŁA, AMERYKANKA MOINA MICHAEL ŚLUBOWAŁA, ŻE ODTĄD BĘDZIE NOSIĆ NA UBRANIU PRZYPIĘTY CZERWONY MAK NA ZNAK WIECZNEJ PAMIĘCI O POLEGŁYCH BOHATERACH.

W Polsce inicjatywę tę podejmuje właśnie Fundacja Monte Cassino 1944 – postulując, by czerwony mak był noszony przez Polaków w dniu 18 maja, czyli w dniu wielkiego polskiego zwycięstwa pod Monte Cassino: jako symbol czci wobec najwyższego poświęcenia naszych przodków, którzy walczyli na ziemi włoskiej „za wolność naszą i waszą". ■

eprasa.pl 2f22a6ded1



Dariusz Jarosiński

Życie jak wysokogórska wspinaczka

„Renia była najbardziej nieustraszoną osobą, jaką kiedykolwiek miałem okazję spotkać. Życie z nią było dla mnie najlepszym treningiem na późniejsze wojenne lata i moją podziemną działalność” – pisał o Irenie Iłłakowiczowej jej mąż Jerzy.

Wieczorem 4 października 1943 roku na Polach Mokotowskich w Warszawie znaleziono ciało kobiety z przestrzeloną głową. Strzał był oddany z bliskiej odległości w tył głowy. Zamordowaną okazała się Irena Iłłakowiczowa, agentka Wywiadu „Z" – Zachód (antyniemieckiego) Narodowych Sił Zbrojnych, w ostatnim czasie w komórce „C" zajmującej się Sowietami. W dniach poprzedzających śmierć zdemaskowała radiostację w Otwocku wspierającą akcje przejmowania sowieckich spadochroniarzy zrzucanych na teren Polski. Sprawcy zbrodni do dzisiaj pozostają nieznani, choć wiele tropów świadczy, iż egzekutorami byli członkowie komunistycznej Gwardii Ludowej, przygotowujący grunt w Polsce do przejęcia władzy przez Sowietów. Irena w chwili śmierci miała zaledwie 37 lat. Za kilka dni miała wyjechać do Anglii, była już spakowana.

Kim była owa agentka wywiadu?

» Powinnością każdego człowieka jest pomoc bliźniemu

Irena Iłłakowiczowa wyniosła z domu nienaganne maniery, słynęła z nieprzeciętnej urody, inteligencji, była osobą świetnie wykształconą, posługiwała się siedmioma językami: polskim, francuskim, niemieckim, angielskim, rosyjskim, fińskim oraz perskim. Ten ostatni język poznała, ponieważ jej pierwszym mężem był syn księcia Kurdystanu, z którym zamieszkała po ślubie w pałacu książęcym w Persji. Jednak życie w złotej klatce nie sprawiało jej przyjemności, za bardzo kochała wolność. Irena uprawiała narciarstwo, była alpinistką, wspinała się w górach, nie omijając najtrudniejszych szlaków. Kiedy podczas wspinaczki w Alpach jeden z towarzyszących jej alpinistów wpadł w głęboką szczelinę, Irena bez wahania, nie zważając na zagrożenie, spuściła się na linie i dotarła do nieszczęśnika. Niestety już nie żył. Choć zdawała sobie sprawę z tego, że lina może zerwać się pod podwójnym ciężarem, to wydobyła ciało. Za swój wyczyn została uhonorowana przez władze szwajcarskie złotą odznaką alpinistyczną. Irena była zaskoczona tym wyróżnieniem, ponieważ uważała, że powinnością każdego człowieka jest pomoc bliźniemu w potrzebie. Góry nauczyły ją pokory, pokonywania własnych słabości. Wspinaczka w górach to bezustanne podejmowanie ryzyka – jeden ryzykowny krok może spowodować upadek w przepaść, kosztować życie.

W 1934 roku wyszła za mąż za Jerzego Iłłakowicza, ekonomistę, absolwenta zachodnioeuropejskich studiów, jednego z najlepszych polskich brydżystów, działacza politycznego związanego ze środowiskiem Obozu Narodowo-Radykalnego. Dwa lata później przyszła na świat ich córka Ligia. Po wybuchu wojny, jesienią 1939 roku, Irena podjęła się nie lada wyzwania, dużo bardziej trudnego niż wyczyn w Alpach – została agentką wywiadu „Zachód" Związku Jaszczurczego, a później Narodowych Sił Zbrojnych. Pracowała w sieci wywiadowczej zajmującej się rozpoznaniem wojskowym, gospodarczym i komunikacyjnym. Kilkakrotnie jeździła do Berlina, gdzie znajdował się punkt kontaktowy ekspozytury wywiadu Związku Jaszczurczego.

Historyk Michał Gruszczyński, badacz historii wywiadu Związku Jaszczurczego, pisał o działalności Wydziału „Z": „Do największych sukcesów Wydziału »Zachód« Związku Jaszczurczego można zaliczyć: zdobycie informacji o planowanym ataku III Rzeszy na Grecję i Aleksandrię w Afryce Północnej, poznanie położenia pancernika »Tirpitz« w norweskich fiordach, a także odkrycie lokalizacji tajnego ośrodka badań nad pociskami rakietowymi na Pomorzu Zachodnim (w Peenemünde na wyspie Uznam). Ponadto przechwycił on informacje o budowie niemieckich okrętów podwodnych w stoczniach

FOT. NAC

eprasa.pl 2f22a6ded1

w Gdyni, Gdańsku i Elblągu. Pozyskał też wszelkie dane techniczne na ich temat.

Działalność Wydziału »Zachód« polegała również na prowadzeniu akcji dywersyjnych. I tak przez podwieszenie bomby zegarowej zatopił on wraz z załogą jedną z niemieckich doświadczalnych łodzi podwodnych w gdańskim porcie. Z kolei podczas hucznej imprezy na statku pasażerskim (koszarowcu) »Monte Olivio« podpalił drzwi wejściowe, w wyniku czego zginęło ok. 200 Niemców. W celu rejestrowania liczby i rodzaju uszkodzeń w naprawianych niemieckich jednostkach morskich wprowadził swoich agentów do oddziału stoczni remontowej Deutsche Kiel w Gdyni, gdzie przy okazji udało mu się odnaleźć pancernik »Gneisenau«, który znikł Anglikom z pola widzenia w 1942 r. Wykrył też, że w Zakładach Elektrotechnicznych w Bydgoszczy produkowane są części wyposażenia pocisków rakietowych Velgertungswaffe V-1 i V-2. Pozyskał dane na temat miejsca wystrzelenia i upadku rakiet doświadczalnych V-2 oraz wykonał ich szkice z dokładnymi wymiarami. Ponadto w latach 1940–1943 Wydział »Zachód« kolportował na tereny przedwojennej Rzeszy prasę podziemną i materiały propagandowe, przewożąc je w skrytkach w wagonach kolejowych.

Działania wywiadu ZJ były otoczone głęboką tajemnicą i nawet dziś trudno jest jednoznacznie wskazać, kto brał w nich udział".

Wywiad Związku Jaszczurczego ściśle współpracował z Wywiadem Związku Walki Zbrojnej – Armii Krajowej. Pozyskane wiadomości były przekazywane za pośrednictwem ZWZ-AK do Sztabu Naczelnego Wodza w Londynie.

» Odrzuciła życie w książęcym pałacu

Irena urodziła się 26 lipca 1906 roku w Berlinie w rodzinie ziemiańskiej pochodzącej z Kujaw. Jej ojciec, Bolesław Morzycki, budował koleje w Imperium Rosyjskim. Po wybuchu rewolucji bolszewickiej rodzina przeniosła się do Finlandii, a w 1919 roku zamieszkała w Polsce. Irena uczyła się w elitarnym liceum z internatem sióstr Zgromadzenia Najświętszego Serca Jezusowego w Zbylitowskiej Górze (większość uczennic pochodziła z rodzin arystokratycznych, szlacheckich), a po uzyskaniu matury wyjechała na studia humanistyczne w Grenoble we Francji. Na uniwersytecie poznała syna księcia Kurdystanu Azisa Zangenaha, z czasem ich znajomość przerodziła się w miłość. Po ślubie w paryskim meczecie wyjechali oboje do Persji. Życie w książęcym pałacu okazało się nie do pogodzenia z jej poczuciem wolności i niezależności, choć zdołała sobie zagwarantować dwa przywileje: jej małżonek został zwolniony z obowiązku posiadania haremu, a ona mogła spożywać posiłki wspólnie z mężczyznami. Po dwóch latach zdecydowała wspólnie z mężem, że powróci do Polski, a nie było to wcale takie proste. Na motocyklu uciekła do polskiego poselstwa w Teheranie i stamtąd z pomocą generała Czesława Jarnuszkiewicza, kuzyna, dotarła do Europy.

W niedługim czasie Irena poznała w Paryżu młodszego o dwa lata Jerzego Olgierda Iłłakowicza, pochodzącego, tak jak ona, z ziemiańskiej rodziny, ze strony ojca ze Żmudzi, z Wielkiego Księstwa Litewskiego, bliskiego kuzyna Kazimiery Iłłakowiczówny – poetki i w randze ministra osobistej sekretarz Józefa Piłsudskiego. Jerzy był świetnie wykształconym ekonomistą, ukończył najpierw studia na wydziale rolnym w Louvain i wydziale ekonomicznym w Lozannie, a następnie w The London School of Economics and Political Science. Po powrocie do kraju podjął pracę w bankowości. Jerzy bywał gościem na czwartkowych spotkaniach u Kazimiery Iłłakowiczówny, gdzie miał okazję poznać ówczesną polską elitę polityczną, m.in. Walerego Sławka, Kazimierza Bartela, Ignacego Matuszewskiego, przedstawicieli środowiska artystycznego, literackiego.

eprasa.pl 2f22a6ded1

Ślub Ireny i Jerzego odbył się w październiku 1934 roku, w kościele katedralnym św. Jana Chrzciciela w Warszawie, a dwa lata później przyszła na świat ich córka Ligia. Jerzy nazywał Irenę niemal od początku znajomości Renią.

» Pseudonim Barbara Zawisza

Państwo Morzyccy, rodzice Ireny, byli kuzynami Tadeusza i Kazimierza Gluzińskich, znanych działaczy narodowych, założycieli Obozu Narodowo-Radykalnego ABC i tajnej Organizacji Polskiej. To z ONR ABC związany był m.in. tygodnik literacko-artystyczny „Prosto z Mostu", a także dziennik „ABC". W 1935 roku bracia Gluzińscy wprowadzili Jerzego i Irenę Iłłakowiczów do Organizacji Polskiej, która miała charakter elitarny, do której należała dobrze wykształcona polska inteligencja o ugruntowanej pozycji zawodowej o poglądach narodowych. Do OP należeli prawnicy, ekonomiści, lekarze, a także profesorowie, księża, ziemianie oraz przemysłowcy, którzy dodatkowo finansowali działalność.

Po wybuchu wojny z inicjatywy Organizacji Polskiej powstał podziemny Związek Jaszczurczy, organizacja wojskowa, która w późniejszym czasie dała początek Narodowym Siłom Zbrojnym. Warto dodać, że środowisko OP pierwsze promowało koncepcję powrotu Polski nad Odrę i Nysę Łużycką oraz przyłączenia do Polski Dolnego Śląska, Pomorza i Prus Wschodnich.

Jerzy był jednym ze współorganizatorów struktur konspiracyjnego Związku Jaszczurczego. Irena, m.in. z uwagi na znajomość języków obcych, w tym niemieckiego, a także inteligencję i silną psychikę, została zaangażowana do wywiadu Związku Jaszczurczego, kryptonim „Z" – Zachód. Przyjęła pseudonim konspiracyjny Barbara Zawisza, pracowała w sieci wywiadowczej zajmującej się rozpoznaniem wojskowym, gospodarczym i komunikacyjnym. Kilkakrotnie jeździła do Berlina, gdzie znajdował się punkt kontaktowy ekspozytury „Z" Związku Jaszczurczego. W czasie okupacji Irena i Jerzy, ze względów konspiracyjnych, nie mieszkali razem, musieli często zmieniać adresy zamieszkania, lokale konspiracyjne, a ich córką Ligią opiekowała się babcia, matka Ireny, mieszkająca w Klarysewie pod Warszawą.

» Na tropie polskiej siatki wywiadowczej

W opinii niemieckich raportów Wywiad „Zachód" Związku Jaszczurczego był groźną organizacją wywiadowczą, z jaką od początku wojny musiała konfrontować się III Rzesza. Przez dłuższy czas Niemcy sądzili, że mają do czynienia z wywiadem brytyjskim, nie przypuszczali nawet, że Polacy są zdolni do tak skutecznych i trudnych operacji. Szefem Wywiadu Związku Jaszczurczego był Witold Gostomski „Nałęcz", „Hubert". Siatkę placówek wywiadowczych na terenie III Rzeszy, a także na terenach polskich do niej włączonych, zbudował por. rez. Stanisław Jeute „Cezary", „Wilk", „Stach Zachodni", który pochodził z rodziny hugenotów przybyłych do Polski w XVIII wieku, warszawski luteranin, członek Obozu Narodowo-Radykalnego. Wiosną 1940 roku Jeute stanął na czele Wydziału „Zachód".

Niemcy włożyli wiele wysiłku w rozpracowanie polskiej siatki wywiadowczej, która sprawiała im dużo kłopotów. W końcu trafił na jej ślad kontrwywiad niemiecki i specjalnie do tego powołane Sonderkommando. Od początku działania do kwietnia 1942 roku Niemcy zatrzymali łącznie 90 członków wywiadu Związku Jaszczurczego. Do połowy 1943 roku Sąd Wojenny III Rzeszy wydał w ich sprawie 22 wyroki, w których 40 osób zostało skazanych na karę śmierci przez ścięcie na gilotynie. Mocno osłabiony Wywiad „Z" Związku Jaszczurczego działał jednak dalej. Nadal przekazywał, choć na nieco mniejszą skalę, wiele cennych wiadomości za

eprasa.pl 2f22a6ded1

pośrednictwem ZWZ-AK do Sztabu Naczelnego Wodza w Londynie.

25 lutego 1942 roku w Warszawie wraz z grupą najbliższych współpracowników został aresztowany Stanisław Jeute. Najpierw trafił na Pawiak, potem do więzienia śledczego gestapo przy Alexanderplatz w Berlinie, a następnie do więzienia wojennego w Alt-Moabit w Berlinie, gdzie poddano go niezwykle brutalnemu śledztwu. Zachował on jednak nieugiętą postawę, o czym opowiadała konfrontowana z nim w więzieniu współoskarżona w procesie łączniczka na Pomorzu Maria Gostomska „Gosia", „Biedronka", działająca w konspiracji jako Margarete Fischer: „Ze Staszkiem spotkałam się podczas konfrontacji w Berlinie. W pierwszym momencie go nie poznałam; tak był potwornie zmizerowany, z zapadniętymi policzkami i ustami; miał wybite wszystkie zęby. Zostały z niego tylko jego świetliste, pełne wyrazu oczy. Widziałam, jak przesłuchujący z wielką pasją wytrącił Staszkowi kule i leżącego bił i kopał".

Chcąc ratować syna, matka, Eleonora Jeute, wysłała za pośrednictwem Polskiego Czerwonego Krzyża do Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża w Genewie list z propozycją wymiany go na jednego z oficerów wywiadu niemieckiego znajdujących się w niewoli brytyjskiej. Podobno sprawa miała duże szanse powodzenia, ale Stanisław nie zgodził się na zawarcie porozumienia z Niemcami.

2 lutego 1943 roku w więzieniu Plötzensee w Berlinie Stanisław Jeute został zamordowany przez zgilotynowanie. Egzekucję wykonał Johann Reichhart – niemiecki kat państwowy, uznawany za kata, który wykonał najwięcej egzekucji w nowożytnych czasach w Europie, a może również na świecie.

» Na wolności

Aresztowania nie uniknęła też Irena. 7 października 1942 roku trafiła na Pawiak. Miała przy sobie cyjanek potasu, na wszelki wypadek, gdyby nie mogła znieść brutalnych tortur. Na szczęście nie było konieczne sięgnięcie po truciznę. Sytuacja była beznadziejna, jednak Jerzy nie poddał się i zawalczył o żonę. Zresztą nie tylko on. Najprawdopodobniej za pośrednictwem i z pomocą doktora Felicjana Lotha, lekarza na Pawiaku, członka Obozu Narodowo-Radykalnego, udało się przekupić niemieckiego strażnika i 16 stycznia 1943 roku, kilka miesięcy po aresztowaniu, Irena znalazła się w grupie więźniarek, które z Pawiaka zostały przewiezione do kobiecego obozu na Majdanku. Tutaj nie była narażona na brutalne tortury, to było „sanatorium" w porównaniu z Pawiakiem.

W połowie marca 1943 roku oddział Narodowych Sił Zbrojnych (w tę formację przekształcił się Związek Jaszczurczy) przeprowadził brawurową akcję uwolnienia Ireny z obozu na Majdanku. Tak o tej historii pisała Krystyna Kabzińska: „Grupa młodych chłopców, pochodzących z Pomorza i władających językiem niemieckim, przebrana w mundury gestapo w skradzionym samochodzie po przecięciu drutów telefonicznych podjechała pod bramę obozu. Przedstawiła dokument nakazujący wydanie Ireny celem przewiezienia na śledztwo do gestapo w Warszawie. Kamuflaż był tak udany, że Irena umieszczona w samochodzie żegnała się już z życiem, nie mając nadziei na wywinięcie się tym razem z rąk gestapo" („Służba Polek na frontach II wojny światowej. Sylwetki kobiet-żołnierzy", Toruń 2001).

Należy wspomnieć o innej wersji wydostania się z Pawiaka Ireny, przedstawiał ją w Polskim Radiu prof. Jan Żaryn: „Drugi życiorys mówi, że podczas przesłuchań na Pawiaku poznała oficera o antyhitlerowskich poglądach i podjęła z nim grę, zgadzając się na przekazywanie Gestapo danych wywiadowczych, dotyczących struktur komunistycznych, w zamian za uwolnienie aresztowanych z nią kolegów. Zobowiązała się też do

eprasa.pl 2f22a6ded1

wejścia w struktury antykomunistycznego wywiadu. Są podejrzenia, że uwolnienie z Majdanka, dokonane rzeczywiście przez NSZ, odbyło się za wiedzą Niemców i miało ją uwiarygodnić. Ta wersja pochodzi od jednej z agentek AK na Pawiaku, która przestrzegała, by nie podejmować kontaktów z Ireną Iłłakowicz, bo ta nawiązała współpracę z Niemcami. Nie wiemy, na ile te dwie wersje się łączą, i wcale się nie kłócą" (audycja „Irena Iłłakowicz – polska agentka w czasie II wojny światowej" z dnia 19.10.2021). Opisana wersja nie znajduje potwierdzenia w żadnych dokumentach, zeznaniach świadków tamtych zdarzeń.

» Orzełek z czarną kokardką

Irena została przewieziona do majątku Dratów na Lubelszczyźnie, którego właścicielką była babka Jerzego Iłłakowicza, Maria Kleniewska, gdzie ukrywała się i nabierała sił. Spędziła też jakiś czas z córką Ligią i matką w podwarszawskim Klarysewie. Rozsadzała ją energia i chęć działania. Wróciła do Warszawy. Spalona na „odcinku niemieckim", została zaangażowana do zbierania informacji o ekspozyturze sowieckiej działającej na terenie okupowanej Polski.

Na początku października 1943 roku Jerzy Iłłakowicz spotkał się z żoną. „Spotkałem się z Renią [Ireną] dwa dni przed jej śmiercią i odbyliśmy długą rozmowę – wspominał Jerzy Iłłakowicz. – Powiedziała mi, że pracuje nad zniszczeniem komunistycznej radiostacji, która znajduje się w pobliżu Warszawy [pod Otwockiem], i że liczy na pomoc pewnego Niemca, oficera Abwehry (wywiadu wojskowego) o mocno antyhitlerowskich poglądach. Wyglądało mi to na pułapkę. […] Przekonywałem, że Londyn ważniejszy, ale nie pomogło".

Irena Iłłakowiczowa miała 11 października wyjechać do Londynu. Wieczorem 4 października zadzwoniła do Jerzego, mówiąc w sposób zawoalowany, że jest na tropie sowieckiej radiostacji i wychodzi z domu. Zostawiła jeszcze wiadomość, by poinformować organizację o swoim zniknięciu, jeśli nie pojawi się do godz. 22. Nie wróciła. Znaleziono ją na Polach Mokotowskich zamordowaną strzałem z pistoletu w tył głowy. Zabójca nie zabrał jej ani dokumentów, ani pieniędzy. Do dziś nie wiadomo, czy zabili ją bolszewicy, czy gestapo. Według Jerzego Iłłakowicza zamach na życie Ireny był dziełem połączonych sił NKWD i gestapo.

Irenę pochowano pod przybranym nazwiskiem Barbara Zawisza, tym, które miała w dokumentach. Z obawy na możliwość obserwacji uroczystości pogrzebowej przez gestapo, Jerzy wziął udział w pogrzebie w przebraniu grabarza, a matka udawała pracownicę obsługi cmentarza. Już po wojnie, w 1948 roku, matka zmieniła tabliczkę nagrobną i umieściła prawdziwe nazwisko.

Po śmierci żony Jerzy miał trudne zadanie poinformowania córki, wówczas siedmioletniej, o śmierci mamy. Tak opisała tę sytuację Krystyna Kabzińska na podstawie opowiadań Ligii Iłłakowicz: „[…] zmienił kolor włosów, zapuścił wąsy i nosił niepotrzebne mu okulary. Odwiedził Ligię w krzakach ogrodu w Klarysewie, tuląc ją – przekazał wiadomość o śmierci matki. Ligia, która nie mogła nosić żałoby, otrzymała od ojca orzełka z czarną kokardką". Ligia ostatni raz widziała ojca jesienią 1944 roku, dwa miesiące przed jego wyjazdem z kraju.

Po wojnie Ligię wychowywała nadal rodzina matki mieszkająca w Sopocie, potem rodzice ojca. Dziadkowie Ligii, Helena i Witold Iłłakowiczowie, mieszkali w Szczecinie.

Jerzy Iłłakowicz w 1945 roku udał się na emigrację, pisał po latach: „Renia była najbardziej nieustraszoną osobą, jaką kiedykolwiek miałem okazję spotkać. Życie z nią było dla mnie najlepszym treningiem na późniejsze wojenne lata i moją podziemną działalność". ■

eprasa.pl 2f22a6ded1

Godard i sztuka zaangażowana jako dyktatura

Mateusz Matyszkowicz



Kino nie jest niewinne. Zdradza samo siebie, gdy próbuje widza przerobić na rewolucyjną modłę.



eprasa.pl 2f22a6ded1



FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl 2f22a6ded1

Marksiści marzyli o tym, żeby ich idee stały się rzeczywistością. To takie uparte pragnienie, by świat odpowiadał naszej własnej projekcji. Że jeśli coś myślimy, że jeśli coś nas wewnętrznie podnieci, staje się rzeczywistością. To także pewna skaza na naszej naturze, w której niezrealizowane idee stają się kompulsywne. Ponieważ ich nierealność nas frustruje, a mózg potrzebuje coraz silniejszych bodźców, idee stają się coraz bardziej obsesyjne i radykalne.

Największe zła ostatnich dekad brały się zwykle z takich projekcji. Możemy je analizować, przyglądając się ustrojom totalitarnym, ale jeśli chcemy lepiej poznać mechanikę naszej natury i wynaturzenie, w jakie popada umysł, lepiej sięgnąć do źródeł, które odsłaniają te mechanizmy destrukcyjnych projekcji, zwłaszcza że część twórców była ich świadoma i, eskalując te projekcje, potrafiła zarazem dokonywać autodiagnozy.

» W stronę odrzuconych

Kiedy kształtowało się francuskie środowisko „Cahiers du Cinéma", pisma, które wyniosło później nową falę, intelektualny guru tej grupy, André Bazin, głęboko zakorzeniony w myśli personalistycznej, szukał w kinie realizmu.

W mechanicznym zapisie taśmy filmowej widział szansę na to, że oddamy światu to, co należne. Dlatego krytykował współczesne sobie kino francuskie za teatralność, bajkowość i schlebianie potrzebom fikcji. Nazywał je „kinem jakości"; zręcznie zrealizowanymi historiami, które odrywają od kontaktu ze światem.

Wiernie wczytujący się w niego François Truffaut, później reżyser, ale na początku wzięty krytyk filmowy ze środowiska „Cahiers", próbował przełożyć ten model na praktykę filmową. Szukał sposobu na opowiadanie z minimalnym montażem, stąd w swoim cyklu o Antoine Doinelu, zwłaszcza w jego otwarciu, w genialnych „Les Quatre Cents Coups" („Czterysta batów"), pokazywał własne dzieciństwo w całym jego pięknie i okrucieństwie zarazem, za pomocą długich ujęć, nieruchomej najczęściej kamery, w której montaż odbywał się wewnątrz kadru, a nie za pomocą cięć, w których oprócz pierwszego planu świat rozgrywał się także na planach dalszych.

To nie był pomysł na rewolucję polityczną, przeciwnie, ta rewolucja miała charakter artystyczny i polegała na oddaniu sprawiedliwości światu przez kamerę, na odzyskaniu z rzeczywistością kontaktu. Dzięki realizmowi w tym kinie widzimy zarazem starą Francję, w jej pięknie, ale i w społecznych cieniach, często ze zwróceniem uwagi na napięcia między posiadającymi więcej i mniej, bez oceniania, bez karabinów na ulicach i budowania barykad.

Ale Francja nie byłaby sobą, gdyby w pewnym momencie nie pojawiły się barykady. Ten szybko modernizujący się Paryż, Paryż amerykanizujący się (stały element filmów tamtego czasu, w tym „Do utraty tchu" Godarda: gazeciarz sprzedający na ulicy amerykańską gazetę), Paryż, w którym zamożność widać na ulicach, odsłania także swoje ubogie oblicze, jak w „Vivre sa vie" („Żyć własnym życiem") Godarda, w którym dziewczyna, nie mogąc zapłacić za czynsz, zaczyna się prostytuować i ostatecznie ginie jako przypadkowa ofiara starcia między przestępcami.

Na tym etapie nie mówimy jeszcze o rewolucji. To wciąż zwrócenie się, w imię realizmu, ku ludziom, których kino jakości, kino jako bajka nie chciało widzieć. Dla tego kina ubóstwo mogło być albo romantyzowane, jakby przetwarzając opowieść o dziewczynce

eprasa.pl 2f22a6ded1

z zapałkami, albo wprost pomijane, jakby ludzkie upodlenie było brudem na planie filmowym. Nowa fala, w swoim dojrzałym wydaniu, tym najbardziej realistycznym, wydobyła brud, i jest to jej niezwykła zasługa.

» Rewolucja jako fantazja

Jednak, jak pisał Karol Marks w 11. tezie o Feuerbachu: „Filozofowie rozmaicie tylko interpretowali świat; idzie jednak o to, aby go zmienić". Ta teza radykalnie zmienia stosunek intelektualistów, w tym filmowców, do świata, sztuki, którą tworzą, i do samych siebie. Zamiast oddawać sprawiedliwość rzeczywistości poprzez własne rzemiosło, w ludziach rodzi się pokusa, by w ten świat ingerować.

Lata 60. dają ku temu intelektualne narzędzia. Wprawdzie rośnie świadomość zła systemu sowieckiego, choć nie zawsze, nie wszędzie i nie u wszystkich, to jest jeszcze rewolucja kulturalna Mao, która oderwanym od rzeczywistości intelektualistom wydaje się czysta i szlachetna. Są filozofowie, którzy dają komfort zostania rewolucjonistą i marksistą bez wychwalania Związku Sowieckiego, co najwyżej z subtelną krytyką.

Powszechnie czytany jest Antonio Gramsci, który daje pożywkę światu kultury, docenia go, bo pokazuje w zmianie kulturowej podłoże do zmiany społecznej. Jest szkoła frankfurcka, która demaskuje społeczeństwo kapitalistyczne jako zniewolone konsumpcją. Jest wreszcie bożyszcze: Louis Althusser. Filozof, który przeprowadził operację oczyszczenia marksizmu z jego kompromitujących kontekstów. Odrzucił młodego Marksa jako zbyt ludzkiego, zbyt filozoficznego, i ogłosił narodziny Marksa naukowca, który rzekomo opisuje mechanizmy historii w sposób obiektywny. W ten sposób marksizm przestaje być ideologią, przynajmniej we własnym mniemaniu, a zaczyna funkcjonować jako narzędzie poznania. I właśnie to złudzenie okazuje się istotne w naszym dalszym wywodzie.

Obok tego istniał w tamtym czasie także marksizm odwołujący się do mitu wczesnych pism Marksa, który zwracał uwagę przede wszystkim na kulturę jako narzędzie zniewolenia i wyzwolenia zarazem.

Althusser natomiast pisał, że to nie jednostka tworzy społeczeństwo i historię, lecz odwrotnie – jednostka jest wytworem społeczeństwa i historii. Zatem kluczem do zmiany, także w tym jednostkowym wymiarze, jest zrozumienie własnej funkcji społecznej i wysadzenie ram, które nas dotychczas definiowały.

I to jest prawdziwa pożywka dla intelektualnych kompleksów, wiercących się niecierpliwie, że nie mają wpływu na rzeczywistość. Tak, kultura jest kluczem, trzeba ją zmienić, wysadzić w powietrze, wprowadzić rewolucyjny chaos i w ten sposób stymulować rewolucję społeczną.

Już nie opisywać, ale zmieniać, zgodnie z przywołaną wcześniej tezą Marksa.

Ten przełom następuje w samym Godardzie. Na początku ostrożnie i z ostrzem autoironii, jak w „La Chinoise" („Chinka"), filmie, który w pewnym sensie zapowiadał rewolucję 1968 roku, a na pewno jest bardzo realistycznym obrazem bogatych dzieci bawiących się w rewolucję według najnowszej mody. Zamknięci w pokojowym hotelu przechodzą marksistowską i maoistyczną reedukację, planując jednocześnie wysadzenie świata w powietrze.

W tym samym roku powstaje także słynny „Week-end", w którym zamożne małżeństwo, żyjące w swoich seksualnych perwersjach, planuje się nawzajem zabić (a jakże, dla spadku), ale wpada w chaos powszechnych

eprasa.pl 2f22a6ded1

wypadków drogowych, przemocy, strzelanin, jednym słowem powszechnej rewolucji, której istnienie chce nam podpowiedzieć Godard, który niby się z niej naśmiewa, ale tak naprawdę kręci go to wysadzenie świata w powietrze, wygenerowanie chaosu, z którego powstanie nowy porządek.

» Sabotaż samego siebie

Pod tym względem niezwykle ciekawą introspekcją, dającą szczególny wgląd w życie Godarda, jego emocje i fantazje, jest „Pierrot le fou" („Szalony Piotruś"). Bohater tej opowieści, zamożny Ferdinand, porzuca rodzinę i udaje się w szaloną podróż ze swoją kochanką. On jest intelektualistą żyjącym w świecie swojej poezji i wyobrażeń, ona jest pięknym chaosem, jest rewolucją nie tylko polityczną (zabija i jest ścigana), lecz także egzystencjalną. Jej poglądów nie możemy odtworzyć, bo widzimy ją nie tyle w ideologicznych manifestach, ile w samym ruchu i chaosie, który wokół siebie generuje.

Nasza para podróżuje na południe Francji. On najbardziej się cieszy, gdy osiadają na Lazurowym Wybrzeżu w jakiejś opuszczonej chacie i ma przestrzeń do tego, by siadać na nadmorskiej skale i pisać swoje wiersze, ale ona potrzebuje ruchu, ciągłej zmiany, wyrywania go z tej stabilności.

Napięcie między nimi ma erotyczny charakter. Ona jest jego dystraktorem, bo wiążąc się z chaosem, Ferdinand sam sabotuje swoją potrzebę kontemplacji, niemożliwej w rewolucyjnym ruchu, a jednak za nią biegnie, wybacza jej zdrady, bo inaczej nie potrafi.

Trudno o lepszy obraz tej tęsknoty intelektualisty za rewolucją. Przyjmując 11. tezę Marksa, intelektualista zdradza przecież sam siebie. Powołany do opisu świata, angażuje się w jego zmianę, czyniąc dalszy opis niemożliwym, bo staje się zaangażowany. Ale ten autosabotaż go podnieca, podobnie jak w dynamice damsko-męskiej niszczy swoimi wyborami upragnioną stabilność. W tym momencie Godard jest niezwykle szczery i w zasadzie podpowiada widzowi interpretację tego, co stanie się z nim samym później, gdy na rewolucję nie będzie już patrzył z autoironią, ale faktycznie się w nią zaangażuje, tworząc grupę Dziga Wiertow, której nazwę wzięto od sowieckiego reżysera lat 20., twórcy kina podporządkowanego rewolucji bolszewickiej.

Dziga Wiertow wierzył, że kamera nie ma opowiadać historii, lecz ujawniać prawdę procesu historycznego. Jego kino, od „Kino-Pravda" po „Człowieka z kamerą", miało rozbijać iluzję, odrzucać fabułę, aktorów, psychologię, a zamiast tego montażem i rejestracją życia produkować nową świadomość widza. Kino było dla niego narzędziem formowania człowieka sowieckiego. Jak w przypisywanym Leninowi cytacie: „Kino jest najważniejszą ze sztuk".

Godard bierze ten model i przenosi go w zupełnie inny kontekst. Jego filmy z okresu grupy Dziga Wiertow porzucają narrację, rozbijają język, pełne są haseł, cytatów, fragmentów teorii. Nie chodzi już o to, żeby coś zobaczyć, ale żeby zostać przeformowanym.

Tu mamy jednak dużą różnicę. Wiertow pracował dla rewolucji, która miała swoje państwo. Godard działa w świecie zachodnim, bez aparatu przymusu. A jednak używa tych samych narzędzi, tylko że nie w imieniu systemu, lecz własnej wizji. Intelektualista nie chce już tylko rozumieć świata ani nawet go zmieniać. Chce go wytwarzać. Chce, by rzeczywistość odpowiadała jego konstrukcji.

Ta historia pokazuje, w jaki sposób zaangażowana sztuka nie tylko jest autosabotażem, lecz także przede wszystkim realizacją chorej potrzeby intelektualisty stania się dyktatorem. ■

eprasa.pl 2f22a6ded1

Marek Kalinowski

Niespełniona obietnica Chopina

Obiecywany przez Chopina trzeci koncert fortepianowy ostatecznie nigdy nie doczekał się realizacji. Z utworów, które mogłyby stanowić jego część, pianista Martin Stadtfeld próbuje ułożyć całość. Czy taki projekt mógł się udać?

Zalążek tego – wydawałoby się szalonego – pomysłu, którego podjął się niemiecki pianista, nie jest jednak wyłącznie wytworem fantazji. Strukturę trzeciego koncertu otwiera bowiem „Allegro de concert A-dur op. 46", które Chopin napisał prawdopodobnie jako wstęp do większej formy, lecz ostatecznie opublikował jako utwór solowy, dedykowany swojej ulubionej uczennicy, Friederike Müller. Na plany dotyczące kolejnego koncertu wskazuje nie tylko charakter kompozycji, lecz także bogata korespondencja Chopina, w której wspomina, że chciałby wykonać go podczas pierwszego występu po powrocie do wolnej Warszawy. Z tej właśnie obietnicy Martin Stadtfeld uczynił główny temat swojego najnowszego albumu.



Martin Stadtfeld, CHOPIN: RETURN TO WARSAW, Sony Classical

Silnie nacechowane polską tradycją, a nieco dziś pomijane „Allegro de concert" stanowi solidny fundament pod śmiały projekt rekonstrukcji planów Chopina, w czym Stadtfeldowi pomaga orkiestracja Timo Jouko Hermanna. Co jednak dalej? Wyobraźnia twórców sięga głębiej, po pozostawione przez kompozytora „Bolero op.19", w którego bogatej fakturze i kontrastach próbują dostrzec kolejne części porzuconego projektu. Materiał wyprowadzony z tego utworu oraz inwencja rekonstruktorów muszą wystarczyć zarówno na senny wstęp części drugiej, jak i podniosły finał.

Album rozczarowuje i drażni, tym bardziej że wyimaginowany „III koncert" otoczony jest wyborem znanych utworów solowych, których wykonanie pozostawia, niestety, wiele do życzenia. Mimo to trudno uznać czas spędzony z tym nagraniem za stracony. Buduje bowiem opowieść, od której nie sposób się uwolnić: co by było, gdyby…? Gdyby Warszawa była wolna, gdyby Chopin rzeczywiście mógł do niej wrócić, jak mógłby wyglądać ten obiecany utwór? Czy w ogóle by powstał?

Nie udało się odtworzyć III koncertu w formie, która mogłaby zachwycić. Biorąc pod uwagę absolutną wyjątkowość i geniusz dwóch istniejących koncertów, a także fakt, że Chopin każde swoje dzieło tworzył od nowa, trudno też było oczekiwać innego rezultatu. Bez umysłu i ręki twórcy jest to przedsięwzięcie po prostu niewykonalne. Mimo to sama historia pozostaje kusząca, i choć niespełniona, takie muzyczne opowieści kupuję za każdym razem. I będę kupował, dopóki podobne idee rodzą się w ludzkiej wyobraźni, a nie w algorytmach, co przecież w czasach sztucznej inteligencji nie wydaje się odległą wizją. To właśnie tej ostatniej myśli obawiam się najbardziej. ■

FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl 2f22a6ded1



Krzysztof Karnkowski



Karetką przez płonące ulice

W Hiszpanii nie dzieje się najlepiej, a powodów do zadowolenia nie mają ani sympatycy lewicy, ani prawicy. Na ile wyprodukowany przez Netflix serial „Salvador" jest produktem politycznej poprawności, jak mogłoby wynikać z zapowiadającego go kilka miesięcy temu opisu, a na ile to opowieść o realnych problemach, wcale nie tak oczywista, jak mogłoby się wydawać? Oglądając kolejne odcinki coraz bardziej skłaniałem się ku tej drugiej optyce, korzystniejszej dla twórców odpowiedzi. W tej opowieści znajdziemy odbicie bardzo wielu problemów i obaw kraju, z którego się wywodzi.

eprasa.pl 2f22a6ded1

Nie będzie to artykuł wyłącznie o serialu. By bowiem o nim dobrze powiedzieć, potrzebne jest szersze tło. Bardzo silnym politycznym podziałom Hiszpania poddawana jest od lat i nie zaczęło się to bynajmniej w czasach wojny domowej i rządów generała Franco. Od niedawna dostępny dla naszych widzów film „Claret", fabularna biografia hiszpańskiego biskupa i świętego żyjącego w XIX wieku, pokazuje, jak trwałe i zadawnione są pewne podziały.

» Polityczny background

Przemoc jako element polityki, zarówno prawicowej, jak i lewicowej, ma tu długą tradycję. Radykalizm w polityce też ma się dobrze. Po lewej stronie mamy więc podobną do naszego Razem partię Podemos, od niedawna współtworzącą blok Sumar, którego liderka należy do Partii Komunistycznej i odwołuje się do ideałów dawnej republiki. Prawicowy Vox, koalicjant PiS w EKR, nie odwołuje się wprost do tradycji frankistowskiej, ale lewicowa publicystyka i tak ocenia ich właśnie w tym duchu. Kluczowe w walce o rządy pozostają jednak dwie główne siły, kojarzące się z bardziej tradycyjną polityką – socjaliści z PSOE, główna siła dzisiejszego rządu, oraz nominalni konserwatyści z Partii Ludowej. W 2018 roku ludowcy, dowodzeni przez Mariano Rajoya, stracili władzę w wyniku skandalu korupcyjnego – 30 polityków i ludzi związanych z partią skazano za liczne oszustwa i pranie brudnych pieniędzy, a samo ugrupowanie oskarżano o korzystanie z owoców nielegalnych operacji finansowych. Socjaliści ponownie objęli stery, wrócili też do radykalizmu, również ideologicznego, pamiętanego z czasów premiera Zapatero. Rząd Pedro Sancheza zyskał poparcie ugrupowań lokujących się na lewo od jego własnej partii. Jednak sami socjaliści też stali się w niektórych sprawach godni miana skrajnych. Pokazała to niedawna decyzja o zalegalizowaniu początkowo pół miliona, a ostatecznie nawet 800 tys. nielegalnych imigrantów. To ważne w kontekście społecznego klimatu, do którego odwołuje się „Salvador".

Jednak i partia Sancheza ma dziś problemy z korupcją, a od poważnych oskarżeń nie jest wolny ani premier, ani jego rodzina. Ba, wygląda na to, że swoich poprzedników ekipa Pedro Sancheza wyprzedziła już o kilka długości: żonie premiera, Begonii Gomez, postawiono zarzuty korupcji, malwersacji, nadużywania wpływów politycznych i przywłaszczenia sobie mienia (przejęła m.in. prawo do oprogramowania tworzonego z publicznych funduszy, a także specjalnie dla siebie stworzyła stanowisko akademickie, na którym pracowała, banalnie pośredniczyła w relacjach między biznesem a polityką), a jego brat, David, fikcyjnie pracował na stworzonym specjalnie dla niego stanowisku, prał brudne pieniądze, nie był w stanie wyjaśnić pochodzenia majątku i dokonywał oszustw podatkowych. Już poza rodziną premiera, bo w jego partii, rozgrywa się potężny skandal związany z zakupem maseczek w czasie pandemii. Jakby tego było mało, przed sądem oskarżony o ujawnienie poufnych danych podatkowych stanął niedawno… prokurator generalny. Inne sprawy, takie jak oskarżenia o molestowanie seksualne wobec doradcy premiera czy mniejsze nadużycia partyjniaków uznać możemy za banalne. Hiszpanie mają więc prawo uważać, że korupcja przeżarła ich państwo na dobre – i to również znajduje odbicie w serialu, do którego odnosi się ten tekst.

FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl 2f22a6ded1

» **Rozłąka, spotkanie po latach i dramat**

Tytułowy bohater, Salvador Aguille, grany przez Luisa Tosara, znanego z wielu filmów i seriali (m.in.: „Hiszpański kurier", „Na szczyt", „Słudzy króla Midasa"), jest byłym lekarzem, a dziś kierowcą karetki pogotowia, zmagającym się z alkoholizmem. Salvador przed laty stracił rodzinę. Żona odeszła od niego wraz z córką, a swoją przystań znalazły w ośrodku dla bezdomnych i wykluczonych społecznie, prowadzonym przez skrajną prawicę. Obie zerwały kontakt z mężczyzną. Po śmierci matki Milena nie szuka kontaktu z Salvadorem, którego nienawidzi i nie chce znać. Wpada w towarzystwo radykalnych kibiców o neonazistowskich sympatiach, wiąże się z jednym z liderów tego środowiska, pracuje w subkulturowym barze i sama zostaje rasową skinhead girl, niestroniącą od awantur i przemocy.

Ojca z córką los styka ze sobą w dramatyczny sposób: on ratuje ją w trakcie interwencji po potężnej i krwawej zadymie kibiców z Madrytu i gości z Marsylii, głównie imigrantów – nienawiść kibicowska łączy się tu z rasizmem. Gdy w jednym z ujęć widzimy płonącego policjanta na koniu, wiemy już, że możemy spodziewać się na ekranie kilku spektakularnych rozwiązań, i faktycznie, nie brak tu wyobraźni, umiejętności i funduszy. Salvador myśli, że uratował Milenę, jednak niespodziewanie zostaje ona zamordowana w szpitalu przez zamaskowanego napastnika. Podejrzenia idą w kierunku kogoś z kolorowych mieszkańców Marsylii, jednak policji wyraźnie nie zależy na dokończeniu śledztwa. To popycha Salvadora, choć z przekonań dość tolerancyjnego lewicowca, w stronę dawnych towarzyszy jego córki – oni też zdają się szukać prawdy, jako jedyni dbają również o jej pamięć. Tyle że gdy kierowca zaczyna być widziany w złym towarzystwie, coraz więcej osób odwraca się od niego, traci też lokum w domu, w którym poza nim zamieszkiwali sami imigranci, którzy nie chcą „rasisty" pod swoim dachem".

W kolejnych odcinkach wraz z bohaterem odkrywamy spisek, w którym ważną rolę odgrywa rodzeństwo: szef policji i znany adwokat, obsługujący m.in. grupę kibiców bijących się o białą Hiszpanię i handlujących narkotykami w przerwach między kolejnymi bójkami.

> W ŻYWY I BARDZO ATRAKCYJNY SPOSÓB POKAZANO W SERIALU DUŻY OBSZAR HISZPAŃSKIEJ RZECZYWISTOŚCI, ODWOŁUJĄC SIĘ DO REALNYCH SPOŁECZNYCH NAPIĘĆ (MIGRACJA, WYKLUCZENIE SPOŁECZNE) I UZASADNIONYCH INTUICJI (KORUPCJA).

Obok głównego wątku mamy kilka pobocznych historii, z których najważniejsza wydaje się być ta dotycząca Julii, kolejnej skinhead girl, przyjaciółki Mileny, która chcąc odzyskać odebrane jej przez sąd dziecko, decyduje się na współpracę z policjantką. Salvador próbuje odnaleźć w dziewczynie namiastkę swej córki, choć nawiązanie tej relacji będzie trudne. Sonia, wspomniana policjantka, zderzy się z korupcją i układami w miejscu pracy. Kolejną ciekawą postacią kobiecą jest Carla, szefowa nazistowskiego baru, która przez chwilę

eprasa.pl 2f22a6ded1

zapomni się w relacji z Salvadorem, on jednak zapomnieć niczego nie będzie już umiał.

» Spory fragment hiszpańskiej rzeczywistości

Pierwsza zapowiedź serialu była nietrafiona i opisywała intrygę dość fałszywie, co prowokowało też – oparte na nieprawdziwych założeniach – dyskusje. Jedni z góry polecali serial jako piętnujący prawicę (faktem jest, że w pokazanej w nim pozornie cywilizowanej partii politycznej, będącej częścią tego samego cynicznego spisku, jest ugrupowanie, wzorowane na Vox – tak przynajmniej podpowiada mi intuicja), inni odrzucali go jako lewacką agitkę. Jednak obie te interpretacje nie są do końca trafione. Tak naprawdę bowiem całe państwo przeżarte jest tu przez jeden układ, dla którego wszelkie nienawiści i radykalizmy są dobre, dopóki służą jego głównej ideologii – chciwości. Co więcej, państwo nie realizuje swoich obowiązków, obywateli zostawiając często samym sobie, tworząc próżnię, w którą wejść mogą zarówno ideowi radykałowie, jak i cyniczni cwaniacy, którzy nimi pokierują. Diagnoza prezentowana przez filmowe czarne, czy raczej brunatne, charaktery, że dzisiejsza lewicowa Hiszpania ma więcej zrozumienia dla imigrantów niż dla własnych rodaków, wielokrotnie znajduje potwierdzenie na ekranie. Ot, choćby wtedy, gdy widzimy policyjny nalot na prowadzony przez kibiców squat – dom pomocy (co dla wielu może być zaskakujące, w wielu krajach Europy, zwłaszcza tych wysuniętych na południe, obok anarchistów swoje squaty, czyli nielegalnie zasiedlone pustostany, miewają także nacjonaliści czy faszyści) – obcesowe traktowanie ludzi, którzy tam się znaleźli, ponieważ potrzebowali pomocy i nie dostali jej od państwa. Tak jak nie otrzymuje jej sam Salvador.

Tak oto mamy tu raczej akt oskarżenia niż agitację na rzecz jednej strony. Nie zmienia to faktu, że w żywy i bardzo atrakcyjny sposób pokazano tu duży obszar hiszpańskiej rzeczywistości, odwołując się do realnych społecznych napięć (migracja, wykluczenie społeczne) i uzasadnionych intuicji (korupcja). Jedynie warta odnotowania kwestia samotności mężczyzn, prowadząca do nienawiści wobec kobiet, została tu pokazana – moim zdaniem – w zbyt uproszczony i łopatologiczny sposób. „Salvador" okazał się być sukcesem, a internauci naciskają na producentów, by powstała jego kontynuacja.

» Dramat społeczno-polityczny

Czy serial wpisuje się w modny ostatnio kibicowski nurt serialowy i filmowy, u nas reprezentowany choćby przez „Furiozę" czy „Kibica"? W dużym stopniu tak, ponieważ obserwujemy tu podobne problemy, podobne tendencje do skupiania się na przemocowym czy wręcz przestępczym aspekcie zapamiętałego kibicowania, któremu towarzyszą nie tylko przemoc (jak w „Kibicu" Palkowskiego, którego TVP próbowała wykorzystać do kreowania odpowiednich nastrojów w kampanii wyborczej, wbrew stanowisku samego reżysera), lecz także handel narkotykami („Furioza") czy radykalne poglądy (przed „Salvadorem" m.in. „Gliniarze to dranie" w wersji filmowej z 2012 roku, nie mylić z niedawnym serialem od tych samych twórców i pod tym samym tytułem). Bardziej jest jednak dramatem społeczno-politycznym niż serialem o kibicach i skinach, choć bez nich opowieści tej by na pewno nie było. I choć przedstawiony w nim obraz świata dla kogoś może być zbyt uproszczony, trzeba docenić i dużo artystycznej brawury, i sporo społecznej czujności, którą wykazali się twórcy. ■

eprasa.pl 2f22a6ded1



Łukasz Czarnecki

Komiksowa rewolucja, czyli cenzorska wojna z demoralizacją

Rok 1954 stanowi jedną z przełomowych dat w historii amerykańskiej popkultury. Wówczas doszło do wydarzenia, które całej generacji komiksowych twórców założyło kaganiec i ograniczyło ich do roli, cytując Matta Alta, amerykańskiego dziennikarza, „nianiek dla dzieci". Wtedy to właśnie działający w USA wydawcy opracowali tzw. kodeks komiksowy.

eprasa.pl 2f22a6ded1

Dokument stanowił spis ograniczeń dotyczących treści, które mogą pojawiać się odtąd na kartach opowieści obrazkowych, a szefowie spółek sygnując go, zobowiązywali się do publikowania wyłącznie historii dostosowanych do punktów niesławnego dzisiaj regulaminu. O zgodności treści z kodeksem zaświadczało odtąd specjalne logo na okładkach magazynów komiksowych.

» Płonące stosy

Sam kodeks komiksowy znalazłby zapewne uznanie niejednego cenzora zza żelaznej kurtyny. Liczba zawartych w nim zakazów była przytłaczająca i o ile ograniczenia w sposobie przedstawiania przemocy i makabry można jeszcze rozumieć (przed 1954 rokiem zdarzały się okładki z ociekającymi krwią uciętymi głowami itp.), o tyle trudno znaleźć wytłumaczenie, czym autorom dokumentu zawinili hrabia Dracula, potwór Frankensteina i inne postaci rodem z klasycznych filmów grozy, które z hukiem wyleciały z komiksowych kart. Osobne regulacje dotyczyły sposobu pokazywania na przykład: czarnoskórych (miało być odpowiednio rasistowsko), postaci kobiecych (koniecznie wpisanych w klasyczne wyobrażenie cnotliwej Amerykanki z klasy średniej), policjantów i duchownych (musieli być zawsze kryształowo uczciwi) itd.

Członkom Stowarzyszenia Wydawców Komiksów trzeba jednak oddać, że narzucili swym firmom kodeks nie ze złośliwej chęci utrudnienia życia pracującym dla nich twórcom. De facto decyzja o jego powstaniu stanowiła ruch wyprzedzający przed mającym ocalić branżę spodziewanym ciosem ze strony rządu federalnego. W tym samym bowiem roku senacka Komisja ds. przestępczości nieletnich rozpoczęła pracę nad ustaleniem, czy opowieści obrazkowe demoralizują amerykańskie dzieci. Żądni poklasku politycy aktywnie wzięli się za tę kwestię w odpowiedzi na rosnące zainteresowanie wyborców. Po II wojnie światowej rozpędu w USA nabrała skierowana przeciwko rynkowi komiksowemu krucjata, prowadząc do tak dziwnych scen jak publiczne auto-da-fé, w trakcie których rodzice i skruszona młodzież palili usypane z komiksów stosy!

Dodatkowy zastrzyk energii dla „inkwizytorów" nadszedł, kiedy ukazała się książka „Uwiedzenie niewinności". Jej autor, psychiatra Fredrick Wertham, dowodził, że lektura historyjek obrazkowych wypacza umysły i dusze dzieci, sprowadzając je na ścieżkę przestępstwa oraz moralnej degrengolady. Na potwierdzenie tych tez przywoływał wyniki swoich „badań" nad tzw. trudną młodzieżą (dzisiejsza psychiatria odrzuca publikację Werthama, uważając, że jest oparta na błędnej metodologii i była pisana pod z góry założoną tezę). Autor uwypuklając zamiłowanie młodocianych przestępców do komiksów, ignorował zupełnie destrukcyjny wpływ wychowania w patologicznych rodzinach, z uporem maniaka obarczając za wszelkie zło preferowane przez swoich pacjentów lektury. Co więcej, Wertham przejawiał dziwne seksualne obsesje, które wypaczały jego interpretacje materiału źródłowego. Dwóch bohaterów rysunkowych historyjek – Batmana i Robina – uznał na przykład za homoseksualnych kochanków (sic!). A wieloletni redaktor naczelny Marvela, Stan Lee, w swojej autobiografii wspominał o udziale w wykładzie, podczas którego ów psychiatra pokazał zgromadzonym komiksowy kadr z żyrafą, po czym… triumfalnie oświadczył, że w szyi zwierzęcia młodociany czytelnik dostrzeże penisa, a obraz ten niechybnie popchnie go w kierunku dewiacji! Abstrahując od skojarzeń doktora

FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl 2f22a6ded1

Werthama, „Uwiedzenie niewinności" stało się vademecum przeciwników literatury obrazkowej.

» Gdzie duch przygody i fantazja?

Wprowadzenie kodeksu komiksowego być może ocaliło branżę przed delegalizacją (bo tego domagali się jej wrogowie), ale równocześnie doprowadziło do potężnej zapaści na rynku. Z dwudziestu dziewięciu podmiotów biorących udział w powstaniu drakońskiego regulaminu do 1960 roku splajtowały… dwadzieścia cztery. Liczba komiksów trafiających na półki kiosków i punktów z prasą spadła na łeb na szyję, podobnie zresztą było z zainteresowaniem czytelników, lekko już znudzonych fabułami o zamaskowanych herosach. Tryumfy święciły za to komiksy romansowe, kryminalne czy humorystyczne. Jednakże bohaterowie w obcisłych kostiumach, choć złapali zadyszkę, już wkrótce z powrotem mieli znaleźć się na świeczniku wraz z nadejściem w dziejach komiksu amerykańskiego tzw. srebrnej ery, trwającej do 1970 roku. Czytelnikom, których młodość przypadła na owe lata, los dał okazję bycia świadkami największej rewolucji w historii gatunku, od chwili publikacji pierwszego komiksu o Supermanie latem 1938 roku.

Od momentu wspomnianego wyżej debiutu, należący do DC Człowiek ze stali stanowił kurę znoszącą hurtowo złote jaja, zapewniając wydawnictwu krociowe zyski zarówno ze sprzedaży magazynów komiksowych o jego przygodach, jak i (a może przede wszystkim) dzięki zabawkom i gadżetom, słuchowiskom radiowym, kreskówkom, aż w końcu aktorskiemu serialowi. Superman stanowił trzon trójcy, do której należeli też Batman i Wonder Woman. Po 1954 roku wszyscy ci herosi (oraz gromada pomniejszych postaci) gładko wpisali się w realia regulacji kodeksu komiksowego. DC już wcześniej wkładało znaczny wysiłek w to, by wyrobić sobie markę przedsiębiorstwa przyjaznego rodzinie i krzewiącego prawdziwie amerykańskie wartości. Dyrektor wydawniczy i współwłaściciel korporacji, Irwin Donenfeld (prywatnie syn Harry'ego Donenfelda, drugiego obok pełniącego w opisywanym okresie funkcję prezesa Jacka Liebowitza ojca-założyciela firmy), w okresie apogeum skierowanej przeciw komiksom krucjaty jeździł po całych Stanach Zjednoczonych i spotykał się z organizacjami zrzeszającymi rodziców i nauczycieli, by wygłaszać dla nich odczyty o pozytywnym wpływie lektury historyjek obrazkowych na rozwój dzieci. Przemiana „trójcy DC" z niestroniącej we wcześniejszych latach od moralnie dwuznacznych działań w grzecznych „harcerzyków" poszła zatem gładko, stanowiąc logiczne następstwo wcześniejszej polityki wydawnictwa. Tyle że o ile zmiany te skutecznie ugasiły stosy, o tyle równocześnie wraz z wyrugowaniem wszystkich elementów fabuły zakazanych przez kodeks, z kart komiksowych uleciały duch przygody i nieokiełznana fantazja, charakterystyczne dla medium w okresie przed 1954 roku, czyli czasie tzw. złotej ery.

Bohaterowie magazynów DC ukazujących się od drugiej połowy lat 50. w prezentowaniu swojej prawości dochodzili do takich ekstremów, że zamieniali w autoparodię. Pisarz Stephen King, który w rzeczonych latach jako mały chłopiec czytał opowieści o Batmanie, powiedział w jednym z wywiadów, że pierwsze lata po uchwaleniu kodeksu komiksowego były najbardziej koszmarnym okresem w dziejach gatunku. Dość rzec, że w odpowiedzi na podejrzenia Fredericka Werthama dotyczące orientacji Batmana, do serii o jego przygodach zawitała niewiasta Batwoman, potem Robina sparowano z Batgirl, a żeby dopełnić obrazu wzorowej amerykańskiej rodziny, w 1955 roku dodano im jeszcze Bat-Psa,

eprasa.pl 2f22a6ded1

który (nie żartuję) podobnie jak jego właściciele nosił maskę nietoperza!

» Kto to mówi?

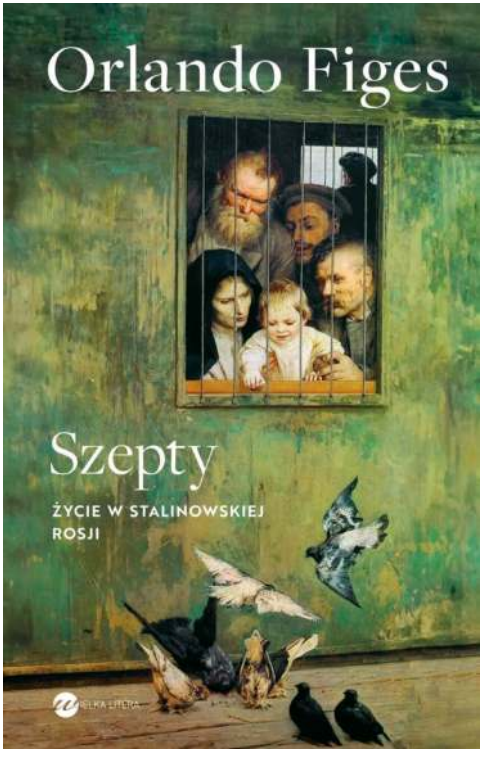
Choć nakłady komiksów w latach 50. spadły, DC prosperowało bardzo dobrze. Sęk w tym, że wydawnictwo, które dało światu najbardziej rozpoznawalny gatunek opowieści obrazkowych, skostniało i przemieniło się w sztywną korporację. Firma zapewniająca amerykańskim dzieciakom spełnienie marzeń o fantastycznych przygodach, podchodziła do sprzedawanych opowieści niczym do produktów przemysłowych, w dodatku niezbyt wysokiej jakości. Prawie nie istniały kanały kontaktów z czytelnikami, których zresztą nie traktowano poważnie, uznając, że skoro dzieci z definicji są „głupiutkie", to takież muszą być skierowane do nich komiksy. Pisano więc i rysowano hurtowo, nie przejmując się takimi drobiazgami jak pogłębiona charakterystyka postaci czy znaczenie przeżywanych przez nie perypetii dla ich rozwoju. Każdy zeszyt stanowił zamkniętą całość i nijak nie wpływał na świat przedstawiony kolejnego numeru. Bohaterowie do tego stopnia zatracili osobiste rysy, że – jak zauważył pewien historyk komiksu – w ówczesnych magazynach DC można byłoby wymienić dialogi na przykład Supermana na te napisane dla Batmana, a nikt i tak nie dostrzegłby różnicy. Fabuły kolejnych numerów konstruowano na tych samych schematach, co w przypadku Mrocznego Rycerza wyglądało następująco: Batman napotyka zagadkę – Batman znajduje wskazówkę – Batman rozwiązuje zagadkę. Herosów od DC charakteryzowała ponadto posągowość, całkowicie pozbawieni ludzkich wad i codziennych problemów stanowili ideały łopatologicznie wkładające czytelnikom do głowy, co to znaczy być dobrym (białym) Amerykaninem. Reed Tucker, autor książki „Mordobicie" o rywalizacji między Marvelem a DC, chyba najlepiej podsumował problem stwierdzeniem, że Superman i jego towarzysze w swej doskonałości całkowicie zatracili człowieczeństwo, stając się bogami.

Korporacyjnej, sztywnej natury wydawnictwa dowodziła nawet krótka wycieczka po nowojorskiej siedzibie DC. Kompleks przy 575 Lexingotn Avenue zapełniali mężczyźni w średnim wieku, wszyscy w garniturach i pod krawatem. Pracowników poniżej trzydziestki właściwie nie było, redaktorzy i scenarzyści w czasie rozmów gestykulowali fajkami, a na łokciach ich marynarek widniały stylowe łaty. Panowała atmosfera całkowitej powagi, a zespół stanowiła zamknięta grupa trwająca w prawie niezmiennym składzie od lat 40. Gdy pod koniec srebrnej ery komiksu zatrudniono dwóch dwudziestokilkuletnich twórców, w desperackiej próbie nadgonienia Marvela, obu mężczyzn kilkukrotnie wzięto za chłopców na posyłki, a że nosili się nieco luźniej od starej gwardii, dostali zakaz przechodzenia obok drzwi biura prezesa Jacka Liebowitza, by przypadkiem nie przyprawić go swym „niechlujstwem" o zawał!

> WPROWADZENIE KODEKSU KOMIKSOWEGO BYĆ MOŻE OCALIŁO BRANŻĘ PRZED DELEGALIZACJĄ (BO TEGO DOMAGALI SIĘ JEJ WROGOWIE), ALE RÓWNOCZEŚNIE DOPROWADZIŁO DO POTĘŻNEJ ZAPAŚCI NA RYNKU.

Jednak mimo iż DC uległo metamorfozie w skamielinę, to właśnie od niego wyszedł impuls, który zainicjował początek srebrnej ery komiksu. Ale o tym następnym razem… ■

eprasa.pl 2f22a6ded1



Orlando Figes, „Życie w stalinowskiej Rosji”, tłum. Władysław Jeżewski, Wielka Litera, Warszawa 2024

Krzysztof Wołodźko

Dzieci Arbatu, prawnuki Stalina

Orlando Figes od dekad bada Rosję. Szczególnie interesuje go fenomen gwałtownej przemiany carskiego imperium w czerwone państwo, radykalnej mutacji prawosławnego narodu w sowieckie społeczeństwo. „Szepty. Życie w stalinowskiej Rosji” to porażający i przerażający obraz przeobrażeń, których kontynuację oglądamy dzisiaj ze zdumieniem i obawą. „Trwałym skutkiem rządów Stalina jest społeczeństwo złożone z milczących konformistów” – podkreśla brytyjski historyk i pisarz.

eprasa.pl 2f22a6ded1

Nowy kształt życia politycznego wymaga od nas nowego kształtu duszy" – pisał Maksym Gorki wiosną 1917 roku w tekście poświęconym bolszewickiej etyce. Komunistyczna utopia żądała radykalnego przeobrażenia nie tylko społecznej, lecz także antropologicznej rzeczywistości. „Szepty" Orlando Figesa to obraz generacji urodzonej w Rosji w latach 1917–1925, opisywanej jako „dzieci roku 1917": „Koleje życia ludzi z tego pokolenia odzwierciedlają historię systemu sowieckiego, [który] przez trzy ćwierćwiecza wywierał przemożny wpływ na sferę wartości moralnych zwykłych ludzi. Żaden inny system totalitarny nie wycisnął tak głębokiego piętna na prywatnym życiu swoich obywateli". Społeczeństwo szepczących dzieli się na tych, którzy nie chcą, żeby usłyszano, co mówią („szeptuszczij"), i na tych, którzy szeptem donoszą władzom na innych ludzi („szeptun"): matkę i ojca, sąsiadów, podwładnych, szefów, wrogów, przyjaciół, przypadkowych towarzyszy podróży. Autor podkreśla, że oba pojęcia są w Rosji moralnie neutralne!

„Szepty" ukazały się po raz pierwszy w 2007 roku. Pisarzowi udało się wykorzystać niezwykłą historyczną szansę, gdy nie tylko zelżała oficjalna rosyjska cenzura, lecz także część rosyjskiego społeczeństwa odważyła się odświeżyć pamięć i głośno o tym opowiadać. Większość materiałów – od archiwów rodzinnych po rozmowy ze świadkami epoki – autor zebrał we współpracy z Memoriałem, organizacją, która doznaje coraz cięższych prześladowań ze strony putinowskiego reżimu.

» Dzieci Arbatu mówią szeptem

„Szepty" to nie tylko szeroka panorama sowieckiego społeczeństwa. To także rodzinna saga, podobna, a zarazem inna od kultowej niegdyś książki „Dzieci Arbatu" Anatolija Rybakowa. Rosyjski pisarz skupił się na losach sowieckiej elity w czasach stalinizmu, a opowieść o komsomolcu Aleksandrze Pankratowie zaczyna się od oskarżeń na uczelnianym zebraniu egzekutywy i aktywu: „Na wydziale miały miejsce dwa wystąpienia antypartyjne. Pierwsze to atak Pankratowa na marksistowskie ujęcie nauk ekonomicznych, drugie – to wywieszenie przez tegoż Pankratowa gazetki ściennej. […] W świątecznym numerze gazetki nie ma artykułu wstępnego o szesnastej rocznicy Października, ani razu nie wymienia się tam nazwiska towarzysza Stalina, fotografie przodowników opatrzono złośliwymi, oszczerczymi wierszykami. […] Pankratow liczył na bezkarność. Liczył na swoich wysoko postawionych protektorów. Był przekonany, że organizacja partyjna zlęknie się ich nazwisk". Nieco później do mieszkania rodzinnego Saszy Pankratowa zapukał „ktoś z administracji". Za plecami dozorcy stali „dwaj czerwonoarmiści z szynelach z malinowymi patkami". Nie pomógł wysoko postawiony krewny, który martenowski stawiał piec. Student z dobrego stalinowskiego domu, z workiem podróżnym na plecach, z brodą jak starzec, „całkiem blady, całkiem stary, biały, biały jak trup", powędrował na Syberię. To początek historii, którą Rybakow rozwinął w rodzinną i ojczystą sagę. „Dzieci Arbatu" powstały w latach 60. XX wieku, w Rosji zostały wydane ponad dwadzieścia lat później. Na przełomie lat 80. i 90. powstały „Trzydziesty piąty i później", „Strach", „Proch i pył". W Polsce cały cykl wydany został drukiem tylko raz – na przełomie ustrojowym. Po polsku – na DVD – ukazał się również serial na podstawie powieści Rybakowa.

Wróćmy do „Szeptów" Orlando Figesa. Brytyjski historyk pokazuje, że gwałtowne przemiany społeczne w początkach sowieckiej Rosji nie wynikały wyłącznie z rewolucyjnego chaosu i terroru. Budowa komunizmu wymagała likwidacji życia prywatnego jako reliktu starej rzeczywistości. W 1927 roku ludowy

FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl 2f22a6ded1

komisarz oświaty, jeden z głównych ideologów sowieckiej pedagogiki, Anatolij Łunaczarski, pisał: „Tak zwana sfera życia prywatnego nie może wymknąć nam się z rąk, ponieważ właśnie w tej sferze znajduje się ostateczny cel rewolucji". Banalne dziś hasło „prywatne jest polityczne", kojarzone często z latami 60. XX wieku na Zachodzie, bolszewicy realizowali skrupulatnie od zwycięstwa w wojnie domowej. Zniszczenie rodziny było realnym celem ideologów sowieckich jeszcze przed stalinizmem. W latach 20. bolszewicka elita była pewna, że musi zniszczyć „burżuazyjną rodzinę" jako siedlisko licznych lojalności i tożsamości, które przeszkadzały w budowie komunistycznego ustroju jako nowej, antyreligijnej i antykapitalistycznej cywilizacji. Służyło temu również prawodawstwo: wprowadzony w 1918 roku kodeks małżeński i rodzinny zdecydowanie ułatwiał rozwody i legalizował konkubinaty. Na marginesie: podobny wątek omawia Katarzyna Kwiatkowska-Moskalewicz w kontrowersyjnych „Stygmatach", poświęconych Helenie Wolińskiej. Autorka zwraca uwagę, że Włodzimierz Brus, wieloletni życiowy partner stalinowskiej prokurator, był wręcz zgorszony swobodą obyczajów i norm prawnych w Rosji czasów II wojny światowej i długo nie mógł się z tym pogodzić.

» „Oddać dziecko państwu sowieckiemu"

Rozbicie rodziny służyło nie tylko zmianie relacji między dorosłymi. Miało przede wszystkim wyzwolić dzieci z okowów rodzinnego domu. Celowo nie używam w powyższym zdaniu cudzysłowu, żeby podkreślić wagę tego procesu dla komunistycznych ideologów. Przekaz i program od początku były jasne: „Dzieci są plastyczne niczym wosk i należy ulepić z nich dobrych komunistów. Musimy uwolnić dzieci od szkodliwego wpływu rodziny. Musimy je upaństwowić. Od najwcześniejszych dni swego małego żywota muszą się znaleźć pod dobroczynnym wpływem szkół komunistycznych. Naszym zadaniem jest skłonić matkę, aby oddała dziecko państwu sowieckiemu". Sowiecka perswazja szybko przybrała totalitarne formy, a krwawa historia przeniknęła także do świata dziecięcych zabaw: „Jedną z najpopularniejszych zabaw dziecięcych w latach dwudziestych była zabawa w białych i czerwonych". Na tym nie koniec: nowe obyczaje więziennego społeczeństwa przynosiły nowe gry i zabawy: „Dzieci bawiły się też w rewizję i rekwizycję. Jedna grupa (zwykle chłopcy) grała rolę oddziału rekwizycyjnego Armii Czerwonej, a druga (dziewczynki) udawała »burżuazyjnych spekulantów« i »kułaków«, chłopów ukrywających zboże". Warto krótko zasygnalizować dwie rzeczy. Pierwsza – intrygujące, że „nowy, wspaniały, sowiecki świat" odtwarzał najgorsze patriarchalne wzorce: słabsze fizycznie dziewczynki musiały się wcielać w rolę ludzi przeznaczonych do likwidacji! Druga – współczesna remilitaryzacja/dronizacja putinowskiej szkoły jest czymś niezwykłym tylko dla zachodniego (w tym polskiego) masowego odbiorcy, często kompletnego ignoranta w kwestiach historii Rosji. Patrząc w kategoriach długiego trwania – to powrót do praktyk głęboko zakorzenionych w narodzie nastawionym na imperialną ekspansję, nawet jeśli horror tej ekspansji wydaje się nam dzisiaj niemal karykaturalny wobec ograniczonych możliwości Moskwy w wojnie z Ukrainą.

Figes wskazuje, że bolszewicki radykalizm stosunkowo szybko zaczął się spotykać z przemożnym oporem społecznej materii. Terror aparatu przemocy, w tym Hołdomor na Ukrainie, masowe deportacje Polaków i Polek oraz przedstawicieli innych narodów i nacji, podporządkowanie Cerkwi czerwonej administracji publicznej pomogły przemocą wtłoczyć społeczeństwo w nowy schemat. Podzielone,

eprasa.pl 2f22a6ded1

zastraszone, zindoktrynowane społeczeństwo zaczęło mówić szeptem: najintymniejsze prawdy, niewygodne wspomnienia (choćby o złym pochodzeniu klasowym i narodowym rodziców i dziadków) schowano głęboko w domowych pieleszach. A i tam ich przekaz podlegał licznym obostrzeniom i reglamentacji. Już w latach 30. okazało się jednak, że sowieckie masy także potrzebują swoistego konserwatyzmu więzi społecznych. Rodziny nie dało się wyplenić – była zbyt silnym, zbyt głęboko zakorzenionym stabilizatorem życia i ładu publicznego. Jeszcze zanim Stalin, zatrwożony niemiecką napaścią, zawołał „siostry i bracia" do sowieckiego narodu, radzieccy ideolodzy zaczęli odchodzić od radykalizmu porewolucyjnej dekady. Dalej trzeba było budować komunizm, ale komuniści spostrzegli, że przyda im się do tego także rodzina. Jeden z sowieckich ideologów pedagogiki pisał w 1935 roku: „Rodzina jest podstawową komórką naszego społeczeństwa a jej powinności w zakresie wychowania dzieci wynikają z obowiązków kształcenia ich na dobrych obywateli". Warto zwrócić uwagę, że tak neutralne wyrażenie dałoby się wpisać także w wizję szkolnictwa demoliberalnych społeczeństw. Tyle że – również w naszych czasach – w szczegółach diabeł siedzi: od interpretacji i implementacji niemal każdego zacytowanego terminu i stwierdzenia także dziś zależy, jak bardzo prywatne okaże się polityczne.

» Pawka Morozow i komunałki

Co interesujące, autor „Szeptów" twierdzi, że już w latach 30. w Sowietach zaczęto niuansować kult urodzonego w 1918 roku Pawlika Morozowa, który zadenuncjował własnego ojca jako kułaka ukrywającego zboże. Co ciekawe, wbrew legendzie Pawkę donosiciela wykończyli później nie sąsiedzi, a służby. I nie doniósł na ojca ze względów ideowych, ale dlatego, że rodziciel – mówiąc eufemistycznie – nie traktował zbyt poważnie przysięgi małżeńskiej. Tak czy inaczej: „Od 1935 roku reżim zmienił charakter kultu Pawlika, pomniejszając fakt jego donosicielstwa, a uwypuklając nowe aspekty, takie jak posłuszeństwo i pilność w nauce szkolnej". Cóż z tego? Ściśnięta w komunałce, glajszachtowana w kołchozie sowiecka rodzina była nieustannie obserwowana przez system. I podglądana przez sąsiadów: „W latach trzydziestych podsłuchiwanie, szpiegowanie i donoszenie było w komunałkach na porządku dziennym. Sąsiedzi, otwarcie zachęcani przez państwo do czujności, uchylali drzwi, żeby zobaczyć, kto wchodzi do przedpokoju, albo żeby podsłuchać, co się mówi przez telefon". Od dania w garnku, przez nocne wzdychania i ciężkie westchnienia, po nieopatrzne słowo przy pierogu i wódce – w pajęczą sieć komunałek wpadał każdy niemal drobiazg, zdarzenie, szept i gest. Półżartem, półserio można zauważyć, że we współczesnych globalnych społeczeństwach rolę sowieckich komunałek odgrywają media społecznościowe. A dyktaturę proletariatu zastąpiła dyktatura screenów, lajków i dyslajków. Tyle że dzisiaj wierzymy, że to tylko miła rozrywka.

Dzieci urodzone w początkach sowieckiej Rosji z czasem przemieniły się w „zwyczajnych stalinowców": ludzi głęboko zdeformowanych przez system, a równocześnie zachowujących w sobie resztki tradycyjnych społecznych norm, metafizycznych nawyków, intymnych lojalności. Głęboką prawdę o tym świecie wyraża ilustracja na okładce, o tyle znamienna, że pochodząca jeszcze z czasów carskich: biały, czerwony, putinowski carat to wciąż te same toposy. To obraz ukraińskiego malarza Nikołaja Jaroszenki, „Życie jest wszędzie", przedstawiający rodzinę/wspólnotę w podróży na Syberię. Radość jak chwast wśród smutku, prawda sprowadzona do szeptów – ponury obraz świata, do którego nie chcielibyśmy już wrócić. ■

eprasa.pl 2f22a6ded1



Antoni Rybczyński

Na ratunek DUDE 44 Bravo

„To spełniona obietnica złożona każdemu amerykańskiemu żołnierzowi, że nie zostaniecie pozostawieni. Zawsze was odnajdziemy i zawsze sprowadzimy do domu"

GEN. DAN CAINE,
szef Kolegium Połączonych Szefów Sztabów

„To pierwszy przypadek w historii wojskowości, kiedy dwóch amerykańskich pilotów zostało uratowanych, osobno, głęboko na terytorium wroga" – napisał w mediach społecznościowych Donald Trump po spektakularnej akcji, dzięki której uratowano załogę zestrzelonego przez Irańczyków samolotu F-15. Nie zabrakło w niej niczego: pełnej mobilizacji supermocarstwa, bohaterstwa oficera, użycia supernowoczesnych technologii i dramatycznych zwrotów sytuacji.

Samolot F-15E został zestrzelony nad Iranem 3 kwietnia. Dwuosobowa załoga katapultowała się nad terytorium wroga. Pilota ewakuowano już po kilku godzinach. Oficer ds. uzbrojenia (weapon systems officer – WSO) został uratowany wczesnym rankiem 5 kwietnia czasu lokalnego w wyniku skomplikowanej, wieloetapowej operacji ratunkowej z udziałem sił specjalnych, przy wsparciu sił powietrznych i lądowych oraz z walnym udziałem wywiadu. Prezydent Trump nazwał tę operację „jedną z największych, najbardziej złożonych i najbardziej wstrząsających misji bojowych (...) poszukiwawczo-ratowniczych, jakie kiedykolwiek podjęły siły zbrojne". Sukces misji prezydent przypisał „wielkiemu talentowi" i „geniuszowi" osób zaangażowanych, szerokiemu zakresowi wspólnej reakcji wojska i CIA oraz, jak sam stwierdził, „trochę też szczęściu". „To przejdzie do historii" – powiedział Trump.

» Amerykańska akcja w Iranie

We wczesnych godzinach porannych 3 kwietnia czasu lokalnego – późnym wieczorem 2 kwietnia na wschodnim wybrzeżu USA – wrogi pocisk uderzył w samolot F-15E Strike Eagle o znaku wywoławczym DUDE 44 kończący właśnie nocną misję nad południowo-zachodnim Iranem. Trump powiedział później, że irański żołnierz „miał szczęście" dzięki przenośnemu pociskowi termicznemu, który „został wessany prosto do silnika" samolotu. To była pierwsza amerykańska maszyna utracona nad Iranem w wyniku wrogiego ognia w ciągu pięciu tygodni konfliktu. O godz. 4:40 czasu lokalnego wojskowe Centrum Wspólnego Ratownictwa Personelu zaalarmowało, że dwaj członkowie załogi bezpiecznie się katapultowali, ale zostali odizolowani za liniami wroga. Ich nadajniki ratunkowe były aktywne i na rozkaz Hegsetha i Trumpa rozpoczęto misję mającą na celu bezpieczne sprowadzenie obu do domu.

W ciągu kilku godzin w sumie 21 samolotów wojskowych wleciało w nieprzyjazną przestrzeń powietrzną. Przewodniczący Połączonych Sztabów Sił Zbrojnych, generał Sił Powietrznych Dan Caine mówił później, że w skład grupy zadaniowej wchodziły samoloty A-10 Warthog, HC-130 Combat King II, śmigłowce ratownicze HH-60W Jolly Green II, drony oraz lotnicy sił specjalnych, tacy jak oficerowie ratownictwa bojowego i ratownicy spadochronowi. Samoloty A-10 – znane jako „latające czołgi" dzięki potężnej sile ognia pokładowego – wykonywały tradycyjną dla tych maszyn misję bojowego poszukiwania i ratownictwa zwaną „Sandy", prowadząc miażdżący ogień zaporowy z bliskiej odległości, aby utrzymać siły irańskie z dala

FOT. MARIUSZ TROLINSKI AI

eprasa.pl 2f22a6ded1

od pilota, gdy ich koledzy będą go ewakuować. Jeden z A-10, którego pilot pozostawał w kontakcie z pilotem zestrzelonego samolotu, został trafiony. Kontynuował misję, a po opuszczeniu obszaru walk uznał, że nie może bezpiecznie wylądować. Pilot katapultował się nad Kuwejtem i został bezpiecznie ewakuowany. Pierwsza fala ratowników dotarła do pilota F-15 – nazwanego DUDE 44 Alpha – i bezpiecznie zabrała go na pokład śmigłowca HH-60W pod ostrzałem z bliskiej odległości. Jednak nie byli jeszcze bezpieczni. Śmigłowiec był ostrzeliwany z ziemi. Inny helikopter lecący z tyłu został kilkakrotnie trafiony pociskami z broni ręcznej. Członek załogi odniósł niewielkie obrażenia. „To była niezwykle niebezpieczna misja, niezwykle niebezpieczne przedsięwzięcie" – powiedział generał Caine. „Ale to spełniona obietnica złożona każdemu amerykańskiemu żołnierzowi, że nie zostaniecie pozostawieni. Zawsze was odnajdziemy i zawsze sprowadzimy do domu".

Jednak podczas gdy zdołano szybko uratować pilota, drugi członek załogi, który leciał na tylnym siedzeniu myśliwca, wciąż był w niebezpieczeństwie. „Nie nagłaśnialiśmy pierwszego przypadku, ponieważ wtedy dowiedzieliby się o drugim. Dzięki temu, że nie mówiliśmy o pierwszym, zajęło im półtora dnia, zanim zorientowali się, że był jeszcze drugi" – powiedział później Trump dziennikowi „The Wall Street Journal". Dopiero po ogłoszeniu, że uratowano pilota, wiadomość o drugim poszukiwanym Amerykaninie pojawiła się w irańskiej telewizji państwowej. Czytając z kartki, prezenterka podała, że Amerykanie najpewniej znajdują się w górzystej prowincji Kohgiluyeh i Boyer-Ahmad. Wezwała „wszystkich członków plemion i mieszkańców wsi" do współpracy z wojskiem i organami ścigania. „Jeśli schwytacie wroga pilota lub pilotów żywych i przekażecie ich policji, otrzymacie cenną nagrodę" – powiedziała. Gubernator prowincji ustalił ją w wysokości odpowiadającej około 66 tys. dolarów. Dla Irańczyka z prowincji prawdziwa fortuna. Ale stawka była wysoka. Nagranie wideo przedstawiające schwytanego amerykańskiego lotnika w rękach wroga dałoby Teheranowi potężne narzędzie propagandowe oraz źródło przewagi w krytycznym momencie wojny.

» Szept Ducha znalazł pułkownika

Drugi wojskowy – nazwany DUDE 44 Bravo – o którym Trump powiedział później, że to „bardzo szanowany" pułkownik, wylądował w znacznej odległości od pilota. Odniósł pewne obrażenia i stracił początkowo przytomność. Gdy się ocknął, szybko opuścił miejsce lądowania i ukrył się na pobliskim wzniesieniu, gdzie uruchomił awaryjny nadajnik sygnału nawigacyjnego. Później ruszył dalej, uzbrojony jedynie w pistolet. Wojskowy wykorzystał umiejętności zdobyte podczas specjalnego szkolenia SERE (skrót od angielskich słów przetrwanie, unik, opór, ucieczka). „Ich głównym zadaniem jest przeżycie i uniknięcie niewoli" – powiedziała BBC Jennifer Cavanaugh z Defense Priorities. „Uczy się ich, pod warunkiem, że są do tego fizycznie zdolni i nie odnieśli tak poważnych obrażeń, że nie mogą się poruszać, jak najszybciej oddalić się od miejsca katapultowania i ukryć się, aby zapewnić sobie bezpieczeństwo. Ponadto piloci są szkoleni w zakresie technik przetrwania, aby mogli obejść się bez jedzenia i wody lub zdobywać środki niezbędne do przetrwania tak długo, jak to możliwe".

DUDE 44 Bravo zaczął wspinać się po „zdradliwym górskim terenie", aby dotrzeć na większą wysokość – pokonując klify, podczas gdy „krwawił dość obficie" (relacja

eprasa.pl 2f22a6ded1

Trumpa). Gdy „wspiął się na grzbiet o wysokości 2100 m i wcisnął się w szczelinę" („The New York Times" za źródłami w armii), opatrzył rany i skontaktował się, aby przekazać swoją lokalizację. Trump powiedział potem, że podstęp był kluczowym elementem operacji. Po wykorzystaniu swoich możliwości do zlokalizowania lotnika w szczelinie skalnej, co wysoki rangą urzędnik administracji opisał jako szukanie igły w stogu siana, CIA przekazała tę informację Pentagonowi i Białemu Domowi, a w trakcie operacji nadal dostarczała informacje w czasie rzeczywistym. CIA przeprowadziła również operację dezinformacyjną, aby zmylić Irańczyków. Podczas gdy pilot ukrywał się przed siłami irańskimi, agencja rozpowszechniała w kraju fałszywe informacje, że wojsko amerykańskie zlokalizowało już zestrzelonego lotnika i przygotowuje się do przetransportowania go lądem w celu ewakuacji. Trump powiedział, że w pewnym momencie Stany Zjednoczone wysłały dziewięć samolotów nad inną lokalizację, oddaloną o 40 km od faktycznej kryjówki: „Tysiące ludzi go szukało. … Mieli siedem różnych lokalizacji, w których, jak sądzili, mógł się znajdować – i byli bardzo zdezorientowani".

Dyrektor CIA John Ratcliffe powiedział podczas briefingu z Trumpem i Cainem 6 kwietnia, że agencja wykorzystała zarówno zasoby ludzkie, jak i zaawansowane technologie wywiadowcze, aby pomóc w odnalezieniu lotnika. Kilka dni później „New York Post" opublikował artykuł o technologii, która pomogła namierzyć WSO. CIA wykorzystała nowe, futurystyczne narzędzie o nazwie Ghost Murmur (Szept Ducha). Ta tajna technologia wykorzystuje dalekosiężną magnetometrię kwantową do wykrywania elektromagnetycznego odcisku palca ludzkiego bicia serca i łączy te dane z oprogramowaniem AI, aby wyodrębnić ten sygnał z szumu tła. Było to pierwsze użycie tego narzędzia w terenie przez agencję wywiadowczą. „To jak słyszenie konkretnego głosu na stadionie, z tą różnicą, że stadionem jest tysiąc mil kwadratowych pustyni" – powiedział „NYP" informator zaznajomiony z programem. Chociaż zaginiony pilot uruchomił nadajnik Combat Survivor Evader Locator produkcji Boeinga, jego dokładne miejsce pobytu pozostawało nieznane dla ekip poszukiwawczo-ratowniczych. Kluczowy moment w gorączkowej, dwudniowej misji poszukiwawczo-ratowniczej nastąpił, gdy Ghost Murmur zlokalizował lotnika. „To jak znalezienie igły w stogu siana, odnalezienie tego pilota, a CIA spisała się niesamowicie" – powiedział Trump. „To w dużej mierze zasługa CIA, że udało się znaleźć tę małą kropkę". Prezydent powiedział, że Ratcliffe „wykonał tej nocy fenomenalną robotę – zrobił coś, o czym nie wiem, czy chcecie o tym mówić. Jeśli chcecie, możecie. Nie jestem pewien, czy powinien o tym mówić". Rano 4 kwietnia CIA potwierdziła, że oficer żyje i ukrywa się w szczelinie skalnej. Trump relacjonował później, że dyrektor Ratcliffe poinformował go, iż CIA skierowała kamerę na możliwą lokalizację z odległości 65 km, obserwując miejsce, gdzie – jak podejrzewano – ukrywa się oficer. Ten jednak pozostawał zupełnie nieruchomy, ukryty wśród gęstych krzaków i drzew na szczycie góry, i nie było jasne, czy rzeczywiście tam jest. W końcu, po około 45 minutach, wstał i wychylił się ze swej kryjówki. CIA wiedziała już, że to on.

» Uratowany zza linii wroga

Gdy tylko Pentagon potwierdził tożsamość lotnika i jego lokalizację, Hegseth pospieszył do Gabinetu Owalnego, aby poinformować prezydenta i poprosić o ostateczne rozkazy. Trump natychmiast wyraził zgodę. Wojsko

eprasa.pl 2f22a6ded1

amerykańskie przystąpiło do działania. Druga fala ratunkowa była jeszcze większa niż pierwsza, obejmując 155 samolotów. W jej skład wchodziły m.in.: cztery bombowce, 64 myśliwce, 48 latających tankowców i 13 samolotów ratowniczych. Było to ogromne logistyczne przedsięwzięcie. Siły amerykańskie z powodzeniem utworzyły prowizoryczne lądowisko w pobliżu dużego miasta Isfahan, jednego z głównych ośrodków militarnych republiki islamskiej. Dwa samoloty MC-130J Sił Specjalnych Sił Powietrznych przetransportowały ogromne ilości sprzętu potrzebnego do dotarcia na szczyt góry. Komandosi z Navy SEAL Team 6 mieli za zadanie wydostać lotnika, podczas gdy samoloty bojowe zrzucały bomby i otworzyły ogień do irańskich konwojów, aby je powstrzymać. Siły ratownicze zmagały się również z niekorzystnymi warunkami pogodowymi. Dwa z pięciu amerykańskich samolotów transportowych zaangażowanych w operację ratunkową nie zdołały wzbić się w powietrze z terytorium Iranu i zostały celowo zniszczone, aby nie wpadły w ręce Iranu. Cztery bombowce B-1, będące częścią większej floty powietrznej, zrzuciły prawie 100 tonowych bomb kierowanych satelitarnie. Drony MQ-9 Reaper również zaatakowały Irańczyków, gdy ci zbliżyli się na odległość kilku kilometrów od kryjówki lotnika.

WSO, czekając na ratunek, pomagał kierować nalotami na zbliżających się Irańczyków za pomocą awaryjnego sprzętu łącznościowego. „Ze swojej kryjówki oficer ds. uzbrojenia wskazał ratownikom obszary, które powinni zbombardować, gdzie widział nacierających Irańczyków" – podał „NYT", powołując się na wysokiego rangą przedstawiciela wojska. W tym, co Trump nazwał „zapierającym dech w piersiach pokazem umiejętności i precyzji, siły rażenia i mocy", siły amerykańskie stoczyły walkę z siłami irańskimi w pobliżu górskiego schronienia rodaka i uratowały go. Według „The Times" lotnik miał wylecieć z Iranu wraz ze swoimi ratownikami na pokładzie dwóch samolotów C-130, ale przednie podwozie co najmniej jednego z nich, a być może obu, utknęło w piasku. Według raportu siły amerykańskie przez wiele godzin próbowały uwolnić zakleszczone koła, ale nie udało im się to, zanim wezwano trzy samoloty zastępcze. „Jeśli była chwila, w której można było powiedzieć »o cholera«, to właśnie ta" – powiedział agencji Reuters amerykański urzędnik, przypisując uratowanie sytuacji szybkiemu podejmowaniu decyzji. Urzędnik powiedział, że samoloty ostatecznie wysłane w celu ewakuacji lotnika i sił ratowniczych były znacznie mniejszymi samolotami turbośmigłowymi, zdolnymi do lądowania na małych lotniskach i stosunkowo lekkimi. Po ewakuacji z wrogiego terenu pułkownik trafił do wojskowego szpitala w Kuwejcie.

Starannie zaplanowana nocna operacja została przeprowadzona dzień przed upływem terminu ultimatum postawionego Teheranowi przez prezydenta USA Donalda Trumpa. Niewykluczone, że jej sukces też miał wpływ na decyzję Irańczyków, żeby przyjąć warunki zawieszenia broni. DUDE 44 Bravo, potwornie wyczerpany i ranny, przetrwał na wrogim terenie blisko 48 godzin. Caine powiedział, że przez cały ten czas unikał schwytania przez siły irańskie, „wykorzystując wszelkie dostępne środki". „Najważniejszym czynnikiem decydującym o powodzeniu akcji ratunkowej jest duch walki w sercu zestrzelonego lotnika" – powiedział Caine. „Ich wola przetrwania, wola uniknięcia schwytania, wola powrotu do zdrowia są wszystkim. W tym przypadku ich absolutne zaangażowanie w przetrwanie umożliwiło większość naszych wysiłków". ■

eprasa.pl 2f22a6ded1

Marcin Wolski

Premia za jedność

Stare polskie porzekadło: „Zgoda buduje, niezgoda rujnuje" – sprawdziło się w historii wielokrotne.

Skłócić wroga wewnętrznie, a wtedy stanie się łatwym łupem. Często nawet bez konieczności militarnej agresji. Historyczny czyściec pełen jest jednostek, które miały rację, a mimo to przegrały. Sięgnijmy do antyku. Wprawdzie dysproporcja między siłami Rzymu a Żydów była w roku 70 po Chrystusie przytłaczająca, to jednak mieszkańcy Izraela opierali się dzielnie, zwyciężali kolejne legiony i mimo okrutnych rzezi mogliby nawet wygrać, gdyby byli zjednoczeni. Niestety, od roku 68 trwała równocześnie batalia domowa – w samej Jerozolimie walczyły ze sobą co najmniej cztery frakcje: sykariuszy, czyli sztyletników, zelotów jerozolimskich, galilejskich oraz obcych narodowo Idumejczyków. Podobno zjednoczono się dopiero ostatniego dnia przed upadkiem świątyni pod ciosami legionistów Tytusa.

Naszą narodową wyobraźnię pobudza świetne zwycięstwo Żółkiewskiego pod Kłuszynem (1610) i zajęcie Moskwy, połączone z ofiarowaniem korony królewiczowi Władysławowi Wazie. W dużym stopniu był to wynik wielkiej smuty, podziału moskiewskiego bojarstwa, działalności Dymitra Samozwańca…

Przykład odwrotny to upadek Polski u schyłku XVII wieku, ułatwiony przez podział na patriotów i targowiczan. Nie inaczej działo się w kolejnych powstaniach – listopadowym, a jeszcze bardziej styczniowym, rozdzieranym przez spory „Białych" z „Czerwonymi". Czasami za podziałami stali obcy, ale często główną rolę odgrywały egoizm i własna awanturnicza natura.

Oczywiście spór jest istotą demokracji, chociaż są sytuacje, w których zdrowy rozsądek nakazuje zwady zawiesić, ostudzić ambicje. Obecnie, na rok przed wyborami parlamentarnymi, sondaże w Polsce dają zwycięstwo prawicy. Łącznie i tylko na papierze. Jeśli wystartują cztery prawicowe partie, to, mimo poparcia większości rodaków, metoda liczenia głosów D'Hondta może przyznać wygraną zblokowanej, ale działającej solidarnie mniejszości. Stąd pakt senacki i unikanie wzajemnego atakowania się powinny być oczywistością. Polski program polityczny powinien mieć tylko jeden punkt główny. Usunąć Tuska, usunąć główne zagrożenie dla naszej suwerenności i naszej przyszłości.

Wypominanie sobie minionych sporów i konfliktów daje tylko dodatkowe punkty przeciwnikom. Czasem trzeba ustąpić, schować do kieszeni ambicje. Tym bardziej że istnieje szeroka agenda spraw, wobec których winna panować zgoda – suwerenność narodowa, wyższość prawa krajowego nad unijnym, wierność tradycji jako podstawa edukacji, konserwatyzm obyczajowy, poszanowanie wolności słowa, wzmacnianie polskiej armii i wszystkiego co polskie… Po zwycięstwie będzie się można spierać o służbę zdrowia (straciłem wszelkie nadzieje na jakąkolwiek reformę), system podatkowy, pozycję prezydenta. Istotnie, żeby dyskutowali o tym wolni ludzie w wolnym kraju, a nie wykorzenieni rzecznicy obcych interesów w zapóźnionym eurolandzie.

Zachowywanie umiaru i nietracenie z oczu podstawowego celu. Tylko tyle i aż tyle. Bo z praktyki wiemy, że ludzie, którzy chcą „za dobrze", potrafią narobić więcej szkód niż ci, którzy otwarcie czynią źle.

Stąd moje przywiązanie do hasła polskich konserwatystów bodajże z roku 1991: „Nie ma wroga na prawicy". Warto działając na rzecz zgody, powtarzać je aż do skutku. Nawet jeśli tu i ówdzie taki wróg jest. ■

eprasa.pl 2f22a6ded1



Hanna Shen



Tajwan na sprzedaż? Kuomintang jedzie do Pekinu

Wizyta szefowej największej partii opozycyjnej na Tajwanie w Chinach to nie dyplomacja – to polityczna kapitulacja na oczach całego świata.

eprasa.pl 2f22a6ded1

Gdy w pierwszym tygodniu kwietnia 2025 roku Cheng Li-wun, przewodnicząca Kuomintangu (KMT) – największej partii opozycyjnej na Tajwanie, wsiadała do samolotu lecącego do Chin, wielu obserwatorów zadawało sobie pytanie: w czyim imieniu ta podróż się odbywa? Z pewnością nie demokratycznie wybranych władz, które wyraźnie dystansowały się od całego przedsięwzięcia. Pani Cheng pojechała jako reprezentantka własnej partii i – jak bezlitośnie pokazują fakty – przede wszystkim w imieniu Pekinu, który całe to wydarzenie precyzyjnie wyreżyserował, wykorzystał propagandowo i ozdobił kokardą dziesięciu „przyjaznych" propozycji.

» Spektakl dla Waszyngtonu

Spotkanie Xi Jinpinga z Cheng Li-wun zostało przez chińskie media państwowe przedstawione jako dowód dobrej woli Pekinu i przykład możliwości dialogu „między Chińczykami". Xi Jinping po raz kolejny podkreślił, że Tajwan jest „niezbywalną częścią Chin", a „zjednoczenie" stanowi cel nadrzędny chińskiej polityki. Cheng Li-wun tej narracji nie tylko nie zakwestionowała – powtórzyła ją, wpisując się w ramy narzucone przez Komunistyczną Partię Chin. To nie był dialog równorzędnych partnerów. To była scenka, w której jedna strona dyktuje tekst, a druga go recytuje.

Moment spotkania nie był przypadkowy. Odbyło się ono tuż przed planowaną wizytą Donalda Trumpa w Pekinie i dokładnie wówczas, gdy na Tajwan przybywała delegacja ze Stanów Zjednoczonych złożona z kongresmenów i ekspertów ds. bezpieczeństwa. Pekin w ten sposób celowo rozmywał przekaz płynący z Waszyngtonu: oto jesteśmy w dialogu z Tajwanem, wszystko jest pod kontrolą, nie potrzebujemy ingerencji z zewnątrz. Ta „ingerencja z zewnątrz" to w chińskim słowniku każde wsparcie dla Tajwanu ze strony sojuszników demokratycznych. Delegacja z Kongresu USA potwierdzała zaangażowanie Waszyngtonu w bezpieczeństwo wyspy; wizyta Cheng Li-wun w Pekinie miała tę pewność podważyć.

» Dziesięć marchewek zamiast gwarancji pokoju

Po spotkaniu Pekin ogłosił dziesięć nowych polityk wobec Tajwanu. Na papierze wyglądają imponująco: ułatwienia w handlu produktami rolnymi i rybnymi, przywrócenie bezpośrednich połączeń lotniczych przez cieśninę, otwarcie chińskich platform streamingowych na tajwańskie seriale i filmy dokumentalne, wymiany młodzieżowe, projekty infrastrukturalne w rejonie wysp Kinmen i Matsu. Język dokumentu to język „współpracy" i „jednej rodziny po obu stronach cieśniny".

W rzeczywistości jest to pakiet starych narzędzi obliczonych na tworzenie zależności ekonomicznych i społecznych, które z czasem mają się przełożyć na polityczne ustępstwa. Tylko że te same instrumenty Pekin testował przez ostatnie dekady. Cel pozostaje niezmieniony: uzależnić Tajwan gospodarczo, podzielić go politycznie i przedstawić „zjednoczenie" jako logiczną, nieuchronną konsekwencję historycznych i ekonomicznych związków. Co więcej, każdy z tych dziesięciu punktów opatrzony jest warunkiem wstępnym: akceptacją „konsensusu z 1992 roku" i sprzeciwem wobec tajwańskiej niepodległości. Konsensus z 1992 roku to mgliście sformułowane porozumienie między KPCh a KMT, zgodnie z którym obie strony przyjęły zasadę „jednych Chin" – każda jednak z własną interpretacją tego, co to oznacza. Pekin używa go dziś jako przepustki do jakichkolwiek rozmów, wymuszając tym samym wstępne uznanie chińskiej narracji. To nie jest neutralna oferta gospodarcza.

Tajwański rząd odniósł się do tego pakietu jasno. W oficjalnym stanowisku podkreślono, że wspólna „polityczna podstawa" KPCh i KMT zmierza wprost do podważenia istnienia Republiki Chińskiej. Wskazano, że tzw. ramy pokoju są w rzeczywistości ramami zjednoczenia, a ich

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 2f22a6ded1

instytucjonalizacja oznaczałaby wdrożenie modelu „jeden kraj, dwa systemy" – tego samego modelu, który dobił autonomię Hongkongu.

» Mąż z przeszłością i goście z zewnątrz

W trakcie wizyty Cheng Li-wun w Pekinie na Tajwanie ujawniono dokumenty z czasów autorytarnych rządów KMT, rzucające nowe i kłopotliwe światło na środowisko polityczne samej przewodniczącej. Odtajnione materiały dotyczą jej męża, Luo Wuchanga, i wskazują, że w latach 80. mógł zostać zwerbowany przez służby specjalne ówczesnego państwa jako potencjalny informator działający w środowisku studenckim. Z dokumentów wynika, że aparat bezpieczeństwa planował traktować go jako „źródło operacyjne", a następnie – w zależności od jego przydatności – przekształcić tę relację w pełnoprawną współpracę wywiadowczą. Procedura nadania pseudonimu oraz mechanizm oceny kandydata wskazują na standardowe działania tajnych służb tamtej epoki.

Szczególnie gorzki smak tej historii wynika z faktu, że zarówno Luo Wuchang, jak i Cheng Li-wun byli w młodości postrzegani jako radykalni aktywiści na rzecz niepodległości Tajwanu. Cheng rozpoczęła studia prawnicze na National Taiwan University w 1987 roku i dołączyła do studenckiego stowarzyszenia o wyraźnie proniepodległościowym charakterze. Tam poznała Luo, który studiował politologię i pełnił funkcję redaktora tej organizacji.

Posłanka Fan Yun, uczestniczka ówczesnych protestów studenckich, potwierdziła wiarygodność ujawnionych dokumentów i przypomniała, że Luo należał wówczas do najbardziej bezkompromisowych krytyków Kuomintangu. Jego późniejsza akceptacja politycznej ewolucji partnerki – od środowisk radykalnie antykuomintangowskich do przyłączenia się do KMT – była dla wielu osób z ich pokolenia trudna do zrozumienia. Teraz okazuje się, że drogi tej ewolucji mogą być jeszcze bardziej zawiłe niż dotychczas sądzono.

Ujawnienie dokumentów jest efektem reform przeprowadzonych za prezydentury Tsai Ing-wen, które umożliwiły szerszy dostęp do archiwów służb specjalnych i zapoczątkowały proces rozliczania autorytarnej przeszłości na Tajwanie. Sprawa wpisuje się w szerszy spór o to, jak dawne powiązania i struktury – w tym między KMT a aparatem represji, a także między KMT a KPCh – wpływają na dzisiejszą politykę Tajwanu.

Kilka tygodni przed pekińską wizytą Cheng Li-wun Tajwan odwiedził inny znany informator komunistycznych służb specjalnych (według dokumentów) – Lech Wałęsa, pseudonim Bolek. Były prezydent Polski przyjechał na wyspę, by nawoływać Tajwańczyków do zjednoczenia z Chinami. Apel ten wywołał na Tajwanie konsternację i oburzenie. Trudno o bardziej wymowny symbol: człowiek, który niegdyś donosił na kolegów z Solidarności, przyjeżdża pouczać demokratyczne, wolne społeczeństwo, że powinno oddać suwerenność komunistycznemu reżimowi. Zestawienie wizyty Wałęsy z ujawnieniem akt dotyczących Luo Wuchanga tworzy obraz osobliwy i niepokojący: wokół tajwańskiej polityki krążą najwyraźniej ludzie z bardzo specyficznym bagażem przeszłości i bardzo podobnym przesłaniem na przyszłość.

» NATO winne, Putin rozumiany – narracja szefowej KMT

Sprawa Wałęsy nie jest jedynym europejskim akcentem w tej historii. Cheng Li-wun, zanim pojechała do Pekinu, zdążyła już wielokrotnie ujawnić, jak naprawdę postrzega świat. W swoich wcześniejszych wypowiedziach dotyczących rosyjskiej agresji na Ukrainę wskazywała na „prowokującą rolę rozszerzenia NATO" jako przyczynę konfliktu i podkreślała potrzebę „rozumienia rosyjskich interesów bezpieczeństwa». Słowa te, wypowiedziane przez szefową głównej partii opozycyjnej demokratycznego państwa zagrożonego przez autorytarnego sąsiada, są czymś więcej niż tylko kontrowersją. To jest mapa ideologiczna, która pokazuje, w którym miejscu Cheng Li-wun naprawdę stoi.

eprasa.pl 2f22a6ded1

Cheng Li-wun posunęła się dalej niż relatywizowanie agresji – publicznie zakwestionowała pogląd, że Władimir Putin jest dyktatorem. To nie jest kwestia interpretacji ani niuansów: Putin jest dyktatorem, który napadł na suwerenne państwo i ponosi za to pełną odpowiedzialność. Narracja o „prowokacji NATO" jest żywcem przepisaną linią Kremla. Jeżeli szefowa KMT stosuje tę optykę wobec Ukrainy, pytanie jest jedno: czy gdy Pekin zdecyduje się na „operację specjalną" wobec Tajwanu, również znajdzie zrozumienie dla „interesów bezpieczeństwa" agresora?

» Psychologiczna gra Pekinu

Działania Pekinu wokół wizyty Cheng Li-wun nie są dyplomacją. To element precyzyjnie prowadzonej wojny psychologicznej. Ogłaszanie hojnych pakietów „zachęt" przy okazji spotkań z przychylną opozycją służy przede wszystkim rozmywaniu tajwańskiej jedności, budowaniu wrażenia, że współpraca z Komunistyczną Partią Chin jest możliwa i opłacalna – i że tylko „nieprzejednany" rząd w Tajpej stoi temu na przeszkodzie. W tym samym czasie, gdy Pekin wyciąga rękę z koszem pełnym marchewek, jego samoloty wojskowe regularnie naruszają powietrzne strefy identyfikacyjne Tajwanu, a okręty marynarki wojennej patrolują cieśninę w odległości, której nikt nie mógłby nazwać przyjazną.

Cheng Li-wun podczas całej wizyty nie zaapelowała do Xi Jinpinga o wstrzymanie presji militarnej. Nie zażądała ograniczenia manewrów wojskowych. Misja opisywana jako „pokojowa" nie zawierała najprostszego postulatu, którego oczekiwałby każdy obywatel zagrożonego państwa: zmniejszenia realnego ryzyka konfliktu. Zamiast tego przewodnicząca KMT powtórzyła narrację Pekinu o „wspólnym dziedzictwie" i potrzebie dialogu – bez żadnych warunków ze strony tajwańskiej.

Prezydent Tajwanu Lai Ching-te skomentował wizytę jednoznacznie: ustępstwa wobec reżimów autorytarnych nie prowadzą do pokoju, lecz do utraty suwerenności i demokracji. Doświadczenia historyczne, do których się odwołał, są nieubłagane. Próby „dogadywania się" z silniejszym przeciwnikiem kosztem własnych interesów kończą się osłabieniem państwa, a nie stabilizacją. Prawdziwy pokój może być oparty wyłącznie na sile – militarnej i politycznej – oraz na wiarygodnych sojuszach, które odstraszają potencjalną agresję.

Tymczasem Kuomintang blokuje kluczowy pakiet wydatków obronnych, który miałby realnie wzmocnić zdolności odstraszania Tajwanu – i którego Waszyngton wprost od Tajwanu wymaga. Blokada budżetu obronnego przez opozycję podważa wiarygodność wyspy jako sojusznika i daje Pekinowi argument, że Tajwan nie jest gotowy bronić się sam. Z punktu widzenia Pekinu jest to układ doskonały.

» Tajwan się zmienił – Pekin tego nie rozumie

Jest jednak w tym wszystkim coś, czego Komunistyczna Partia Chin wciąż nie potrafi pojąć: Tajwan jest dziś zupełnie innym społeczeństwem niż dekadę temu. Taktyka marchewki działa coraz słabiej. Ekonomiczne zachęty nie równoważą obaw o bezpieczeństwo, suwerenność i stale rosnącą presję polityczną. Tajwańczycy są bardziej świadomi, bardziej sceptyczni i znacznie mniej podatni na narrację o „wspólnej chińskiej rodzinie". Tajwańskie społeczeństwo coraz wyraźniej rozumie, że „dialog" oferowany przez Pekin nie jest rozmową między równymi – to zaproszenie do kapitulacji w pięknym opakowaniu.

Pekin zdaje się tego nie dostrzegać. Wciąż stosuje te same narzędzia, jakby nic się nie zmieniło. Rozmawia nie z demokratycznie wybranym rządem Tajwanu, lecz z tą częścią sceny politycznej, która jest gotowa mówić jego językiem. To podważa wiarygodność całej inicjatywy i pokazuje, że nie chodzi o realne porozumienie z Tajwanem jako podmiotem politycznym, lecz o wywieranie wpływu na jego wewnętrzne podziały. Wizyta Cheng Li-wun w Pekinie nie była krokiem ku pokojowi. Była prezentem dla Xi Jinpinga i rachunkiem wystawionym tajwańskiemu bezpieczeństwu. ■

eprasa.pl 2f22a6ded1





Stefan Czerniecki
czerniecki.net

Najpiękniejsza z polskich ambasad na Czarnym Lądzie

Dziś będzie o polskim przysiółku piękna na morzu afrykańskiej pustelni. Pustelni pełnej pułapek, beznadziei i ubóstwa. Będzie o ludziach, którzy – zapewne nie będąc nawet tego świadomi – wyjechali kiedyś z Polski, zabierając jednocześnie ze sobą to, co w ojczyźnie powinno być uznane za najcenniejsze. Będąc niegdyś najlepszymi z najlepszych. A dziś stanowiąc kwiat naszej ambasady na Czarnym Lądzie. Mimo że urzędowo żadnej ambasady w Kamerunie nasz kraj już przecież nie posiada.

eprasa.pl 2f22a6ded1

Biały pickup powoli coraz bardziej się wypełnia. Kolejna kobieta wspina się po kole, by zająć miejsce nad tylnym zderzakiem samochodu. Z każdą chwilą opony Toyoty coraz bardziej się uginają. Na pace zostało bodaj jeszcze jedno miejsce. Czarnoskóry kierowca najwidoczniej także o tym wie. Czeka cierpliwie, wypatrując kogoś mającego zaraz wyjść z kościoła. Wreszcie jest. Zgarbiona staruszka wychodzi jako ostatnia. Oprócz wieku nie różni się niczym od pozostałych pasażerek. Ubranych tak samo jak ona: w jednakowo kolorowe chusty. Z koralami na szyi. W kameruńskiej wiosce Minkama właśnie skończyła się poranna msza o godzinie 6:30. A zaraz po niej Jutrznia odmówiona wspólnie z misjonarzami. Teraz pora na zakupy.

Stojący na kościelnym piaszczystym podjeździe samochód może ruszyć. Jest środa. W pobliskim mieście Obala dzień targowy. W Minkama jednak mało kto ma swój samochód. Mieszkańcy korzystają więc z dobrego serca uczynnych zakonników. Po modlitwie jeden z nich zwykle zawozi chętnych na bazar. Tam miejscowi zakupią żywności na cały tydzień.

– Jestem w Afryce już prawie ćwierć wieku – na samo to wspomnienie ks. Krzysztof szeroko się uśmiecha. – Tyle czasu w zupełności wystarczyło, aby ci ludzie zaczęli mieć mnie za swojego. Dużo rzeczy robimy razem. Jako wspólnota. Proboszcz z parafianami. A parafianie z proboszczem. Modlę się z nimi, jadam z nimi, jeździmy razem na zakupy, razem heblujemy deskę i razem szyjemy ubrania.

Krzysztof Pazio. Prawdziwy misjonarz. Człowiek, który wybudował w maleńkim Minkama coś, co po ludzku nie miało prawa się udać. Podczas gdy w pobliskim mieście Obala ludzie całymi dniami snują się bezczynnie po ulicy, gdy wokół smród i bieda: on w zapomnianej przez świat wiosce na granicy buszu wybudował oazę spokoju. I poczucia sensu.

» Nauczyć niewykonywalnego

Ta misja to jego dom. Gdy przyjechał tu po raz pierwszy, zobaczył kawałek polany na skraju lasu. I pobliskie poletko przeznaczone na gaj bananowy. Był też ten pokryty laterytową glebą plac, na którym miejscowy biskup chciał, aby Père Christophe – jak tytułują księdza Krzysztofa miejscowi – wybudował kościół.

Na efekty swojej pracy marianin nie kazał długo czekać. Wszak wychowany pod Węgrowem jako syn cieśli, od maleńkości wykazywał zamiłowanie do podobnych prac. Nieobca mu była szlifierka, imał się obróbki drewna. Wybudował niejeden dom, a gdy trzeba było zadbać o instalacje, naprawy hydrauliczne należały tylko do niego.

W Afryce doszła jednak jeszcze jedna trudność. Tutaj nie wystarczało tylko umieć. Wzniesienie misji na skraju buszu to dla jednego człowieka zadanie ponad siły. Trzeba było nauczyć tych wszystkich umiejętności swoich parafian. Po pierwsze, aby budowa szła sprawniej. A po drugie – i to chyba znacznie ważniejsze – jeśli kiedykolwiek Père Christophe miałoby tu zabraknąć, aby sami miejscowości mogli tę misję poprowadzić dalej. Już samodzielnie.

Nauczyć miejscowych nowej szkoły pracy. Wrzucić ich w zupełnie dla nich obce zasady i reguły funkcjonowania. Każdy, kto choćby raz był na Czarnym Lądzie, doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że takie zadanie to naprawdę niełatwa misja. Według niektórych wręcz niewykonalna. Ale nie dla ojca Krzysztofa.

» Miasto

Kamerun. Minkama. Symetryczny środek Afryki. Esencja Czarnego Lądu. Prowadząca ze stolicy Jaunde szosa na północny wschód co pewien czas przecina jakąś hałaśliwą

eprasa.pl 2f22a6ded1



Zaradny, naturalny, skromny. Cały on, ks. Krzysztof.

miejscowość. Białemu człowiekowi, który dopiero co wylądował w Kamerunie, trudno będzie zrozumieć to, co dzieje się w takim ośrodku miejskim. To bowiem obraz totalnego chaosu. Ciągłego ruchu. Wiecznej przemiany, zamiany miejsc.

Obraz z ludźmi szwendającymi się wzdłuż głównej drogi – często jedynej asfaltowej w całym mieście. Ze wszechobecnymi straganami. Niektórzy sprzedają owoce. Inni – i tych jest chyba większość – plastikowe szczotki do sprzątania oraz mopy. Jeszcze ktoś inny handluje elementami składowymi do motoru. Nieco dalej, bliżej lasu, jakiś mężczyzna stoi przy drodze, trzymając za uszy zwisającego futrzastego zwierzaka. Podobnego z wyglądu do naszej łasicy, ale dużo od niej większego. Zwierzę jest już martwe. I oczywiście na sprzedaż.

Gdy tylko ktoś z przechodniów dostrzega biały kolor mojej skóry, momentalnie się ożywia. Próbuje podbiec do samochodu. Coś woła. Śmieje się. Niektórzy na coś pokazują. Część przyjaźnie pozdrawia. Część zasłania twarz w obawie przed zrobieniem im zdjęcia. Znakomita większość jednak po prostu nieruchomo się przygląda. To ten rzadki moment, gdy w Afryce wszystko zwalnia. Za moment jednak wszystkie trybiki tego ruchliwego mrowiska uruchomią się na nowo.

Z zainstalowanych nie wiadomo gdzie głośników co rusz słychać jakiś chrobotliwy jazgot. Ogłoszenia, instrukcje, zalecenia. Zewsząd widać zajeżdżające drogę motory. W powietrzu czuć unosząca się falę pyłu. Oddycha się coraz ciężej. Ot, kameruńskie miasto.

» Pomruk prowincji

Tabliczka z napisem „Minkama" znajduje się kilka minut jazdy na północ po opuszczeniu miasta Obala. Po tym, jak mijamy brudną rzekę Sanaga – w której miejscowi notorycznie myją auta, wjeżdżając kołami w sam środek nurtu – zabudowa staje się rzadsza.

Domy nie są już zlokalizowane tuż-tuż przy drodze, jak w mieście. W ich miejsce pojawił się bowiem las. Pojedyncze domostwa ukryte są pomiędzy jego zaroślami. Afrykański busz podchodzi coraz bliżej szosy. Zostawiając jedynie wąski odcinek piaszczystego pobocza, na którym od czasu do czasu miejscowi natrafiają na martwego węża, któremu nie udało się przepełznąć na drugą stronę.

Wystarczyło wyjechać z Obala, aby zniknęły chaos i nieład. W ich miejsce pojawiła się muzyka lasu. Głośne granie świerszczy, skrzypienie cykad, śpiew ptaków. Pomruk prowincji.

– Poznaj mój dom – uśmiecha się prowadzący auto Krzysztof. – Zaraz zobaczymy, czy świeci się lampka pod figurą Maryi. Będziemy wiedzieli, czy jest prąd.

eprasa.pl 2f22a6ded1

Jego misja znajduje się zaraz za następnym wzgórzem. Sygnałem do skrętu będzie pokaźnych rozmiarów blaszany baner stojący po prawej stronie drogi. Z napisem „Paroisse – Sanctuaire Saint Jean Paul II de Minkama". Nad napisem z jednej strony twarz papieża Polaka otoczona wieńcem laurowym, z drugiej Maryja w herbie zakonu księży marianów. Obok dzwonnica ze wspomnianą przez ojca Krzysztofa figurką Matki Bożej. Podświetlonej. To znaczy, że prąd jest. To dobrze. Dziś się wykąpiemy.

» Afrykański hebel

Stolarnia znajduje się obok ściany bananowego gaju. Księdzu Krzysztofowi udało się zgromadzić maszyny, którymi wraz z miejscowymi mężczyznami może każdego dnia szlifować drewno. Misjonarz osobiście postarał się o każdą z nich. Sprowadzając je nierzadko aż z Polski. Troskliwie odnowione przez sprytnego duchownego zyskały na afrykańskiej misji drugie życie.

Od wczesnych godzin porannych w stolarni panuje ruch. Warkot silników pił tarczowych przebija nawet ten z pobliskiego lasu. A oto w Afryce wcale nie tak łatwo. Maszyny obsługiwane są przez parafian księdza Krzysztofa. To także inwestycja w przyszłość. Za kilka miesięcy panowie będę mogli nająć się w jednej z fabryk przetwórstwa drzewa w Jaunde. Albo znaleźć zatrudnienie w okolicznych tartakach. Ich wychowawca i mentor, ksiądz Krzysztof – stolarz i cieśla z zamiłowania – nie weźmie za ich przyuczenie do zawodu ani grosza. A właściwie franka kameruńskiego. Wręcz przeciwnie. Za dobrze wykonane meble na potrzeby misji jeszcze uczciwie im zapłaci.

» Przedszkolna szwalnia

– Mogę zrobić wam kilka zdjęć? – pytam nieśmiało, wchodząc do kolejnego budynku



Jest czas pracy, czas odpoczynku i czas modlitwy.

znajdującego się na misji w Minkama. Tym razem to kobiecy przysiółek tego zakątka. Szwalnia. Kilkanaście profesjonalnych maszyn do szycia sprowadzonych przez zakonnika kilka lat temu nadal służy kobiecej społeczności Minkama. To ważne, gdyż motywacja, dla której budowano szwalnię, była naprawdę bardzo istotna.

W biednej kameruńskiej rzeczywistości jest bowiem tak, że jeśli rodzice nie mają pieniędzy na utrzymanie kolejnej córki – nie mówiąc już o jej edukacji – taka dziewczynka w bardzo wielu przypadkach ląduje na ulicy większych ośrodków. Zmuszona do handlowania własnym ciałem. Do wejścia w relacje kameruńskiego półświatka. Z raz obranej w ten sposób drogi ciężko zawrócić. Posługującym na Czarnym Lądzie marianom problem nie jest obcy. Postanowili działać. Ogłoszona kilka lat temu wśród polskich wiernych

eprasa.pl 2f22a6ded1



Parafianie ks. Krzysztofa dostają szansę na wyuczenie się sztuki stolarskiej.



Mężczyźni szkolą się również w stawianiu budynków.

zbiórka na wyposażenie szwalni przyniosła zdumiewające rezultaty.

Dzięki tym środkom zakonnicy nie tylko wznieśli budynek szwalni i zakupili potrzebny do niej sprzęt, lecz także zatrudnili profesjonalną krawcową, która od tamtej pory codziennie przyucza do zawodu kolejne chętne dziewczyny. A zleceń nie brakuje.

– Dziewczyny dostały właśnie zamówienie od sąsiedniej parafii, gdzie siostry zakonne prowadzą dużą szkołę. Będą szyć stroje pierwszokomunijne – tłumaczy ksiądz Krzysztof.

Po otrzymaniu przyzwolenia na robienie zdjęć, okraszonego dodatkowo nieśmiałym uśmiechem, rozpoczynam spacer po szwalni. Nie sam. Między moimi nogami cały czas raczkuje ciekawski chłopczyk. Zadziera głowę i patrzy, co robię. To synek jednej z pracujących w szwalni kobiet. Kobiety przychodzą do pracy z dziećmi, bo maluchy znajdą tu opiekę. Wszak o tyle troskliwych cioć trudno w jakimkolwiek innym miejscu w Minkama.

» Koszulka o zapachu misji

Krząta się cały czas. Między kościołem o budynkami misji. Między stolarnią a szwalnią. Między wizytą na targu w Obala a zakrystią kościoła. Wciąż w ruchu, ciągle aktywny. Gdy go wreszcie spotykam, rozmawia akurat z grupką osób. Wśród nich dostrzegam jednego białego. W Minkama to rzadkość. Ksiądz Krzysztof, jak zawsze o tej porze dnia, gdy jest już po porannej Eucharystii, ubrany jest w swoją ulubioną brązową koszulkę. To jego strój roboczy. Koszulce nie będą już szkodzić ani plamy po smarach po reperowanym właśnie traktorze, ani wióry po heblowanym przed chwilą drewnie. Pachnie pracą na misji.

– Kim byli ci ludzie? – pytam, gdy zakonnik skończył oprowadzać grupę osób po budowie.

– Tamci? A to byli państwo z nadzoru budowlanego – tłumaczy ze spokojem.

– Musiałeś się z czegoś tłumaczyć?

– Wręcz przeciwnie – uśmiecha się duchowny. – Przyjechali na szkolenie. Nie umieją

eprasa.pl 2f22a6ded1





Szwalnia – kobiecy przysiółek tego misyjnego zakątka.

rozwiązać jednego zagadnienia architektonicznego na swojej budowli i przyjechali po radę.

Cały on. Bezwzględnie zaradny. Naturalny. I skromny do granic wytrzymałości. Zbudował dla tych ludzi coś, za co z całą pewnością – gdyby tylko mogli – wznieśliby mu pomnik. Wyciągnął do nich rękę. I już nie wypuścił. Wprost przeciwnie. Ale zamiast dawać im jedynie gotowe rozwiązania, wybrał inną drogę. Wymagającą znacznie większego zaangażowania. I cierpliwości do afrykańskiej mentalności. Postanowił dać im wędkę.

To dzięki niej większość kobiet z Minkama z powodzeniem może dziś szukać pracy w Obala, Jaunde czy Batchenga jako szwaczki. Albo najlepiej szyć ubrania tutaj na miejscu, w Minkama. To dzięki tej wędce mężczyźni z Minkama coraz częściej są kojarzeni jako dokładni i sumienni budowlańcy. Wyszkoleni przez „białego Père", który zbudował połowę Węgrowa. To wreszcie dzięki tej wędce w tutejszej misji na swoje święcenia wyczekuje już trzech miejscowych chłopców. A dwóch już od kilku lat posługuje jako kapłani. Gdy przyjdzie pora na opuszczenie tej ziemi przez „białego Père", parafianie nie pozostaną już sami. Będą mieli wszystko, czego im potrzeba. Nie napiszę, że „przeżyją". Bo to byłoby za małe słowo. Będę samodzielni. Pełni wiary we własne możliwości, współtworząc na kameruńskiej ziemi – pełnej biedy i beznadziei – dom, w którym można poczuć się inaczej. Naprawdę dobrze.

– Tylko błagam cię, Stefan, nie koloryzuj w tym materiale – prosi mnie Krzysztof, gdy czas mojej obecności na misji powoli dobiega końca.

– Nie będę. Nie muszę – uśmiecham się.

I rzeczywiście, nie musiałem. Nawet gdy zaraz napiszę tu o tym, że kawę przyniósł nam podczas rozmowy jeden z kleryków. Ubrany pod kołnierzyk. Czysty i schludny. I punktualny. Łamiący wszelkie schematy lokalnej społeczności. Rozumiejący, czym jest piękna i bezinteresowna służba. Ktoś go tej służby zdążył nauczyć. ■

eprasa.pl 2f22a6ded1

Hanna Shen



Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim i wokół niego? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

» **Wietnam**

7 kwietnia Zgromadzenie Narodowe Wietnamu wybrało To Lama, sekretarza generalnego partii komunistycznej, na stanowisko prezydenta. Wynik: 100 proc. głosów za. Jedyny kandydat, w jednopartyjnym państwie, w tajnym głosowaniu. Matematyka jest prosta. To Lam łączy teraz w jednych rękach stanowisko szefa partii i głowy państwa. Po raz pierwszy w historii Wietnamu dzieje się to na początku nowej kadencji; wcześniej taka kumulacja władzy zdarzała się wyłącznie awaryjnie, po nagłej śmierci lidera. Tym razem nie było żadnej awarii. Była za to żmudna, wieloletnia praca u podstaw: jako szef Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. To Lam nadzorował kampanię antykorupcyjną, która wyeliminowała dwóch poprzednich prezydentów i dziesiątki wysokich urzędników, czyli wszystkich, którzy mogliby mu stanąć na drodze. Analitycy oceniają wprost, że większość dotychczasowych założeń na temat wietnamskiej polityki, w tym zbiorowego przywództwa i systemu równoważenia wpływów, przestaje być aktualna. Wietnam przez dekady szczycił się modelem „czterech filarów" władzy, który miał zapobiegać koncentracji wpływów w jednych rękach. Dwa z tych filarów należą teraz do To Lama. W pozostałych dwóch siedzą jego ludzie.

Zaraz po zaprzysiężeniu nowy prezydent wsiadł do samolotu do Pekinu. Czterodniowa wizyta w Chinach, pierwsza podróż zagraniczna w nowej roli, obejmowała spotkanie z prezydentem Xi Jinpingiem i rozmowy o infrastrukturze 5G z udziałem chińskich firm. Pekin to nieprzypadkowy wybór, ale jednocześnie ryzykowny. Bo właśnie wtedy, gdy Hanoi zacieśnia więzi z Pekinem, Waszyngton przykręca śrubę od drugiej strony. W marcu Stany Zjednoczone wszczęły wobec Wietnamu dochodzenie handlowe na mocy sekcji 301, dotyczące nadmiernych mocy produkcyjnych; ten sam mechanizm prawny w 2018 roku posłużył do nałożenia potężnych ceł na chińskie towary. Wietnam trafił na listę razem z Chinami, Japonią, Koreą i kilkunastoma innymi krajami. Warto zapamiętać tę listę, bo cła z sekcji 301, w odróżnieniu od poprzednich, unieważnionych przez Sąd Najwyższy, nie mają limitu czasowego ani pułapu procentowego. Przez chwilę Wietnam był największym wygranym po wyroku Sądu Najwyższego USA: stawka celna na wietnamskie towary spadła z 46 do 10 proc. – największy jednorazowy spadek

eprasa.pl 2f22a6ded1

spośród wszystkich krajów objętych „cłami wzajemnymi" Trumpa. Wietnam stał się mekką dla firm uciekających z Chin. Teraz ta przewaga może być stopniowo odbierana – dochodzenie z sekcji 301 ma na celu skłonienie firm do przeniesienia produkcji z powrotem do Stanów Zjednoczonych, nie do kolejnego azjatyckiego kraju.

Wietnam od lat stosuje tzw. dyplomację bambusową: uginać się pod wiatrem, nie łamać. Zbliżenie z Chinami i eksport do Ameryki jednocześnie, sojusze z każdym, zobowiązania wobec nikogo. To Lam sam określa swoją politykę zagraniczną jako pragmatyczną i deklaruje utrzymanie równowagi między mocarstwami. Ale pierwsza zagraniczna podróż to nie sygnał – to wybór. I Waszyngton go zanotował.

» Japonia–NATO

W 2023 roku Francja zablokowała otwarcie biura łącznikowego NATO w Tokio. Emmanuel Macron argumentował wówczas, że Sojusz nie powinien rozszerzać się geograficznie poza obszar północnoatlantycki. Pekin był niezadowolony. Paryż, jak zwykle w takich momentach, potulnie słuchał. Trzy lata później do Tokio przyjeżdża delegacja, która sprawia, że paryski duch ustępstw wobec Pekinu powoli opuszcza salę.

W połowie kwietnia blisko 30 ambasadorów państw członkowskich NATO przy Sojuszu w Brukseli przybyło do Japonii z trzydniową wizytą. Była to największa tego rodzaju misja w historii relacji NATO–Japonia. Spotkania z ministrami, rozmowy z przemysłem zbrojeniowym, dyskusje o Chinach, Rosji, Ukrainie i Bliskim Wschodzie. W programie znalazła się również wizyta w amerykańskiej bazie marynarki wojennej w Yokosuce. Dziś NATO robi dokładnie to, czemu Macron chciał zapobiec.

Japoński ambasador przy NATO[1] ocenił w wywiadzie udzielonym „Japan Times" w trakcie wizyty, że relacje Tokio z Sojuszem wchodzą w nową, „konkretną" fazę – po latach ogólnych deklaracji politycznych przyszedł czas na instytucjonalizację współpracy w przemyśle obronnym i nowych technologiach. Pierwsza runda dialogu przemysłowego odbyła się w październiku ubiegłego roku w Brukseli. Druga ma się odbyć w Tokio.

Moskwa i Pekin zareagowały zgodnie z oczekiwaniami. Rosyjskie MSZ określiło wizytę mianem prowokacji. Chińskie media państwowe piszą o destabilizacji regionu. To dobry barometr: im głośniejszy krzyk z obu stolic, tym pewniejszy znak, że coś istotnego właśnie się dzieje. Część liberalnych i lewicowych mediów próbuje przedstawiać tę wizytę jako efekt niepokoju sojuszników o wiarygodność Stanów Zjednoczonych pod rządami Trumpa – sugerując, że Europa i Japonia szukają się nawzajem, bo Waszyngton stał się nieprzewidywalny. To narracja odwrócona. Gdyby nie presja Trumpa na sojuszników – finansowa, polityczna, retoryczna – europejskie stolice wciąż liczyłyby na amerykański parasol bez konieczności robienia czegokolwiek samodzielnie. Trump nie osłabił sojuszu. Wymusił na nim dorosłość.

Japonia tę lekcję odrobiła szybciej niż większość. Budżet obronny rośnie, przemysł zbrojeniowy otwiera się na eksport, relacje z NATO stają się operacyjne. I podczas gdy w Paryżu wciąż trwa debata o „autonomii strategicznej Europy", w Tokio przyjmuje się 30 ambasadorów i rozmawia o konkretach.

---

[1] Japonia ma stałą misję przy NATO w Brukseli i własnego ambasadora przy Sojuszu. To niestandadowa sytuacja, bo Japonia nie jest członkiem NATO, ale jako partner (IP4 – Indo-Pacific Partner) utrzymuje przy nim pełnoprawną misję dyplomatyczną.

eprasa.pl 2f22a6ded1

» **Chiny**

W kwietniu CNN podała, że hakerzy włamali się do Narodowego Centrum Superkomputerowego w Tianjinie i wynieśli ponad 10 petabajtów danych. Wśród skradzionych materiałów znalazły się projekty uzbrojenia, badania lotnicze, symulacje fuzji jądrowej. Pekin nie skomentował sprawy publicznie. Centrum Superkomputerowe nie odpowiedziało na pytania.

Samo włamanie jest spektakularne. Sposób, w jaki do niego doszło, jeszcze bardziej. Według inżyniera sieci, cytowanego przez amerykańską gazetę „Epoch Times", atakujący wykorzystali źle zabezpieczone połączenie VPN, a więc nie był to geniusz hakera, lecz zwykła luka w systemie. Dane wyprowadzano przez około pół roku, stopniowo, bez wzbudzania alarmu. Część z nich już trafiła do sieci. Reszta jest wystawiona na sprzedaż – co oznacza, że potencjalnie mogą trafić do każdego, kto zapłaci: obcych wywiadów, konkurentów technologicznych, pośredników bez skrupułów.

To nie pierwszy taki incydent. W ostatnich latach Chiny doświadczyły już kilku głośnych wycieków danych dotyczących setek milionów obywateli. Powtarzalność tych zdarzeń sugeruje, że problem ma charakter systemowy. Nie chodzi o jednego niedbałego administratora ani o wyjątkowo zdolnych hakerów. Problem stanowią architektura i kultura zarządzania bezpieczeństwem, które przez lata stawiały kontrolę nad przepływem informacji ponad ochronę samych danych.

Reakcja władz Chin była natychmiastowa i wymowna. Zgodnie z informacjami „Epoch Times" Kancelaria Rady Państwa rozesłała do agencji rządowych serię dyrektyw: pracownicy mają obowiązek oddawać telefony do specjalnych szafek blokujących sygnał przed wejściem do biura, komunikacja wewnętrzna ma wrócić na telefony stacjonarne, drukarki i inne urządzenia końcowe nie mogą być podłączone do sieci. W jednostkach zajmujących się sprawami zagranicznymi i obronnością wprowadzono systemy wykrywania sygnału komórkowego, a najbardziej wrażliwe komputery działają teraz całkowicie offline – odcięte nawet od sieci wewnętrznej.

Jak zauważył jeden z anonimowych rozmówców „Epoch Times", podobne zakazy istniały już dekadę temu, ale potem egzekucja się rozluźniła. Teraz wróciły, rozszerzone: tym razem obejmują nie tylko zagraniczne smartfony, lecz także chińskie. To osobny sygnał: władze nie ufają już nawet własnym producentom urządzeń na tyle, by pozwolić pracownikom trzymać je przy biurku.

I tu właśnie tkwi paradoks, odsłonięty przez ten incydent szczególnie wyraźnie. Chiny aspirują do roli globalnego lidera w dziedzinie technologii, sztucznej inteligencji i cyberbezpieczeństwa. Własne dokumenty rządowe z 2025 roku przyznają, że konieczne jest wzmocnienie zabezpieczeń sieci i danych. A jednocześnie jedno włamanie przez niezabezpieczony VPN otwiera dostęp do danych z wojska, nauki i przemysłu jednocześnie. Centralizacja infrastruktury – jeden z filarów chińskiego modelu zarządzania – w tym przypadku zadziałała przeciwko niemu. Im więcej w jednym miejscu, tym więcej do zabrania za jednym razem.

Jeśli autentyczność skradzionych danych zostanie potwierdzona, konsekwencje mogą być dalekosiężne. Obce państwa mogą uzyskać wgląd w rzeczywisty poziom chińskich technologii wojskowych, a co ważniejsze – zidentyfikować ich słabe punkty. Kolejny raz okazuje się, że za chińską narracją o sile kryje się system znacznie bardziej podatny na błędy niż mogłoby się wydawać. ■

eprasa.pl 2f22a6ded1



Małgorzata Matuszak

Czym jest... „się”

Się” uznawane jest w gramatyce języka polskiego za zaimek zwrotny. Określenie to jest jednak niewystarczające, w wielu użyciach „się” nie wskazuje bowiem na żaden konkretny podmiot, nie odsyła do „ja”, które działa i doświadcza, lecz – przeciwnie – rozprasza je, zaciera lub całkowicie usuwa. Tym samym przestaje być wyłącznie elementem składni, a zaczyna funkcjonować jako ślad głębszej struktury doświadczenia. Struktury, w której działanie nie zawsze ma wyraźnego sprawcę, a zdarzenia niekoniecznie dają się jednoznacznie komukolwiek przypisać.

W codzienności łatwo ulegamy „się”, a nasze życie toczy się według reguł, które nie są nam wprost narzucane, jednak okazują się wiążące. Żyjemy i myślimy tak, jak się żyje i myśli, i to nie dlatego, że ktoś wydaje nam takie polecenia, lecz dlatego, że sami odnajdujemy się w tym, co już jest ustalone i uznane. W tym sensie „się” działa jak rozproszony autorytet, nieosobowa instytucja, która nie wydaje rozkazów, a mimo to skutecznie wyznacza granice tego, co uchodzi za możliwe i właściwe.

W sytuacjach niepewności ta bezosobowa norma pełni funkcję orientacyjną. „Zrobiłem tak, bo tak się robi” – to zdanie może być zarówno usprawiedliwieniem, jak i próbą odnalezienia się w świecie, w którym nie każdą decyzję da się podjąć w pełni samodzielnie. „Się” nie tyle mówi, co jest dobre, lecz co za dobre uchodzi; nie gwarantuje słuszności, ale zapewnia działaniu czytelność i pewien minimalny poziom akceptowalności.

Ta orientacyjna funkcja „się” ma jednak swoją cenę. Jeśli bowiem życie zostaje w całości podporządkowane temu, jak „się żyje”, podmiot stopniowo traci zdolność odnoszenia się do samego siebie. Działanie przestaje być wyborem, a staje się niejako powtarzaniem, refleksja nad sobą i swoim działaniem ustępuje zaś miejsca oczywistości. To, co „się” robi, nie wymaga wszak uzasadnienia. W tym sensie „się” może prowadzić do szczególnej formy bezrefleksyjności, która nie polega na pssrostym braku myślenia, ale na jego uprzednim ukształtowaniu. Myśli się przecież tak, jak „się” myśli. Podmiot więc nie tyle rezygnuje z siebie, o ile nie dochodzi do siebie jako źródła własnych decyzji. Żyje w sposób, który jest rozpoznawalny i akceptowalny, ale niekoniecznie własny.

Niebezpieczeństwo nie polega zatem na samym istnieniu „się”, lecz na jego niezauważalności. Dopóki pozostaje ono przezroczyste, dopóty jego władza nad działaniem wydaje się naturalna i niepodważalna. I na tym polega szczególna przebiegłość „się”: nie narzuca się jako zewnętrzna siła, lecz przejmuje postać tego, co oczywiste. Nie mówi: „masz tak żyć”, lecz sprawia, że inne sposoby życia przestają się w ogóle jawić jako realne. W ten sposób bezosobowy porządek stopniowo zajmuje miejsce wewnętrznego głosu „ja”, które zaczyna mówić językiem „się”, nie rozpoznając już jego obecności.

Dopiero moment zatrzymania, zawieszenia tego, co „się” robi i „się” myśli, otwiera możliwość odzyskania dystansu. W nim to, co dotąd uchodziło za oczywiste, może zostać poddane namysłowi, a działanie stać się naprawdę czyjeś. ■

eprasa.pl 2f22a6ded1



opracował **Antoni Rybczyński**

Pożegnanie z Kubą

Rządzona przez komunistów Kuba jest najważniejszym sojusznikiem Rosji, a wcześniej Związku Sowieckiego, na półkuli zachodniej. Upadek reżimu założonego przez Fidela Castro w 1959 roku będzie katastrofą dla wpływów rosyjskich w Ameryce Łacińskiej i odbierze Moskwie jeden z nielicznych argumentów w relacjach z USA.

eprasa.pl 2f22a6ded1

Kubański eksperyment marksistowski, niegdyś wspierany przez sowieckie dotacje, obecnie popadł w całkowitą dysfunkcję. Wyspa żyje w stanie permanentnego kryzysu. Rodziny czekają godzinami w długich kolejkach, mając nadzieję na zdobycie oleju spożywczego lub choćby chleba. W szpitalach brakuje podstawowych leków; nauczyciele i lekarze zarabiają w ciągu miesiąca mniej niż większość turystów wydaje na jeden wieczór (Mikheil Khachidze, „Kuba poza kolorami: ostatnia twierdza komunizmu i lekcja dla krajów postsowieckich", „Kyiv Post", 13 grudnia 2025). Nawet przed ostatnią kampanią nacisków Trumpa wyspa znajdowała się w głębokim kryzysie gospodarczym spowodowanym dziesięcioleciami złego zarządzania gospodarką i sankcjami USA. Brak paliwa doprowadził sytuację do granic możliwości. Kuba produkuje jedynie 40 proc. swojego zapotrzebowania na ropę. Reszta – w większości pochodząca z Wenezueli, a w niewielkiej części z Meksyku i innych dostawców – została skutecznie odcięta od stycznia. Przerwy w dostawach prądu zdarzają się obecnie niemal codziennie. Sklepy są zamknięte, a nawet szpitale odwołują operacje z powodu braku prądu (Alex Kliment, „Ryzykowna gra Putina na Kubie", GZERO Media, 20 marca 2026). Jednocześnie narasta presja ze strony USA. Wydaje się, że utrata sojusznika przez Rosję jest tylko kwestią czasu.

» Symbioza rosyjsko-kubańska

SIGINT, żołnierze, projekcja strategiczna i cukier – to właśnie Moskwa otrzymała głównie od Hawany, odkąd Putin zdecydował, że wznowienie dawnej przyjaźni kubańsko-sowieckiej musi być priorytetem dla jego kraju. Decyzja ta zapadła pod koniec 2000 roku, kiedy stosunki rosyjsko-amerykańskie były dalekie od złych, kiedy Putin odwiedził tę karaibską wyspę, spotykając się z Fidelem Castro i kładąc podwaliny pod trwające do dziś partnerstwo we wszystkich sektorach. Kuba i Rosja wymieniały się najlepszymi praktykami, pomagały sobie nawzajem, przywróciły ukochane stare tradycje, takie jak umowy barterowe z czasów sowieckich, i zapobiegły doprowadzeniu przez blokadę Waszyngtonu do zmiany reżimu. Z biegiem lat Rosja Putina stała się największą deską ratunku dla Kuby, oferując i wysyłając niezbędną pomoc za każdym razem, gdy Hawana prosiła o żywność, paliwo, podstawowe towary oraz środki i sprzęt medyczny, w kontekście powtarzającego się wsparcia finansowego i wspólnych planów omijania sankcji. Podobnie Rosja uzyskała wyłączne umowy na inwestycje w historycznie zamkniętą gospodarkę Kuby. Jej przedsiębiorstwa energetyczne i górnicze zyskały uprzywilejowany dostęp do jednych z największych na świecie zasobów niklu i kobaltu. Kubańczycy wydobywali, Rosjanie sprzedawali. Razem sprawili, że blokada stała się mniej dusząca, mając na uwadze 1 mld dolarów rosyjskich inwestycji w rozwój kraju do 2030 roku (Emanuel Pietrobon, „Oto dlaczego Kuba pozostaje przyczółkiem Rosji na progu Waszyngtonu", „The Moscow Times", 24 marca 2026).

W następstwie rewolucji ukraińskiej znaczenie Kuby dla Rosji tylko wzrosło. Kreml przestał postrzegać wyspę jako zwykłą pozostałość po zimnej wojnie, zasługującą na pomoc w imię dawnych dobrych czasów, i postanowił przekształcić ją w punkt nasłuchowy u progu Stanów Zjednoczonych. W latach 2014–2018 Kreml nakazał ponowne otwarcie swojej największej stacji wywiadu sygnałowego w Ameryce – kompleksu Lourdes o powierzchni 5000 metrów kwadratowych, położonego niedaleko Hawany, którego „uszy"

FOT. WIKIMEDIA

eprasa.pl 2f22a6ded1

pozwalają na szpiegowanie większości regionu Zatoki Meksykańskiej (E. Pietrobon, „Oto dlaczego Kuba pozostaje przyczółkiem Rosji…"). W 2023 roku Moskwa i Hawana uzgodniły, że będą dążyć do prowadzenia rosyjskich banków na Kubie oraz do przejścia na rozliczanie projektów w rublach. Wykorzystanie rubli w transakcjach oznaczało zmniejszenie ryzyka związanego z użyciem dolarów lub euro, większą łatwość zarządzania finansowaniem projektów oraz możliwość wykorzystania Kuby jako platformy dla rosyjskich firm w regionie. Kuba stała się rosyjskim „centrum" eksportu technologii informatycznych (IT) i technologii cyfrowych w Ameryce Łacińskiej. Po 2022 roku Rosja zaczęła aktywnie promować eksport swoich rozwiązań IT i platform cyfrowych do przyjaznych krajów poza gronem tradycyjnych partnerów i byłych republik radzieckich, a Kuba stała się kluczowym rynkiem w Ameryce Łacińskiej. Kuba została uznana za strategiczne centrum regionalne, w którym rosyjskie produkty mogą być dostosowywane i szerzej dystrybuowane, wzmacniając wpływ gospodarczy i technologiczny Rosji w regionie (S. Sukhankin, „Kreml postrzega potencjalną utratę Kuby jako poważny symboliczny cios", Eurasia Daily Monitor, Jamestown Foundation, 22 stycznia 2026).

W październiku 2025 roku Rosja zinstytucjonalizowała współpracę wojskową z Kubą, ratyfikując umowę o dwustronnej współpracy wojskowej. Umowa ta tworzy stabilne ramy prawne dla regularnej wymiany specjalistów wojskowych, przeprowadzania ćwiczeń, konsultacji i koordynacji w sektorze bezpieczeństwa. Rosyjscy eksperci postrzegali ten krok jako część szerszej strategii polityki zagranicznej Rosji, mającej na celu wzmocnienie więzi wojskowych i politycznych z sojusznikami w Ameryce Łacińskiej. W ich ocenie współpraca z Kubą może zwiększyć elastyczność rosyjskiej dyplomacji obronnej i stworzyć dodatkowe kanały interakcji w globalnej polityce bezpieczeństwa, zwłaszcza „w kontekście zmieniającego się środowiska międzynarodowego" (S. Sukhankin, „Kreml postrzega potencjalną utratę Kuby…").

Celem Rosji w Amerykach jest stworzenie przyczółków o podwójnym zastosowaniu, które pozwolą jej negocjować ze Stanami Zjednoczonymi na niemal równych zasadach, gdy przyjdzie do rozmów o strefach wpływów. Kuba służyła temu celowi przez cały okres zimnej wojny, pomagając Związkowi Sowieckiemu zapobiegać rozmieszczeniu kluczowych zasobów wojskowych USA w pobliżu jego granic. Putin, zgodnie ze swoim sposobem myślenia ukształtowanym przez zimną wojnę, prawdopodobnie zawsze postrzegał Kubę oczami swoich sowieckich poprzedników, pomagając jej stawić czoła embargu z nadzieją na wykorzystanie jej jako broni, gdy nadejdzie odpowiedni moment (E. Pietrobon, „Oto dlaczego Kuba pozostaje przyczółkiem Rosji…"). W rosyjskiej koncepcji polityki zagranicznej z marca 2023 roku Kuba, Brazylia, Nikaragua i Wenezuela zostały wymienione jako „priorytetowi" partnerzy Rosji w Ameryce Łacińskiej i na Karaibach. Staje się jednak jasne, że jeśli Stany Zjednoczone podejmą bardziej zdecydowane działania przeciwko Kubie, reakcja Rosji prawdopodobnie pozostanie retoryczna, bez podejmowania praktycznych kroków. Jeśli sytuacja polityczna na Kubie ulegnie zmianie, Rosja może stracić swojego długoterminowego partnera strategicznego w Ameryce Łacińskiej (S. Sukhankin, „Kreml postrzega potencjalną utratę Kuby…").

Od gromadzenia danych wywiadowczych po wsparcie wojenne i eksploatację zasobów, Kuba okazała się niezawodnym sojusznikiem, użytecznym atutem i dobrą inwestycją.

eprasa.pl 2f22a6ded1

Dlatego też, gdy Waszyngton góruje nad Amerykami i ma już na koncie kilka znaczących ofiar – Nicolasa Maduro z Wenezueli oraz kontrolowane przez Hongkong ujścia Kanału Panamskiego – Putin odczuwa pilną potrzebę zapobieżenia „przejęciu" Kuby, by użyć słów samego Trumpa. Odkąd Maduro został odsunięty od władzy na początku stycznia, Waszyngton i Moskwa rozpoczęły walkę o Kubę, przy czym ten pierwszy próbuje sprowokować powstania ludowe poprzez ostrzejszą niż kiedykolwiek blokadę, a ten drugi rzuca wyzwanie ambicjom Trumpa dotyczącym dominacji nad zachodnią półkulą, wysyłając tankowce na wyspę cierpiącą na niedobór paliwa (E. Pietrobon, „Oto dlaczego Kuba pozostaje przyczółkiem Rosji…"). Istnieją również względy strategiczne, twierdzi Alex Brideau, czołowy analityk ds. Rosji w Eurasia Group. Posunięcie na Kubie może być częścią szerszej strategii polegającej na selektywnym drażnieniu Zachodu w celu uzyskania większej przewagi tam, gdzie jest to pożądane: na Ukrainie. „Widać to w pomocy wywiadowczej dla Irańczyków, kampaniach cyberataków i sabotażu w Europie" – mówi Brideau. „Rosja próbuje wykorzystać niektóre z tych działań, aby wyciągnąć coś od Waszyngtonu". To „coś", jak twierdzi, to większa presja na Ukrainę, gdzie z perspektywy Kremla Trump wciąż nie zbliżył prezydenta Ukrainy Wołodymyra Zełenskiego wystarczająco do rosyjskich żądań (A. Kliment, „Ryzykowna gra Putina na Kubie…").

> KUBA NADAL POZOSTAJE JEDNĄ Z NIEWIELU OSTAŁYCH TWIERDZ KOMUNIZMU NA ŚWIECIE — KRAJEM, KTÓREGO ŻYWE KOLORY SKRYWAJĄ GŁĘBOKĄ DYSFUNKCJĘ.

» Zagrożenie dla wpływów Moskwy

Oś Hawana–Moskwa, daleka od bycia jedynie nostalgiczną pozostałością po zimnej wojnie, ilustruje, w jaki sposób współczesne reżimy autorytarne dostosowują się, uczą się od siebie nawzajem i koordynują działania między regionami, aby przeciwstawiać się normom liberalnym i utrzymać swoją władzę. Partnerstwo to dotyczy w mniejszym stopniu samej ideologii, a w większym – strategicznej wymiany zasobów, narracji i praktyk, które wzmacniają odporność autokratyczną w kraju i za granicą (Armando Chaguaceda, Cesar E. Santos, „Kłopoty Kuby zagrażają autorytarnemu sojuszowi Kremla", Center for European Policy Analysis, 19 lutego 2026). Na pierwszy rzut oka uderzająca jest asymetria między Rosją a Kubą. Rosja jest wielką potęgą dysponującą bronią jądrową i mającą globalne ambicje, podczas gdy Kuba to mała karaibska wyspa licząca 11 mln mieszkańców, borykająca się z chronicznym kryzysem gospodarczym. Jednak ich współpraca nie opiera się na równorzędności, lecz na komplementarności. Każda ze stron wnosi do tej relacji inne atuty: Rosja zapewnia energię, wsparcie wojskowe, współpracę wywiadowczą i globalną ochronę dyplomatyczną; Kuba wnosi dziesięciolecia doświadczenia w autorytarnym sprawowaniu rządów, gęste sieci regionalne w Ameryce Łacińskiej oraz zdolność do działania jako zaufany rozmówca lewicowych i „postępowych" ruchów w całym tzw. Globalnym Południu (A. Chaguaceda,

eprasa.pl 2f22a6ded1

C.E. Santos, „Kłopoty Kuby zagrażają autorytarnemu sojuszowi Kremla…").

Korzyści Rosji wynikające ze współpracy z Kubą po 2022 roku ograniczały się w dużej mierze do retorycznej sfery geopolitycznej. Współpraca miała charakter przede wszystkim symboliczny, a Moskwa postrzegała Kubę jako element rosyjskiej strategii promowania wielobiegunowego świata. Potencjalna utrata Kuby miałaby jednak negatywne konsekwencje wewnętrzne dla Rosji, pomimo jej ograniczonego znaczenia praktycznego i skromnych zwrotów z inwestycji gospodarczych. Rosyjscy analitycy o poglądach militarystycznych i nacjonalistycznych coraz bardziej skupiają się na Kubie. W jednym z ostatnich artykułów Rusłana Pankratowa, opublikowanym w „Moskowskim Komsomolcu", argumentuje się, że utrata Kuby przez Rosję byłaby poważnym ciosem dla reputacji Moskwy: upadek Kuby zostałby odebrany przez kraje Globalnego Południa jako ostateczny dowód na niezdolność Rosji, Chin czy kogokolwiek innego do funkcjonowania jako alternatywny ośrodek władzy. W Azji, Afryce i Ameryce Łacińskiej wszyscy zrozumieją jedną prostą rzecz: angażowanie się w „wielobiegunowość" jest ryzykowne, ponieważ nie jest w stanie ochronić sojuszników przed presją amerykańską. BRICS… wszystko to zamieni się w pustą retorykę. Wenezuela, Nikaragua, Boliwia wyciągną wnioski. Efekt domina jest nieunikniony. Dla Rosji Kuba jest przede wszystkim symbolem geopolitycznym, a nie atutem gospodarczym. Utrata symbolu jest często bardziej bolesna niż utrata zasobów. Jeśli Kuba upadnie, koncepcja wielobiegunowości zostanie ostatecznie zdyskredytowana. Dla [Rosji] jest to kwestia wyboru między ambicjami strategicznymi a strategiczną kapitulacją, ponieważ Kuba historycznie symbolizuje opór. Ale symbole upadają, jeśli nikt ich nie chroni. W połączeniu z pogarszającą się sytuacją gospodarczą Rosji oraz krwawą i w dużej mierze nieudaną wojną podbojową Moskwy przeciwko Ukrainie utrata Kuby jako partnera może przyczynić się do efektu kumulacyjnego, który pogłębi podziały w rosyjskiej elicie, kręgach intelektualnych oraz kierownictwie wojskowo-politycznym (S. Sukhankin, „Kreml postrzega potencjalną utratę Kuby…"). Stawka jest wysoka. Rosja nie może sobie pozwolić na utratę kolejnego sojusznika, zdając sobie sprawę, że jej ciężko wypracowany wizerunek obrońcy Globalnego Południa uległby znacznemu zniszczeniu, co miałoby globalne reperkusje dla jej zdolności do osiągania konsensusu i przekonywania stanów wahających się do opowiedzenia się po jednej ze stron. Najnowsza strategia bezpieczeństwa narodowego Waszyngtonu jasno pokazuje, że Trump zamierza „oczyścić" podwórko Stanów Zjednoczonych z wrogich wpływów zagranicznych do końca lat 20. lub początku lat 30. XXI wieku, co oznacza, że prędzej czy później wszystkie chwasty zostaną wycięte (E. Pietrobon, „Oto dlaczego Kuba pozostaje przyczółkiem Rosji…").

Kuba nadal pozostaje jedną z niewielu ostałych twierdz komunizmu na świecie – krajem, którego żywe kolory skrywają głęboką dysfunkcję. Od dziesięcioleci ta karaibska wyspa jest idealizowana ze względu na swoją muzykę, kulturę i kolonialną zabudowę, ale stanowi ona surowe przypomnienie tego, jak komunizm powoduje stagnację i zubożenie krajów. Turyści uważają Kubę za urzekającą – salsa, rum i ulice w pastelowych kolorach – ale Kubańczycy codziennie zmagają się z życiem w warunkach niedostatku. Jasne fasady są odzwierciedleniem samego państwa: wciąż piękne i kolorowe na zewnątrz, zgniłe w środku (M. Khachidze, „Kuba poza kolorami…"). ■

eprasa.pl 2f22a6ded1

Tomasz Sakiewicz

Dlaczego liberałowie kochają cenzurę

Pokusa cenzury dotyka każdego systemu i nawet piewcy wolności słowa nie są od niej wolni. Mało tego, powodów, żeby uzasadnić taką czy inną formę cenzury, jest tak wiele, że granica między obroną jednych wartości a wartością podstawową, jaką jest wolność słowa, naprawdę łatwo zanika.

Trudno na przykład nie wziąć w obronę zwykłego zjadacza chleba, którego z jakichś powodów politycznych czy biznesowych miażdży machina medialna. Ale co to znaczy „wziąć w obronę"? Powiedzieć dziennikarzom, że nie wszystko wam wolno. Jeszcze bardziej drastyczny przypadek, kiedy szerzone treści są po prostu przestępstwem: pedofilia, zoofilia itd. Nie można też odrzucić tego, że wojna powoduje sytuację, kiedy opublikowanie niektórych informacji jest po prostu niebezpieczne dla życia. Katalog powodów, dla których władze lub instytucje sięgają po cenzurę, jest tak obszerny i, co gorsza, nieźle uzasadniony, że wydaje się, iż mało jest miejsca na wolność słowa. To jednak złudzenie. 99 procent debaty publicznej i całego przekazu informacyjnego nie ma i nie powinno mieć z tym nic wspólnego, a ten jeden procent „interwencji" musi przebiegać pod ścisłą kontrolą zarówno czynnika sądowego, jak i społecznego. Trzeba pamiętać, że dzisiaj to sądy są często źródłem cenzury i tworzone prawo musi im takie patologie ograniczać.

To, co opisałem, to stałe napięcie istniejące w krajach demokratycznych pomiędzy wolnością słowa a obroną pozostałych wartości i bez nieustannej troski o swobodę debaty tego napięcia nie da się zmniejszyć. Ale dzisiaj jesteśmy w zupełnie innym miejscu. Powodem cenzury staje się troska o tzw. wartości liberalne. Niezależnie od absurdalności logicznej tego zjawiska, ze względu na jego skalę, trzeba się nad nim pochylić. Jeżeli cenzuruje się informację i publicystykę ze względu na jakieś wartości, to oznacza, że wolność słowa nie jest wartością nadrzędną, a nawet nie jest wartością równorzędną.

Co więc dla współczesnych liberałów jest wartością nadrzędną? Interesy ich środowisk albo wręcz samych liderów. Przykład: debata o klimacie. Wydaje się, że nie powinno budzić emocji, gdy ktoś zechce pogadać o pogodzie. Nic z tych rzeczy. Nawet ustalenie, czym jest pogoda, a czym klimat, może podlegać surowym ograniczeniom. Kiedy cenzurze ulega sama semantyka, robi się już naprawdę niebezpiecznie. A semantyka stała się przedmiotem brutalnej cenzury już na przykład w sprawie określania płci. Wiara w to, że semantyka zmienia świat, towarzyszy ludzkości, a szczególnie jej totalitarnym zapędom, od zarania, konkretnie od powstania języka mówionego. W swojej pracy dziennikarskiej i ostatnio popularnonaukowej zwracam uwagę, że świat nie zależy od semantyki, co najwyżej semantyka powinna dostosować się do opisu świata. Cenzura to naiwna wiara, że można to zmienić.

Szczytem hipokryzji współczesnych liberałów jest to, że w imię wartości liberalnych cenzurą chronią już nie tylko semantykę, meritum, lecz nawet interesy wewnętrznych grup tworzących ich zaplecze, zdarza się, że i samych liderów tych grup. „Skoro bronią wolności", to za wszelką cenę należy zwalczać ich przeciwników, bo to wrogowie wolności. W tym momencie liberalizm dochodzi do swojego całkowitego zaprzeczenia.

Ochroną przed takim zjawiskiem jest nieustanny powrót do podstawowych wartości. Ich kanoniczne traktowanie to nie żaden przejaw konserwatyzmu, a obrona społeczeństw przed samozagładą. ■

eprasa.pl 2f22a6ded1

InPost | GAZETA POLSKA | NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA NOWE PAŃSTWO



Prenumerata Elektroniczna za **1 zł***

NOWOŚĆ!

Gazeta Polska i Nowe Państwo – teraz do odbioru przez Twój Paczkomat® InPost

Dostawa co środę / Bez kolejki / Bez kompromisów

ZESKANUJ

Zamów już teraz!

prenumerata.swsmedia.pl/inpost

*Kupując roczną prenumeratę Gazety Polskiej lub Nowego Państwa, otrzymasz dostęp do wersji elektronicznej za jedyne 1 zł – na cały okres prenumeraty.

eprasa.pl 2f22a6ded1